

176 II 1.  
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 176.

— 176 —

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1884.

SERYA VI.

Październik.

TOM IV. — ZESZYT X.

WARSZAWA.

W Drukarni Józefa Bergera.

Ulica Elektoralna. Nr. 14.

— 176 —

Ukończono druk dnia 1 października 1884 r.

# T R E Ś Ć.

KRON.

I. Opłaty stemplowe w Polsce. (1775 — 1884). Napisał Dr. Michał Szymanowski. . . . .	1
II. Wycieczka do Madrytu. Przez Eugeniusza Lipnickiego . . . . .	25
III. Mickiewicz w podróży po Niemczech i Szwajcaryi w r. 1829. Napisał dr. Teofil Ziemba. . . . .	37
IV. Zjazd Towarzystwa pedagogicznego w Tarnowie dnia 17, 18 i 19 lipca r. b. . . . .	63
V. Kronika paryzka, literacka, naukowa, artystyczna i społeczna.—Życie koczownicze w Anglii w XIV-ym wieku p. Jusserand.—Podręcznik archeologiczny: „Życie starożytnych greków i rzymian,” dzieło erudytów niemieckich Guhla i Konera, przekład na francuzki język pana Trawińskiego. — Nowy życiorys Dawida Liwingstona, według własnoręcznych notat i listów. — Mowa profesora Joliffier w Sorbonie.—Odezwa akademika Legouvé w sprawie wychowania kobiet.—Zadania konkursowe.—Konferencya o Egipcie Gustawa Olen-dorfa. — Rozprawa Gounoda o sztuce. — Odkrycie pomnika Georges Sand w La Chatre.—Tom szósty listów téjże autorki.—Pomnik Klau-dyusza Jouffroy w Besençon.—Rozmaitości. . . . .	78
VI. Kochanowski w Paryżu. Wspomnienie jednej chwili z życia poety. (Przyczynek do charakterystyki obyczajów wieku odrodzenia). Przez Adama Rządewskiego. (Dok.). . . . .	103
VII. Z ekonomiki. Przez F. F. . . . .	121
<b>VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.</b>	

„Slovansky Sbornik—artykuły z dziedziny etnografii, historii kultury i dziejów z życia literackiego oraz towarzyskiego.“ Rocznik II. Redaktor Edward Jelinek. Praga, nakładem J. Otty. 1883 r. Przez Bronisława Grabowskiego. (D. c.). . . . . 138

„Liebsch Georg, Syntax der wendischen Sprache in der Oberlausitz.“ Bautzen, 1884. Przez I. F. Gajslera. . . . . 147

IX. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe, artystyczne i społeczne.—Odezwa zarządu Tow. popierania przemysłu i handlu w sprawie drobnego przemysłu ludowego (150—152). — VI zjazd archeologów rosyjskich w Odessie.—Jubileusz 50-letni uniw. Kijowskiego. — Najnowsza ustawa dla uniwersytetów rosyjskich (154). — Posiedzenie wydz. hist.-lit. Tow. Prz. N. w Poznaniu d. 15 września (155).—Korespondencya posła włoskiego w Petersburgu, margr. Pepoli, o przebiegu sprawy polskiej w r. 1863 (155, 156, 157). — Marcina Biel-skiego nieznaną „Komedyą Justyna i Konstancyi,” r. 1557 (157). — Jelinka „Bibliografia przekładów z polskiego na czoskie” (158) i „Bi-

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 176.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE  
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1884.

— 0-9000 —

Tom czwarty.

WARSZAWA.  
W Drukarni Józefa Bergera,  
ulica Elektoralna, Nr. 14.

—  
1884.



De. h. 1.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 17 Сентября 1884 г.

# OPLATY STEMPLOWE W POLSCE.

(1775 — 1884).

NAPISAL.

*Dr. Michał Szymanowski.*

1. Rau (dr. Karl-Heinrich) Grundsätze der Finanzwissenschaft str. 448 i nast.
2. Pfeiffer: Die Staatseinnahmen, I, 294.
3. Stein (Lorenz): Finanzwissenschaft (wyd. II, 1878) str. 301 i n.
4. Schäffle: Steuerpolitik, str. 52, 457, 496, 507.
5. Dr. Biliński (Leon): „System nauki skarbowej.“
6. Bloch (Jan): Finanse Królestwa Polskiego. Warsz. 1883 r.
7. Dr. Antoni Okólski: Wykład prawa administracyjnego. (Warsz. 1880/4, tomów 3).
8. Dyaryusze sejmowe 1673, 75, 76 i następnych lat.
9. Volumina Legum (wyd. Ohryzki).
10. Dzień. praw. X. Warsz. i Król. Polskiego.
11. Postanowienia ucreditelnego Komiteta.
12. Zbiór przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego.
13. Folia luźne biblioteki uniwersyteckiej w Warszawie.
14. Rachunki skarbowe Rzpltej i Księztwa Warszawskiego.
15. Trzetrzeviński: Zbiór praw stempłowych r. 1828.
16. Zbiór przepisów stempłowych r. 1843.

I. Poważną część dochodów państwowych stanowią uiszczenia, pobierane od osób, wchodzących w stosunek i zetknięcie z urzędami i organami publicznymi, z okoliczności pewnych działań i czynności, podejmowanych na żądanie lub w interesie bezpośrednim stron prywatnych, a wymagających udziału tych organów i urzędów. Uiszczenia te noszą nazwę opłat, poborów, taks, stempł i t. p. w ogóle zaś opłat.

W systemacie ustroju budżetowego, opłaty zaliczane są zwy-

kle do podatków, mianowicie zaś do podatków pośrednich (niestałych), lecz umiejętność skarbowa uważa opłaty za odrębną gałąź prawidłowych dochodów państwowych, posiadających właściwe sobie cechy i wyróżnienia, pod wpływem których, pomimo wielkiego podobieństwa do podatków, nie powinny być jednak za jedno z nimi brane.

Głęboki i przenikliwy systematyk umiejętności skarbowej, prof. Rau, mówi: że opłaty wymagane są w tych okolicznościach, gdy pojedynczy obywatel wchodzi w pewne szczególne zetknięcie z urzędem państwowym, lub z pewną szczególną instytucją publiczną. Ztąd wniosek, że opłaty, pobierane od pojedynczych obywateli lub od całych grup obywatelskich, stanowią szczególny rodzaj zapłaty, wynagrodzenia, uiszczanego jużto za wyświadczoną przez państwo szczególną usługę, lub też zwrot wydatków, poniesionych przez państwo, przy wykonywaniu i sprawowaniu pewnej czynności, stanowiącej dla danej jednostki prywatnej szczególną usługę lub korzyść. Widzimy więc ztąd, że w opłatach przeważa i uzewnętrznia się wybitnie pierwiastek wynagrodzenia, wywzajemnienia się za usługę określoną, pewną.

Z tego zapatrywania się na istotę opłat, można sobie z łatwością dwa wyprowadzić wnioski: pierwszy, nieco ogólniejszy, dotyczący analizy samego pojęcia i znaczenia usługi państwowej, — mianowicie: czy te wszystkie świadczenia, do korzystania z których obowiązuje nas państwo i za które wymaga od nas opłaty, taką rzeczywiście mają doniosłość, że bez nich obywatel nie mógłby się obejść (porównajmy np. opłaty szkolne i opłaty paszportowe); drugi ściślej — dotyczący wysokości, ilości samej opłaty. W każdym razie godząc się z faktem istnienia w państwie takich urzędów i instytucyj, które na zasadzie woli państwowej powołane są do świadczenia owych usług, a obok tego zaznaczając i tę okoliczność, że koszta zasadnicze utrzymania tych urzędów i instytucyj, czerpane są z ogólnego źródła, dostarczanego przez wszystkich obywateli, to jest z podatku, który tylko na cele dobra ogólnego obracany być winien, nie zaś na cele użyteczności pojedynczej, szczególnej, przychodzimy do tego wniosku, opartego na słuszności, że ilekroć jednostka posługuje się w swoim interesie, dla własnego dobra tём, co kosztem ogółu i dla dobra wszystkich istnieje, to za każdy taki wyzysk powinna uiścić odpowiednią zapłatę i to właśnie stanowi podstawę prawną, tytuł, do wymagania i pobierania opłat. Wymagalność zaś władz i organów, może się w dwojakim objawiać kierunku. Przedewszystkiem więc może zachodzić takie położenie, że jednostka, obywatel, nie ma żadnego zamiaru korzystania z dobroczynnych zamiarów państwa, z urzędzenia owych instytucyj i urzędów, przeciwnie, że czuje pewną odrazę do wszelkiego zetknięcia się z temi organami, lub urzędami. Na nic się to nie przyda. Opornemu lub niechętnemu odpowiada państwo, że w imię wyższych interesów ogólnych uwydatniono pewne czynności i działania, których nikt uniknąć nie może i żąda za nie zapłaty;

chcesz więc czy nie chcesz, ale musisz zapłacić za paszport, za kartę pobytu, za książeczkę legitymacyjną (przytaczam je m o d o e x e m p l i). We wszystkich wypadkach tej kategorii wysokość opłat powinna być ściśle i jedynie ustosunkowaną do rzeczywistych kosztów, jakie państwo na ten przedmiot ponosi. Ale weźmy kierunek odwrotny: jednostka w interesie własnym, prywatnym, żąda od państwa pewnych usług, ustępstw, korzyści, pewnych stwierdzeń w imię i pod powagą prawa i państwa, lub pewnych ulg i wyjątków od rygorów prawa ogólnego. W tym drugim razie wysokość opłaty normuje się nie tylko kosztami rzeczywistymi, ale bierze się tu w rachubę korzyść, jaką jednostka na tej drodze osiąga, lub osiągnąć może. Z tego widzimy, że opłaty to głównie mają wspólnego z podatkami, że są ustanowione jedynie przez państwo, lub z upoważnienia państwa, że wpływają do kas publicznych, wreszcie, że służą na pokrycie wydatków, ponoszonych w interesach i dla celów ogólnych.

Z tej charakterystyki opłat wykreśla się stanowisko ich w ogólnym systemacie podatkowym: są one poniekąd uzupełnieniem podatków, ciężar ich spada przedewszystkiem na tych, którzy ze względu na swe osobiste interesa i zasady, korzystają z usług organów państwowych, utrzymywanych w zasadzie kosztem ogółu, a więc przyczyniają się stosunkowo do umniejszenia tych kosztów, których cały ciężar w razie niebytu opłat, spadałby na ogół. Ponieważ jednak na polu działalności obywatelskiej, wymagającej w danych, szczególnych wypadkach, usług i pomocy państwowej, różne są odcienia i stopniowania, tak pod względem zamożności jednostek, uciekających się do tej pomocy, jak pod względem doniosłości sanychże usług, państwo przy stanowieniu opłat bierze w rachunek te okoliczności i dlatego widzimy zachowanie tu pewnej skali, pewnego stopniowania, granice minimalne i maksymalne, przy pozostawieniu i ocenieniu odnośnych organów i urzędów, stanowienia w każdym pojedynczym wypadku, tam gdzie prawo i ustawa wyraźnie i ściśle inaczej nie rozporządziły, wysokości wymaganej opłaty, zawsze jednak w granicach zasadniczego minimum i maximum. Tu więc zachodzi, jak mówi Schäffle, „wyosobnienie zdolności płatniczej każdego kontrybuenta,” co przy dążeniu do największej nawet dokładności w systemacie podatkowym przeprowadzić się nie da. Nie jest więc bynajmniej błędnem umieszczanie opłat w budżetach państwowych w dziale podatków, ale błędnem byłoby zaliczenie dochodu z opłat pod dochody podatkowe, czyli mówiąc inaczej, należy opłatom w dziale podatkowym oddzielne wskazać stanowisko. Okoliczność ta nasuwa nam inne jeszcze spostrzeżenia. W wielu razach ściście rozróżnienie między opłatą a podatkiem z trudnością uchwycić można. Nie ma wątpliwości, że ilekroć uiszczenie jest następstwem usługi bezpośredniej, niejako równoważnikiem działalności państwowej, wywartej na daną jednostkę, lub przez tę jednostkę wywołanej, uiszczenie takie jest bezwarunkowo opłatą; ale cóż powiedzieć mamy o uiszczeniach, wymaganych i pobieranych przez państwo w danych



pojedynczych wypadkach, bez żadnego wzajem-świadczenia, lub też tych gdzie usługa, wzajemświadczenie istnieje wprawdzie, ale ma charakter drugorzędny, na pierwszym bowiem planie stoi interes fiskalny, dobro skarbu, gdzie więc interwencja państwowa ma przeważnie charakter kontrolujący w imię i na rzecz interesów skarbu. Spostrzeżenie to stosuje się najwybitniej do opłat pobieranych przez państwo przy przechodzeniu własności z jednej ręki do drugiej. Wszystkie prawie czynności i akta, dotyczące zmiany posiadania własności, mianowicie też własności nieruchomości, czy to drogą najmu, czy kupna i sprzedaży, spadku lub darowizny, wymagają udziału i uczestnictwa organów państwowych. Za ten udział i uczestnictwo państwo ma prawo żądać wynagrodzenia, zapłaty, świadczy bowiem dla stron kontraktujących lub interesowanych usługę pierwszorzędnej doniosłości, uświęcając swą powagą, wyższą nad wszystkie doczesne powagi, niewruszalność praw nabytych, nadając umowom pod tą powagą zawartym datę pewną; ale państwo korzystając z tej okoliczności wyzyskuje ją na swą korzyść w stosunku bez porównania wyższym, aniżeli je kosztuje wyświadczenie tej usługi, pobiera opłaty bynajmniej nie ustosunkowane do kosztów usługi, ale pod a t k i w najściślejszym tego wyrazu znaczeniu, wprawdzie niestałe, okolicznościowe, lecz tylko nazwą opłat upozorowane. Dokładność więc systemu skarbowego, dobra wiara polityki finansowej wymagałyby przeprowadzenia tu ścisłego rozgraniczenia, i Lorenz Stein, któremu się należy zasługa wykrycia w grupie opłat pierwiastków i źródeł podatku alienacyjnego, usiłował rozgraniczenie to przeprowadzić, co mu się jednak tylko teoretycznie udało.

Wiadomo, że pobór opłat odbywa się dwojakim sposobem: a) bezpośrednio w pieniądzu, b) przez użycie stempla, to jest papieru stemplowego właściwej ceny. Ten drugi sposób ma za sobą zaletę wielkiej prostoty. Użycie stempla skutecznia się dwojakim również sposobem, mianowicie przez sporządzenie aktu, lub dokumentu na właściwym papierze, na ten cel z góry już przygotowanym i odciekowanym stemplem państwowym (papier stemplowy), lub też przez naklejenie marki odpowiedniej ceny, na papierze zwyczajnym, na którym akt, lub dokument sporządzonym został. Pobór opłaty w postaci papieru stemplowego, lub marki, polega na tém, że w zasadzie cała czynność wyliczenia ceny użyć się winnego stempla pozostawioną jest samemu interesantowi, który kierując się przepisami i taryfą ustawy stemplowej, sam wylicza wysokość opłaty, nabywa stempel w dystrybucjach i miejscach sprzedaży, nie potrzebuje tracić czasu na sporządzanie rachunku w urzędach i kasach państwowych. Zarazem systemat ten stanowi wielkie ułatwienie i uproszczenie czynności kasowych, rachunkowych i buchalteryjnych w urzędach państwowych, a więc i wielką oszczędność w kosztach poboru.

Jakkolwiek jednak przytoczona tu metoda wyliczenia i poboru opłat w zasadzie pozostawioną jest kontrybuentowi, wymaga jednak

ze strony państwa kontroli następczej, to jest sprawdzenia: 1) czy do danej czynności stempel *był* użytym, 2) czy użytym był *w cenie* właściwej. Dlatego przepisy i ustawy stemplowe obejmując szczegółowe przepisy, dotyczące przedmiotu, cen, wartości stempla, ustosunkowanej do pewnych aktów i czynności, sposobów użycia i kasowania marek i papieru stemplowego, zawierają w sobie przepisy i postanowienia o karach za wykroczenia, nadużycia i obrazę ustaw o opłatach w ogólności, o stemplu zaś w szczególności. To właśnie stanowi ujemną stronę tej metody. W obec bowiem drobiazgowego formalizmu władz kontrolujących, podsycanego w wielu razach urokiem wynagrodzenia za dostrzeżone nadużycia lub pominięcia, w obec niemożności lub niechęci rozróżnienia prostej pomyłki, lub nieświadomości, od rozmyślnego działania na krzywdę i szkodę skarbu, kontrola i jej stosowanie staje się częstokroć nader uciążliwem i dotkliwem.

Zresztą pobór opłat w postaci stempla nie może stanowić ogólnej formy poborowej; ma on zastosowanie w tych tylko razach, gdy się odnosi do dokumentów piśmiennych i gdy wysokość przypadającej opłaty da się wyrazić w stale oznaczonej i stosunkowo niewielkiej sumie; dla tego też wedle przyjętej w wielu państwach praktyki, najwyższe nawet ceny pojedynczych gatunków papieru stemplowego są nieznacznie umiarkowane, w Austrii np. najwyższa cena arkusza wynosi 20 fl. i wszelka opłata od sporządzanego aktu tę normę przenosząca, pobiera się w gotowiznie. W ogóle więc w tych wszystkich wypadkach, gdzie opłata jest następstwem czynności noszącej charakter przeważnie indywidualny, zależnej od wzajemnego stosunku i interesu stron, gdzie się nie daje wyrazić w stałych, niezmiennych, a przynajmniej w stale ustopniowanych kwotach, gdzie udeterminowanie tej opłaty zależy od różnych momentów i okoliczności, wyrażonych w ustawie w postaci ogólnych zasad i przepisów, tam w miejsce opłaty stemplowej pobór następuje na zasadzie obliczenia przez właściwe organa urzędowe sporządzonego. Ten sposób poboru zwany bezpośrednim, najobszerniejsze też ma zastosowanie i to tém szersze, im częściej zachodzi zbieg opłat z podatkami w ścisłym znaczeniu. W ogóle pod względem formy poborowej, to jest bezpośrednio w pieniądzu, lub w postaci stempla, w większej części państw europejskich przeważa pierwszy sposób, tak zwany francuzki, a mianowicie Austria, Włochy, Belgia trzymają się tego systematu. System stemplowy przeważa w Holandyi — ojczyźnie papieru stemplowego i w Anglii; najobszerniejsze zaś zastosowanie znajduje w Rosyi, mianowicie od czasu wprowadzenia ustawy stemplowej z r. 1874. Nakreśliwszy tę ogólną charakterystykę opłat i wskazawszy istotę opłat stemplowych, przechodzę wprost do załatwienia się z postawionem na czele zadaniem, to jest historią opłat stemplowych w Polsce.

II. Powiedziano wyżej, że ojczyzną papieru stemplowego była Holandya. Wprawdzie w prawodawstwie Justyniana jest przepis dotyczący użycia pewnego rodzaju papieru do sporządzania umów (Nov.

44 de Tabellionibus et ut protocolla in chartis relinquunt, Cap. 2), ale nie ma tam wzmianki o jakiegokolwiek za użycie tego papieru zapłacie, gdyż chodziło jedynie o zabezpieczenie stron od nadużyć i fałszowania aktów. Istotnym wynalazcą papieru stempowego, a raczej stemplowania papieru był jakiś holender, którego nazwiska nie podaje nam historia. To tylko wiadomo, że gdy Stany Generalne przyrzekły nagrodę za wynalezienie nowego, nie uciążliwego, a jednak obfitego źródła dochodów, zaprojektowano papier stempowy, wprowadzony tam w r. 1624. Za przykładem Holandyi poszła Anglia (1671), Francya (1673), Austria (1686) i Bawarya (1690).

Wprowadzenie opłat stempowych w Polsce nastąpiło w r. 1775 z mocy konstytucyi, o której niżej będzie mowa. Wprawdzie w Polsce od niepamiętnych czasów istniały opłaty pobierane za sporządzanie aktów i umów przez urzędników państwowych, na żądanie, lub w interesie stron prywatnych i opłaty te zwane *Salaria* albo pamiętne sądowe i pisarskie, miały przepisane dla siebie taksy już w Statucie wiślickim 1347 r. i następnie w różnych statutach są ponawiane i regulowane, zawsze pod powagą władzy królewskiej, a nawet niektóre pobierane były bezpośrednio na rzecz skarbu królewskiego, za wydawane dyplomaty, przywileje <sup>1)</sup>, przykładanie pieczęci, tak że pomiędzy nimi a późniejszymi opłatami stempowymi, mianowicie u nas istnieje pewna łączność materyalna, lecz pod względem formalnym zupełnie się od siebie różnią.

Szczególnym zbiegiem okoliczności wielkie zmiany polityczne i organizacyjne, jakim kraj nasz od ostatniej ćwierci zeszłego wieku ulegał, odbijają się wydatnie nawet w ustawodawstwie stempowym. Sejm 1775 r., ów sejm nadzwyczajny, rozpoczęty w roku 1773, pod węzłem generalnej obojga narodów konfederacyi, sześć razy prorogowany i limitowany, boleśnie pamiętny zarejestrowaniem deklaracyj dworów petersburskiego, wiedeńskiego i berlińskiego z d. 18 i 26 września 1774 r. co do pretensyi tychże dworów do zagarnionych pod swe panowanie krajów, począł się poważnie zajmować poprawą środków dochodowych państwa. Volumina legum oraz Dyaryusze sejmowe najwymowniejszym są dowodem tój doraźnej, lecz spóźnionej już pieczołowitości, jaka w tym kierunku przedsiębrana była. Konstytucya regulująca — „Dochody Skarbowe Obojga Narodów” — zastrzegając ustanowienie dochodów do trzydziestu trzech milionów, za powszechną zgodą stanów zgromadzonych i skonfederowanych, głosi, iż gdyby sposoby podatkowania na sejmie złożone nie miały złożyć 33 milionów, tedy wbrew aktowi na sejmie traktatowym z r. 1768 zapadłemu a warującemu, iż ustanowienie podatków i powiększenie wojska policzone jest inter materias status wymagających jednomyślności, w tym

<sup>1)</sup> Porówn. Vol. L. wyd. Ohryzki. Inwentarz, część I, str. 435 i odnośne statuta w tekście.

jednym razie i wypadku (pro hac sola vice et in eo casu) materye te mają być decydowane na przyszłych sejmach, zawsze w granicach owych 33 milionów, większością głosów (pluralitate). Tym sposobem pod naciskiem gwałtownych okoliczności, zrobionym został wyłom w owęj jednomyslności zgubném mianem liberum veto napiętnowanęj; nie ulega też wątpliwości, że raz naruszona zasada z czasem zupełnie uchylonaby była, ale niestety, czasu na to nie stało. W pośród rzezonęj konstytucyi o dochodach skarbowych mieści się prawo zwane „Papier Stemplowany“ oblatowane w Grodzie Warszawskim dnia 23 kwietnia 1775 roku, niebawem wprowadzone w wykonanie. W wstępie do prawa powiedziano, że między pożytki do Rzeczypospolitéj należące, liczy się używanie papieru stemplowanego, a to za obyczajem Narodów w maxymach podatkuwania roztropnych. Według konstytucyi téj i wydanego w jęj wykonaniu pod dniem 19 Maja 1775 r. przez Komisją Rzeczypospolitéj skarbu koronnego uniwersału, ustanowiono dwa rodzaje opłat stemplowych, mianowicie: proste i ustosunkowane, czyli proporcjonalne, tak jak się to obecnie we wszystkich ustawodawstwach opłat dotyczących praktykuje. Ani konstytucya zasadnicza, ani żadne dalsze ustawy w téj materyi u nas wydawane, nie przytaczają pobudek tego rozróżnienia, będącego zresztą następstwem tego rozumowania, że ilekroć w odwołaniu się obywatela do usług urzędów państwowych, idzie nie o proste poświadczenie zaszłego faktu, lub istniejącego położenia, lecz i o uświęcenie przez autorytet państwowy pewnych praw i umów, o nadanie im formalnego charakteru wieczystości i niewzruszalności; ilekroć więc państwo uczestniczy poniekąd w umowie nie tylko w obiektywnym charakterze poświadczydciela, ale wskutek właśnie wpływania swego do aktów w charakterze poświadczydciela, daje rękojmię niewzruszalności umowy lub aktu, nadając mu datę pewną, bezsporną, wyższą nad wszelkie zarzuty, nie dość na tém, — rejestrując akt lub umowę nie dla prostęj jedynie kontroli lub ciekawości statystycznęj, lecz dla bezpieczeństwa stron i najodleglejszych ich prawonabywców i przedstawicieli, do ksiąg szczególnych na ten cel wyłącznie przeznaczonych, tém samém zapewnia zainteresowanym spokojne i niezakłócone wykonywanie praw z umowy wynikających. Cena tego rodzaju usług nie może być mierzona wartością czasu zużytego przez organ państwowy na jęj spełnienie, tém mniej wartością zużytego materyału, ale wartością wszystkich następnych korzyści, jakie strony odnoszą przez utwierdzenie swych praw, a zarazem w cenie usługi wnosić się powinny koszta zachowania (konserwacyi) tytułów zasadniczych i instytucyi nad tém zachowaniem czuwających. Dalej, od wszystkich aktów i dokumentów wprost z ramienia państwowego pochodzących, lecz obdarzających interesanta pewnemi wyjątkowemi prawami i przywilejami, zapewniającemi mu nie tylko korzyści materyalne, ale schlebiającemi jego miłości własnéj, poczuciu godności i wywyższenia, co mianowicie w epoce rozróżnień stanowo-społecznych połączone było z wykonywaniem

pewnych praw i korzystaniem z nich, opłata wyrozumowana ówczesnym zapatrywaniem się ustanowioną została. Z tych pobudek konstytucya 1775 r. przepisuje użycie papieru stemplowego ceny 1-go grosza srebrnego na abszyt lub dynisyą, — na memoryały do wszelkich, władz wyjąwszy jurysdykcyą marszałkowską, bo do téj jako mającej w swém zawiadywaniu porządek publiczny i bezpieczeństwo osobiste obywateli, odwoływano się na papierze zwyczajnym, ustanawia opłatę 2 groszową na plenipotencyę, 1 złoty od rezolucyi sądowej i 2 złote od wyroku foralnego, na ekstrakt na którym będzie wyrażona suma od 1,000 do 5000 złp. stanowi papier 3 złotowy, od sumy na dobrach będącej, od każdych 100 złp. po groszy 2, w takimże stosunku od przywilejów na dostojęństwa duchowne i świeckie, cywilne i wojskowe z intratą od 100 złp. i zaraz potém przepisuje arkusz po złotych czerwonych (dukatów) 60 od przywilejów na biskupstwa, województwa i ministerya; zł. czerwonych 40 od kasztelanii, zł. czerw. 12 od przywilejów na urzędy nadworne, jako to: szambelanów, generał adjutantów, fligel-adjutantów, kamerjunkturów, tyleż od urzędów wojskowych tytularnych; 200 od indygenatu szlachectwa polskiego, a 50 od dyplomu szlacheckiego. Zarazem konstytucya ustanawia papier na paszport za granicę ceny zł. 10, stempel na karty do gry polskie ceny grosz. srebr. 2 i na karty francuskie po złotemu, oraz po groszu srebrnym od wszelkich drukowanych książek żydowskich i kalendarzy. Uniwersał wymienia szczegółowo miejsca sprzedaży papieru stemplowego, oprócz komor celnych w ważniejszych Rzeczypospolitej miastach i ponawia sankcyą konstytucyi, wedle której *„żaden dokument na papierze nie piętnowanym zapisany, żadnego waloru w żadnym sądzie nie będzie miał i przyjęty nie będzie.“* Wreszcie oznajmuje, że za nielegalną sprzedaż piętnowanego papieru ustanawia się kara; winny ulega karze tysiąca złotych za każdy arkusz przedanego papieru, lub wrazie braku odpowiedniego majątku, więzienia wedle uznania sądu, za fałszowanie zaś piętnowanego papieru karze *szubienicy*.

Na szczególną wreszcie uwagę zasługuje ten ustęp konstytucyi, wedle którego: „dziedzicom w miastach ich własnych nie tamuje się względem papieru stemplowanego podobne czynić rozporządzenie, które dla samych tylko poddanych dziedzica w miastach jego ziemskich dziedzicznych ma służyć.“

Pomimo troskliwego zbadania odnośnych źródeł nie dało mi się dociec, czy który z właścicieli miast z przywileju korzystał i czy obok stempla państwowego istniał jeszcze jakiś papier stemplowy prywatny. Zresztą, jak się zaraz przekonamy, ten objaw porządku feudalnego, jakkolwiek przed stoma laty uchwalony, na owe jednak czasy rażący, nie długo się utrzymał. W konstytucyi 1775 r. zastrzeżonóm było ułożenie instrukcyi, czyli tak zwanój ordynacyi dla urzędów, akta publiczne sporządzających, będącej rozwinięciem ogólnej uchwały konstytucyjnej. W ordynacyi téj noszącej datę 13 grudnia 1776 r., noszą-

cją nazwę „Uniwersał Najjaśniejszego Pana, za zdaniem Rady przy boku Jego Nieustającej, obwieszczającej ordynacją względem papieru stemplowego, dla trzymających akta publiczne,” spotykamy między innymi szczególnie ważny, a w samej konstytucji przemilczany, czy też pominięty, mianowicie ustanowienie stempla wekslowego. Wymieniając bowiem księgi czyli protokoły, jakie w kancelaryach metrykantów i regentów i w ogóle urzędów sporządzających akta utrzymywane być mają, ordynacja orzeka że protokołów tych ma być cztery, z których *drugi* dotyczy tranzakcji dawnym zwyczajem nie na papierze stemplowanym sporządzonych, ale w której odtąd mają być przyjmowane oblaty i roboracje wszelkich kart ręcznych, *weksłów*, na stemplowanym papierze ceny przyzwoitej będących.

Na najbliższym zaraz sejmie ordynaryjnym warszawskim (od d. 26 sierpnia do dnia 31 października 1776 r.) w materji — „Dochody Skarbu Koronnego,“ znajduje się nowe przepisów dawniejszych rozciągnięcie i uzupełnienie, szczegółowo w uniwersałach komisji skarbowej z d. 19 grudnia 1776 r. wyłożone, wedle którego opłata ustosunkowana staje się zarazem progresywną, a mianowicie, gdy wedle konstytucji pierwotnej (1775 r.) postanowiono, że od sum od 1000 do 5000 złotych ma być opłacany arkusz papieru stemplowego za złotych trzy i w tym stosunku dalej; tu już (w r. 1776) znajdujemy rezolucją, w której opłata pobiera się, poczynając od zł. 100—500 po gr. srb. 2, od 500 do 1000 po 1 zł., od 1000—5000 po 3 zł. i w tej samej ilości za każde 5000 aż do 50,000, od których pobiera się zł. 30, wyżej zaś sumy 50,000—100,000 po zł. 6 i tak dalej podwójnie podwajając aż do miliona, (np. od 150,000 będzie za pierwsze 50,000, 30, za drugie 60, za trzecie 120) rachując każdą wyższą kwotę nad 5,000 za 10,000 i pobierając od każdego końcowych 5,000 po zł. 3. W ogóle opłata stemplowa od aktu lub dokumentu na milion zł. sporządzonego wynosiła w tym stosunku 2250 zł., poczynając zaś od miliona, opłata jakkolwiek nie progresywna, ale staje się gwałtowniejszą, wynosi bowiem po zł. 12 od każdego przybywających 5,000 zł. i papier na opłatę tej kategorii jedynie w składzie warszawskim znajdował się do nabycia. Wprawdzie tranzakcje ówczesne na miliony nie przytrafiały się tak często jak obecnie, z rachunków jednak jakie przeglądałem w archiwum akt dawnych po b. Komisji Skarbu pozostałych i z wzorową dokładnością i jasnością prowadzonych, kwartalnie zamykanych, przez delegatów Komisji Rzeczypospolitej Skarbu Koronnego rewidowanych i poświadczonych, okazuje się że obroty milionowe stosunkowo były bardzo poważne, do czego się przyczyniało istnienie w Warszawie takich domów bankierskich jak Teppera, Prota Potockiego, Kabryta, że pomimo drugorzędne i stempel wekslowy był takż sam jak i od innych aktów. Uniwersał Komisji Skarbowej z 12 czerwca 1777 r. ważną wprowadza zmianę. Rada nieustająca interpretując prawo sejmowe z 1776 r., że wszystkie actus authenticos, nie wyłączając duchownych, pod nieważnością stemplowane być mają, uchyliła prawo

miastom dziedzicznym służące i podciągnęła je pod ogólną ustawę opłaty papieru stempłowego. Właściwie z rokiem 1776 kończy się prawodawstwo stempłowe Rzeczypospolitej. Konstytucye sejmowe z lat następnych pod koniec r. 1788 nic o stemplu nie wspominają, dopiero pod dniem 5 lutego 1779 r. (sejm czteroletni) są dwie konstytucye, jedna dotycząca Skarbu Koronnego a druga Litewskiego, powiększające znacznie opłaty stempłowe, przeważnie od wszelkiego rodzaju nadań i przywilejów; jako przykład dość przytoczyć opłatę 1000 czer. złot. od godności arcybiskupiej. Wprowadzono również opłatę 100 czer. zł. od orderu Orła Białego i 50 czer. zł. od orderu ś. Stanisława, oraz podwyższoną opłatę od kart, co jest przedmiotem oddzielnej konstytucyi. Wreszcie w preliminarzu dochodowym przedstawionym na sejm grodzieński (16 czerwca 1793 r.) jest tylko jedna pozycya dochodu ze stempla od przywilejów, w Koronie: 100,000 zł., w Litwie 50,000, wszelkie zaś inne źródła dochodu stempłowego są pominięte, ponieważ pobór odbywał się wedle dawnych zasad.

Dla uzupełnienia niniejszego szkicu historii opłat stempłowych w krajach i prowincjach Rzpltej, przytaczam w końcu wyciąg dochodowy za cały peryod funkcyonowania opłat, począwszy od daty wprowadzenia do ostatniej chwili Rzeczypospolitej. Jak może nie wszystkim wiadomo, jedną z pierwszych czynności sejmu stanowiło wysłuchanie rachunków z wpływu i obrotu dochodów skarbowych. Wyznaczeni przez sejm komisarze zawiadujący dochodami Rzeczypospolitej, sporządzali rachunek jeneralny wszystkich dochodów w miarę możliwości i na owe czasy umiejętności, u nas przynajmniej wysoce posuniętej, materyami ułożony; rachunku tego wysłuchiwali i z dowodami sprawdzali delegaci senatu i stanu rycerskiego, poczem gdy komisarze wyrachowali się za czas ubiegły pomiędzy peryodem jednego a drugiego sejmowania, i usprawiedliwili się de omnibus suis gestis et transitis, otrzymywali w uchwale sejmowej należne pokwitowanie. Z rachunków tych wyprowadzony jest poniżej przytoczony wyciąg w tém, co do dochodu z opłat stempłowych dotyczy <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Volumina Legum obejmują działalność prawodawczą do r. 1780. W ostatnim (8) tomie znajdują się konstytucye i uchwały sejmu sześciodzielnego, odprawującego się 2 października 1780 r. i dni następnych pod łaską marszałkowską Antoniego Małachowskiego, któremu sekretarował Stanisław Badeni. Sejm 1780 r. tém jest pamiętny, że rozklicznymi posłowie oburzeni projektem zbioru ustaw sądowych, sporządzonym pod przewodnictwem Andrzeja Zamoyskiego, by niedopuszcili rzucili księgą o ziemię dla zwiększenia hałasu i na wniosek Kamieńskiego posła wołyńskiego uchwalili odrzucenie całego projektu, zastrzegając iżby: „na żadnym sejmie aby nie był wskrzeszonym micé chcemy“ (Konstyt. 2 lutego 1780 r.).

Wszelkie dalsze źródła ustawodawcze rozrzucone są jużto w materyalch przygotowanych do 9 tomu Vol. Legum, jużto w kartkach luźnych i zbiorach staraniem prywatném nagromadzonych. Posiłkowałam się więc

III. Ustawodawstwo stemplowe polskie z XIX-go wieku zamyka się w peryodzie od daty zapadnięcia uchwały o opłacie papieru stemplowego w dniu 24 marca 1809 r. przez Fryderyka, króla saskiego, księcia warszawskiego, po dzień 1/13 lipca 1884 roku. W przeciągu tych lat 75 uległo nielicznym modyfikacyom. Uchwała 1809 r. razi brakiem jakiegokolwiek bądź systematu; dość przytoczyć nieokreślone rozporządzenie wstępne: wedle którego — „do wszystkich czynności między mieszkańcami Księstwa Warszawskiego zachodzących ma być używany papier stemplowany,“ — a jakkolwiek w dalszym ciągu uchwały wymienione są rodzaje tych czynności, to jednak w sposób tak ogólnikowy, luźny, że stosowanie ustawy, mogło się stać powodem licznych nadużyć i uciążliwości <sup>1)</sup>.

Uchwała 1809 r. przepisuje papier stemplowy do wpisowego w procesach w cenie najniższej groszy polskich 8, jeżeli obiekt sprawy nie przebodzi 100 zł., — groszy 15, jeżeli od 100 zł. a nie przenosi 200 i następnie podwyższa opłatę po gr. 15 od każdych 100 zł. — ostatnia pozycja bardzo obszernej taryfy, nakazuje użycie papieru ceny 1,625 zł. od sprawy milion zł. Do zapisów, poczynając od zł. 1 przed sąd pokoju, do 10 zł. przy podaniu skargi kasacyjnej, w tych téż granicach od zł. 1 do zł. 10 najwyżej, zawierają się wszelkie inne noty i pisma sądowe. Do wszystkich aktów umownych i kontraktów, których przedmiot nie przechodzi zł. 200, stempel 8 groszowy, od zł. 200 — 1,000 15 gr., wreszcie od 1,000 zł. aż do najwyższej sumy po gr. 15 od każdego tysiąca. Do kontraktów kupna i sprzedaży dóbr i gruntów i wszelkich praw zapisanych w księdze hipotecznej do 1,000 zł. stempel 8 groszowy a wyżej po 15 gr. od każdego tysiąca; przy kontraktach zamiany, stempel oblicza się od połowy szacunku za jaki nieruchomości przy ostatniej tranzakcyi nabytą została, — przy umowach czynszowych i wieczysto dzierżawnych po zł. 3 od włóki chełmińskiej, od mniejszej zaś przestrzeni po zł. 1 gr. 15. Przepisy

materyałami archiwum głównego biblioteki uniwersyteckiej i archiwum po b. K. Sk.

<sup>1)</sup> Nie chcielibyśmy ubliżyć naszym ustawodawstwom stemplowym bieżącego stulecia, poczynając od roku 1809, a kończąc na najnowszym, ale musimy przyznać, że w porównaniu z redakcją przepisów zeszłego wieku, jasność i dokładność ma się tu w stosunku odwrotnym do objętości. Przytoczyłem prawie literalnie konstytucye z roku 1775 i 1776 i uniwersały dotyczące stosowności i wprowadzenia ich w wykonanie. W aktach Komisji Skarbu dotyczących téj materyi, nie znalazłem żadnych prawie reklamacyi, lub zapytań co do tłómaczenia wątpliwości albo niejasności; dziś zaś z komentarzy do obowiązującej obecnie ustawy stemplowej możnaby sobie utworzyć niezłą bibliotekę, a mimo to na każdym kroku napotykają się kwestye, zawilości i dwuznaczności, o których wyjaśnienie długą i odległą trzeba odbywać wędrówkę, by w nowe popaść ciemności.



stemplowe b. Rzpltej nie wspominają ani o opłatach spadkowych ani o podatkach od spadków i darowizn, znajdujemy je w art. 31 uchwały 1809 r. p. t.: „Sukcesye, legacye i donacye w sposób normalny dla wszystkich legataryuszów, spadkobierców kolatorialnych, małżonka przy życiu pozostałego, w postaci stempla wartości  $\frac{1}{2}\%$  od sumy zapisu lub darowizny, z uwolnieniem jednak od tój opłaty wszelkich zakładów dobroczynnych, naukowych, klasztorów, kościołów i innych pia corpora. Takiej samój opłacie i w tym stosunku podlegają (art. 32) ordynacye i fidei comissa; od wszelkich darowizn między żyjącymi stempel potrójny w stosunku ceny, ustanowionój dla aktów kupna i sprzedaży. Akt zapisania się na sąd polubowny sporządzony być winien na stemplu 10 złotowym. Za nieużycie wreszcie przepisanego stempla, ustanawia się kara podwójnej właściwego stempla wartości. Niejasność tego przepisu była powodem reklamacyi, które przez ministrów sprawiedliwości i skarbu w ten sposób rozstrzygnięte zostały, że ściągnięcie kary nie uwalnia bynajmniej od użycia stempla, że więc należy od winnego pobrać potrójną cenę właściwego stempla, z których jedna trzecia strąca się na kupno, czyli dokasowanie papieru ceny właściwej a pozostałość na karę. Przy tój sposobności ustanowiono t. zw. część delatorską na korzyść tego, kto dostrzegł, zaznaczył, lub doniósł władzy skarbowej o dopuszczoném przewinieniu, ta część wynosiła połowę kary, t. j. wartość stempla. Rozdział III uchwały obejmuje przepisy co do opłat sądowych; w sprawach bez oznaczenia szacunku wpis pobiera się od zł. 10,000. Art. 48 obejmuje szczególną klasyfikacyę stron, stanowi bowiem, że w sprawach, których przedmiot na pieniądze oszacowanym być nie może, np. w sprawach o wynadgrrodzenie szkód, w sprawach rozwodowych i t. p., wpis ma być opłacany wedle stanu osób, mianowicie, jeżeli powód należy do klasy włóścian lub do klasy ludzi, których majątek wedle prawdopodobieństwa nie przechodzi 6,000 zł., lub jeżeli jest żołnierzem lub podoficerem, płaci od 500 zł.; drugą kategorię stanowią kupcy cząstkowi (detaliczni), ofycjaliści, wojskowi do stopnia kapitana włącznie, ci płacą od 10,000 zł. — wszyscy inni, zaliczeni do klasy III, płacą od 20,000 zł.

Uchwała 1809 roku w miejsce dawnego stempla od przywilejów i dyplomów wprowadza opłatę od nominacyi, czyli patentów na urzędy lub funkcyje publiczne (stempel nominacyjny), w stosunku 10% płacy rocznej, a w dalszym ciągu opłat stemplowych w rzeczach administracyjnych zamieszcza i podatki przemysłowe i patentowe i opłaty od tytułów honorowych, podciągając to wszystko pod jedną ogólną kategorię opłat administracyjnych. Żeby dać przykład tój gmatwaniny, jaka w uchwale 1809 panuje, przytoczę, że po opłatach od przywilejów na szlachectwo dla cudzoziemca (3,000 zł.) dla krajowca (1,800 zł.), od przywileju na tytuł książęcy (16,000 zł.), hrabiowski (12,000 zł.) i baronowski (6,000 zł.) — następuje niebawem

opłata od konsensu na trzymanie bilardu (60 zł.), a nieco dalej opłata stemplowa 2,400 zł. za generalny przywilej dla żyda i jego następców za nabycie praw obywatelskich. Uchwała 1809 r., z której tak jak z praw poprzednich i późniejszych wybitniejsze tylko dla przykładu przytaczam momenta, obowiązywała niedługo, albowiem od 1 czerwca 1812 r. weszło w wykonanie „Prawo o opłatach stemplowych,” zapadłe w r. 1811 i w naszym języku administracyjnym zwane prawem z r. 1811, obowiązujące w Królestwie przez lat z górą 60. O ile w uchwale z r. 1809 przebija na każdym miejscu pośpiech w robocie, niedokładność, brak systematu, przy widoczném usiłowaniu pochwywania różnych źródeł dochodu, o ile jest ona poniekąd odbiciem tego stanu rzeczy, jaki panował w kraju, przedstawiającym obraz domostwa nawiedzonego burzą, pożarem, rabunkiem niosących pomoc sąsiadów, domostwa, którego mieszkańcy po przejściu grozy nie wiedzą od czego zacząć i gdzie co ustawić, o tyle w prawie z r. 1811 widnieje porządek, systemat, umiejętne i konsekwentne połączenie wymagań prawa administracyjnego z ustalonym przez kodeks francuzki porządkiem prawnym. Widoczną jest także myśl przewodnia, słusznego i sprawiedliwego wyzyskania na korzyść skarbu tych wszystkich okoliczności i stosunków, jakie zgodnie z ogólną istotą opłat dają państwu prawo do wynadgodzenia, bez dotkliwej dla stron uciążliwości i tamowania swobody tranzakcyj, bez narażenia interesowanych na obmyślenie wybiegliwych środków obejścia prawa i oszukania skarbu. Prawo z r. 1811 ustanawia siedm rodzajów stempla. — Zwyczajny jednostajnej ceny groszy 10 z przeznaczeniem użycia do tych wszystkich czynności prawnych i administracyjnych, które pod powagą lub też przy jakimkolwiek bądź udziale organów państwowych w interesie stron prywatnych zachodzą. Szacunkowy na podania, trzech rodzajów, 10, 15 gr. i 2 zł. na paszporta zagraniczne zł. 6, na kontrakta najmu i dzierżawy do 300 zł. rocznie groszy 15, do 1,000 zł. 1 i następnie od każdych 500 zł. po gr. 15, do aktów kupna i sprzedaży do 300 zł. gr. 15, do 600 1 zł. do 1,000 zł. 2 i następnie od każdego tysiąca 1 zł., do aktów darowizny między żyjącymi i na testamenta do 1,000 zł. 2 zł. do 10,000 po zł 1 od tysiąca, wyżej zaś nad 10,000 jeden normalny stempel 24 zł. Prawo wyraźnie orzeka, że opłata spadkowa w linii prostej zstępnej i wstępnej nie ma miejsca, lecz w zapisach z części rozrządzałnej nawet dla dzieci pobieraną być ma w stosunku 15 gr. od 100 zł., w linii kolateralnej od wszelkich zapisów po 1 i 1½ zł., od zapisów zaś na rzecz obcych, wcale do sukcesyi nienależących, po 3 zł. od sta. — Stempel kosztów sądowych. W zasadzie wszelkie sprawy między prywatnemi ulegały opłacie wpisu pobieranej w stemplu, składanym pisarzowi sądu w cenie odpowiedniej przedmiotowi sprawy. Najniższy stempel ceny 15 gr. w sprawach do zł. 50, najwyższy normowany był w ten sposób, że w sprawach od 800,000 do miliona, wynosił 1,600 zł., od każdego zaś tysiąca nad milion, do-

dawać należało stempel 20 groszowy. Stempel administracyjny pobierano od nadań z łaski monarchszej pochodzących, np. od dyplomatu na order Orła Białego zł. 1,000, na order Św. Stanisława zł. 500, od pozwolenia noszenia orderów obcych, oprócz saskich i francuzkich, po 2,000 zł., od tytułów honorowych wedle dawnych zasad, wreszcie w złagodzeniu przepisów kodeksu Napoleona w tytule „o małżeństwie“ zamieszczonych, przy udzieleniu pozwolenia na małżeństwo przed ukończeniem lat 18 dla mężczyzn i lat 15 dla kobiet (art. 144 i 145 kod. Nap.), pobierano opłatę w wysokości 300 zł. — Przy zwolnieniu zaś od obowiązku zawierania małżeństw między różnowyznawcami wedle obrzędów obu wyznań zł. 1,000. Pod tymże samym tytułem mieści się stempel nominacyjny, do którego zastosowano umiarkowaną zasadę progresyjną, pobierając od płacy do włącznie zł. 100, zł. 6, do zł. 1,000 zł. 50; wyżej zaś od każdych 100 zł. po zł. 50. Najwyższa opłata, zł. 500, pobieraną była od patentu na mecenasa; zł. 400 od patentu na adwokata i 150 patrona. Pod względem opłat konsensowych, podzielono miasta na pięć kategorii i najwyższą opłatę 720 zł., stosuje prawo do konsensów na założenie teatrów w miastach 1, 2 i 3 rzędu, oraz zł. 600 za pozwolenie pochowania ciała w grobach kościelnych, najmniej zł. 3 od konsensu na założenie fabryki tabaki w miastach 5 rzędu; stempel od kart do gry wynosił od jednej talii kart polskich ceny zł. 1, gr. 3, od kart francuzkich wyrobu krajowego gr. 18, wreszcie od kart zagranicznych, na wprowadzenie których należało mieć zezwolenie ministra skarbu po zł. 6 od talii. Stempel od kalendarzy był dwojaki: od krajowych po gr. 10, od zagranicznych po 2 złote; uchwała z roku 1809 nie wymienia kalendarzy, nie wymienia także stempla od ksiąg żydowskich, który i w prawie 1811 r. nie istnieje. Zarazem w prawach tych, w porównaniu z konstytucjami odnośnemi Rzpłtęj radykalną znajdujemy różnicę: tamte orzekały bezwarunkową nieważność aktów z pominięciem stempla sporządzanych, — te wymierzają kary, ściągane w oddzielnym gatunku stempla, t. j. k a r n y m, w niektórych razach, mianowicie na urzędników, surowe, oprócz bowiem wynadgodzenia szkody, zrzędzonej skarbowi przez nieużycie stempla, poddające winnego karze 150 zł. za raz pierwszy, 300 za drugi i oddaleniu ze służby lub funkcji za trzecie przewinienie, ale ważność samych aktów milcząco uznają.

Z postępem czasu, w miarę zmian zachodzących w stosunkach politycznych i administracyjnych kraju, prawo z r. 1811 okazywało się już to niewystarczającym, już w niektórych swych postanowieniach sprzecznym z istniejącym stanem rzeczy. Sam już fakt przywrócenia Królestwa, ustanowienia zarządu namiestnikowskiego, reorganizacya ministerów i ich atrybucyi, wypadki 1830 r., wszystko to odbijało się w właściwym naturalnie stopniu i na materii stemplowej. Zarządy skarbu i sprawiedliwości wyjednywały u władz wyższych, lub też same w postaci reskryptów i rozporządzeń, wprowadzały w prawie za-

sadniczym zmiany i modyfikacye, streszczone w dwóch podręcznikach i w zbiorze przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego <sup>1)</sup>.

Mimo jednak licznych zmian i uzupełnień, prawo z r. 1811 tyle było niekompletnym i potrzebie czasu nieodpowiadającym, że już w r. 1838 przygotowanym był projekt do nowej ustawy stempłowej. Zamierzona atoli zmiana prawodawstwa cywilnego w kraju, stała się podówczas powodem, że projekt ten pod zatwierdzenie monarsze nie został podany i tylko z uwagi na uznaną możność powiększenia z tego źródła dochodu dla skarbu, zaprowadzono w r. 1839 niektóre, zatwierdzone w drodze prawodawczej zmiany jako to: podniesienie ceny papieru stempłowego najniższej ceny z kopiejek 5 do 7<sup>1</sup>/<sub>2</sub>, podniesienie ceny papieru do podań i używanie stempla najniższego do arkuszy środkowych, do podań i niektórych aktów. Że jednak prace prawodawcze znacznie się przeciągały, a możność powiększenia opłat stempłowych i szukania w tém źródle zasilenia dochodów skarbowych, uznaną została za konieczną jużto przez komitet zwierzchni w Petersburgu, przy naradach nad zniesieniem linii celnej, już też przez inny pod przewodnictwem ministra sekretarza stanu Turkułła, do rozpoznania stanu skarbowego w r. 1855 wyznaczony, z tych zatem powodów Komisya rządowa przychodów i skarbu zaproponowała znów w r. 1856 niektóre w przepisach stempłowych odmiany, dążące do ich uproszczenia i pomnożenia bez uciążenia kontrybuentów, dochodu dla skarbu, jako to: zniesienie dopłaty 10% na fundusz dróg i spławów, a podwyższenie w to miejsce ceny stempla w najniższym gatunku z kopiejek 7<sup>1</sup>/<sub>2</sub> i 10 na kopiejek 15; uwolnienie kwitów na wszelkie wypłaty rubla jednego niedochodzące, od używania stempla; podniesienie w dwójnasób opłat kolateralnych od spadków i darowizn; zniesienie kredytu drugiej połowy wpisów sądowych i wyłączenie od używania stempla wszelkich korespondencyi pomiędzy władzami. Wniosek te Rada administracyjna uznała wówczas za usprawiedliwione, a inne jako mniej ważne odłożyła do nowej ustawy; lecz zanim odpowiedni projekt do Najwyższego Ukazu przedstawiony został, Cesarz Alexander II przy czytaniu protokołu posiedzenia Rady zwrócił uwagę na to objaśnienie i zazaczył na protokóle, że nieogłoszenie nowego prawa cy-

<sup>1)</sup> a) Zbiór praw i przepisów stempłowych w czasie od dnia 23 grudnia 1811 r. do dnia 10 kwietnia 1828 r., wydanych, ułożonych przez Wincentego Wojciecha Trzetrzewińskiego referenta w komisji rządowej przychodów i skarbu, Warszawa 1828 r. b) Zbiór przepisów stempłowych uzupełnionych rozporządzeniami wydanymi od r. 1811, do końca czerwca 1843 r. Warszawa 1843 r.

b) Zbiór przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego ułożony na skutek Najwyższego rozkazu wyrażonego w odezwie ministra sekretarza stanu Królestwa Polskiego z d. 9/21 października 1864 r. Nr. 340 obejmuje 67 tomów, (książek 68.) w téj liczbie z wydziału skarbowego tomów 20, zawiera przepisy wydane do r. 1865.

wilnego, nie powinno być stawać na przeszkodzie w wydaniu nowej ustawy stempłowej i że jeżeli nie zachodzą inne przeszkody, ułożony projekt do ustawy po rozbiórce w Radzie administracyjnej, podanym być może do Jego zatwierdzenia.

W spełnieniu tego zalecenia, przejrano przedewszystkiém w Komisji rządowej przychodów i skarbu projekt do ustawy stempłowej w r. 1838 przygotowany, lecz przegląd ten okazał, że projekt rzeczony nie odpowiadał już ówczesnej potrzebie i dlatego w r. 1861 przygotowano inny, złożony Radzie administracyjnej Królestwa przy raporcie Kom. rząd. prz. i skarbu z dnia 10/22 września 1862 r., z którego właśnie powstała obecnie uchylona „Ustawa o opłatach stempłowych“ zatwierdzona przez Cesarza Alexandra II pod dniem 25 września (7 października) 1863 (Dziennik praw Kr. Polsk. 1861 r.). Ustawa 1863 r. składała się z dwóch części. Pierwsza obejmuje zasady i przepisy do stanowienia i poboru opłat stempłowych i dzieli się na trzydzieści rozdziałów, z których trzy pierwsze wskazują format, cenę i przeznaczenie papieru stempłowego, oraz ogólne zasady oznaczania wysokości opłat; cztery następne od 4 do włącznie 7, obejmują prawidła o ustanowieniu tych opłat w szczególnych wypadkach. Rozdziały 8, 9, 10 i 11 zawierają dalsze przepisy o prenotacji opłat stempłowych, o wyłączeniach kontroli i zabezpieczeniu dochodu ze stempla, tudzież o sprzedaży papieru stempłowego, a nakoniec dwa ostatnie, to jest 12 i 13, wskazują zasady wymierzania kar kontrawencyjnych i obejmują przepisy przechodnie. Zgoła objęte tu są wszystkie zasady prawa stempłowego, osnute powiększej części na zasadach dotychczasowych, więcęć tylko rozwiniętych i uporządkowanych. Położono zasadę, że opłata stempłowa pobiera się także od umów słownych w razie sądowego uznania ich istnienia, uważano bowiem, że skoro prawo cywilne dozwala dochodzić pretensyi wypływającej z ustnych zobowiązań, słuszném jest, aby w razie gdy sąd istnienie takowego zobowiązania uzna, strona właściwą opłatę skarbowi uiściła.

Poddano opłacie akty i umowy między Towarzystwem kredytowym ziemskim a właścicielem dóbr, lub inuemi pod względem tychże dóbr interesowanemi osobami zachodzące, a mianowicie: akty wypłaty przyznanej przez Towarzystwo pożyczki, jak obligacye, sprzedaż i dzierżawa.

Wprawdzie prawo z r. 1825 o ustanowieniu Towarzystwa kredytowego ziemskiego w art. 207, uwalnia od stempla Listy zastawne, oraz wszelkie korespondencye władz Towarzystwa, tudzież osób interesowanych z temiż władzami, to wszakże zauważono że uwolnienie nie może się odnosić do aktów wypłaty pożyczki, oraz sprzedaży lub dzierżawy dóbr, bo przy tego rodzaju aktach koszta aktu a tém samém i opłaty stempłowej z samego prawa do strony nabywającej należą, a że tą stroną nie jest Towarzystwo, zatem akta te opłacie stempla ulegać powinny.

Część drugą stanowi taryfa poboru, ułożona w porządku alfa-

betycznym. Podług prawa z roku 1863 opłaty stemplowe pobierane były: 1) od różnych aktów sądowych i pism, w stemple ceny najniższej; 2) od podań do władz zanoszonych podług ich stopniowania; 3) od umów, zobowiązań i kwitów; 4) od darowizn i spadków; 5) od spraw na drodze sądowej; 6) od nominacji, patentów i pozwoleń. Istniały zarazem tylko trzy gatunki stempla, jeden formatu arkuszowego do aktów, które na stemple pisane być winny, drugi formatu półarkuszowego do realizowania opłat stemplowych, czyli kasowania i trzeci formatu półkwartkowego na weksle. Poprzednio w miarę rozlicznych gatunków stempla, były także różne nazwy opłat, a niekiedy w jednym i tym samym przedmiocie różna cena lub stopa opłaty, dla jednostajności więc i jasności, ustawa 1863 wprowadziła tylko dwojakiego rodzaju opłaty, to jest: *procentową* od sum pieniężnych lub wartości rzeczy, jako to: przy umowach, procesach, spadkach, darowiznach, działach, kwitach i t. p. stałą, od różnego rodzaju aktów, pism lub czynności, jako to deklaracji, ksiąg handlowych, obwieszczeń, konsensów, plenipotencji, pozwów, podań, protokołów, wyciągów, świadectw, i t. p.

Do r. 1863 najniższa cena stempla wynosiła kop.  $7\frac{1}{2}$ , cena ta przeznaczona była zarazem i na arkusze środkowe do niektórych czynności i aktów, przy kupnie zaś papieru stemplowego wszystkich gatunków, pobierano 10% na drogi i spławy. Ze względu jednak, że rada administracyjna jeszcze pod d. 24 lutego (7 marca) 1856 r. nr. 9,756 uchwaliła zniesienie opłaty drogowej, a w to miejsce podwyższenie najniższych cen stempla do kop 15, ustanowiono najniższą cenę stempla na kop. 15 przy zniesieniu 10% na drogi i spławy dotąd pobieranego i używania papieru stemplowego do arkuszy środkowych.

W myśl prawa z r. 1811 i wprowadzanych w nie później modyfikacji, umowy i zobowiązania podlegały następującym opłatom stemplowym:

Umowy o kupno i sprzedaż, i zamianę, tak nieruchomości jako i ruchomości, o dzierżawy wieczyste  $\frac{1}{5}\%$  czyli po dwa od tysiąca. Umowy o dzierżawy czasowe po  $\frac{1}{10}\%$  czyli po 1 od tysiąca.

Oblig, zastawy, kaucye: przy sumach hipotecznych po 1 od tysiąca, przy sumach niehipotecznych po  $\frac{1}{2}$  od tysiąca.

Umowy i akta, których przedmiot nie może być na pieniądze obliczony, podlegały opłacie po kop. 15. Uznając je za nieodpowiednie wytworzonym w następnym peryodzie stosunkom społecznym i ekonomicznym, dążąc zarazem do powiększenia dla skarbu dochodu, podwyższono dotychczasową stopę procentową przy umowach i zobowiązaniach, a zarazem ustosunkowano ją tak, iżby stopa opłaty stemplowej nie była jednakową przy czasowej lokacji z tą, jaka ma być przy unieruchomieniu kapitału, a nadto aby hipoteczne zabezpieczenie sumy, przedmiotem zobowiązania będącej, nie podlegało wyższej opłacie jak od sum niehipotecznych, a to z powodu, że lubo wierzytelność hipoteczna nieważniejszą rękojmię, to znów dopełnienie

form ku temu wskazanych, większe częstokroć niż opłata stemplowa pociąga za sobą wydatki, przyjęto więc za zasadę: że opłata stemplowa najniższą być winna przy aktach poręczeń i pożyczkach, jako obrotach kapitału krótkotrwałych, wzrastać ma przy umowach o kupno ruchomości, dzierżawę, spółkę, ubezpieczenie, jako obrotach, spełniających się w dłuższym czasie, a dochodzić swego maximum przy unieruchomieniu kapitału.

Jakoż projektowano do aktów poręczeń i kaucyi bez względu czy hipotecznych czy niehipotecznych po  $\frac{1}{2}$  od tysiąca, czyli  $\frac{1}{20}$  od sta, do umów o zastawy i pożyczki, także bez względu czy hipoteczne czy niehipoteczne, po 1 od tysiąca, czyli  $\frac{1}{10}$  od sta; do umów o sprzedaży, kupno i zamianę ruchomości, o spółkę, dzierżawy czasowe, poddzierżawy, najem rzeczy, usług i robót, oraz o dostawy i ubezpieczenie po  $\frac{1}{2}\%$ , do umów o kupno, sprzedaż i zamianę nieruchomości, tudzież o wieczyste dzierżawy po 1 od sta.

Podług poprzedniej ustawy weksle podlegały téj samej opłacie stemplowej co obligi.

W zamiarze uprzystępnienia stronom użycia stempla wekslowego, prawo z r. 1863 wprowadziło skalę ustopniowaną bardzo umiarkowaną, wynoszącą od pierwszych 300 rs. kop. 15, przy obrotach sum poważniejszych obniżającą się, przy sumach bowiem do włącznie rs. 1,500, opłata odpowiadała  $\frac{1}{20}\%$ , a od téj sumy zniżała się, wynosząc od rs. 10,000 do sumy najwyższej rs. 7 kop. 50.

Do r. 1863, w sprawach cywilnych pobierano trzy rodzaje wpisów: główny w kwocie najniższej kop. 15 z pewnem ustopniowaniem postępowém do sumy przedmiotu 150,000 rs. (opłata rs. 240) dodając od każdego dalszych 150 rs. po kop. 10; dodatkowy przy wyrokach w biegu sprawy zapadających w wyższych instancjach, wynoszący od kop. 15 do rs. 3 najwyżej i egzekucyjny, wynoszący  $\frac{1}{5}$  część wpisu głównego, — nadto w sprawach ważniejszych, mających za przedmiot sumę wyższą nad rs. 1,500. Obok tego dzielono wpis na dwie równe części, jedną opłacaną przy podawaniu sprawy do sądu, drugą, ulegającą poborowi po zapadłym już wyroku. Prawo z r. 1863 uchyliło ów kredyt, jako dla skarbu szkodliwy i w odzyskaniu kłopotliwy, ustanawiając skalę normalną wielce umiarkowaną w przedmiotach do rs. 3,000 po 1% do rs. 9,000 po  $\frac{1}{2}\%$ , od rs. 9,000 do najwyższej, po  $\frac{1}{5}\%$ ; we wszystkich zaś sprawach cywilnych bez wartości pieniężnej, po rs. 3.

W opłatach nominacyjnych przyjęto zasadę po 2% od płaconych rocznie pobierań.

Opłaty konsensowe jednorazowe podzielono na 5 klas nie wedle kategorii miast jak poprzednio, ale wedle ważności samych zakładów i przedsiębiorstw: najwyższa opłata rs. 30, dotykała przeważnie zakłady i fabryki, najniższa po kop. 15, pobieraną była od patentów

(konsensów) na zakłady podrzędne przez ludność uboższą wykonywane, jako to: garkuchnie, sklepiki, stragany etc.

Co się tyczy opłaty stempłowej od kart, kalendarzy i rubrycel drukowanych, w myśl ustawy z r. 1811 pobieranych, to ze względu, że sprzedaż kart od r. 1851 dopełnianą była w Królestwie na rzecz cesarskiego domu wychowania sierot w Petersburgu, a za to skarb Królestwa otrzymywał indemnizacyą rs. 18,386 kop. 10<sup>1</sup>/<sub>2</sub> rocznie, dochód zaś od kalendarzy był mało znaczący, bo wynosił około rs. 2,800 rocznie, kontrola zaś tego dochodu i dla skarbu i dla stron była uciążliwą i niedogodną, gdy nadto przy podniesieniu najniższej ceny stempla do kop. 15, obłożenie tych przedmiotów opłatą byłoby przeciążeniem, bo ta przenosiłaby częstokroć wartość samego przedmiotu jak np. rubryceli lub kalendarzy ściennych i ludowych, z tych powodów opłatę od kart, kalendarzy i rubrycel całkiem pominięto. Zasadę wymiaru kar kontrawencyjnych jako umiarkowanych, w ogólności pozostawiono w ustawie z roku 1863, z tą tylko odmianą, że za nieużycie stempla do weksli zaprojektowano karę 5% od kwoty, do której nie użyto stempla, a to z tego powodu, że kontrola nad używaniem stempla do weksli jest prawie niepodobną i że tylko obawa wysokich kar zastąpić ją może. Co zaś do kar za przepuszczenie kontrawencyi i inne przekroczenia miano na uwadze, że te dotycząc samych tylko urzędników, są zbyt surowe i przez to często pomijane, wysołość ich więc ustanowiono na rs. 1 kop. 50.

Nadmienić tu zarazem wypada, że kontroler generalny Królestwa pomiędzy spostrzeżeniami, jakie przy ogólnym obrazie najwyższej Izby Obrachunkowej za lata 1854 i 1855, względem ulepszeń w niektórych gałęziach służby skarbowej Radzie administracyjnej złożył, mówiąc o dochodzie ze stempla uczynił uwagę, iż przy zmianie prawa stempłowego byłoby słuszném żądać aby, jak to jest w Cesarstwie, weksle, umowy i wszelkiego rodzaju zobowiązania, pisane były na odpowiednim papierze stempłowym pod zagrożeniem ich nieważności, a z tego powodu Rada administracyjna decyzjami w odezwach sekretarza stanu z dnia 27 maja (8 czerwca) 1858 roku nr. 3573 i z dnia 16/28 września 1859 r., nr. 2537 objawionemi uznała: że przy rozpoznawaniu projektu do nowej ustawy stempłowej, nastęrczy się najdogodniejsza sposobność do należytego ocenienia, jak dalece można będzie pomieścić w nim przepis przez kontrolera generalnego proponowany. Propozycja ta nie mogła się ostać w obec współczesnych pojęć o prawie i powadze dowodowej, jakoż w ustawie 1863 utrzymaną została dawna zasada wymiaru kar kontrawencyjnych, bez unieważnienia aktów, chociażby na papierze bez stempla pisane były. Powodowano się w tej mierze niewątpliwie tém rozumowaniem, że jakkolwiek zasada uznawania nieważności aktów prywatnych na stemplu nie sporządzanych, była w dawnych prawodawstwach niemal powszechną, lecz z postępem prawodawstwa porzucono ją tam nawet,



gdzie poprzednio była zastosowaną, stanowiąc natomiast kary kontrawencyjne; że odjęcie mocy dowodu aktom na stemplu nie pisanym byłoby karą bardzo dotkliwą, nieraz niezasłużoną dla wierzącego, od którego nie zawsze zależy, jaki rodzaj dowodu dłużnik mu wystawi, a stanowiłoby niesłuszne wzbogacenie w każdym razie współwinnego, bodaj czy nie z złej woli dłużnika; że prawo pierwsze miejsce daje dowodowi na piśmie, a po nim dopiero kładzie inne mniej pewne, jak ze świadków i przysięgi, a nadto uznaje jeszcze za ważne nawet umowy ustne, a tym samym skutkiem unieważnienia aktu piśmiennego, strony musiałyby z konieczności odwoływać się do dowodów ze świadków i przysięgi, a zakres umów ustnych rozszerzać, co wszystko w razie sporów, dla sądów trudniejszym czyniłoby wymiar sprawiedliwości, a dla stron uzyskanie jej daleko kosztowniejszemu.

Rozdział V § 41 ustawy i poz. 202 ustawy przepisuje opłaty stempłowe od zmiany własności nieruchomości lub ruchomych w skutkach spadków, majoratów, darowizn i zapisów, stanowiąc opłatę od zapisów i darowizn z części rozrządzałnej w linii prostej, zstępnej 2% od wszelkich spadków i darowizn na rzecz wstępnych, współmałżonka, dzieci naturalnych uznanych, 3% od krewnych, 6% od obcych i powinowatych.

Rozporządzenie tym przepisem objęte ma także swoją historią. Donacje i rozdawnictwa z szcudroblowości monarszej w kraju tutejszym czynione, uwolnione zostały w r. 1836 przez rozporządzenie Komisji rządowej przychodów i skarbu od wszelkich opłat, jakkolwiek ustawa o donacjach nietylko nie uwalnia donataryuszów od ponoszenia opłat i ciężarów prawami krajowemi postanowionych, ale owszem wyraźnie wkłada je na obdarowanych. Z tego powodu komitet wyznaczony 1853 do rozpoznania stanu skarbu Królestwa, zwrócił na tę anomalię uwagę, a obok tego uznał że dochód ze stempla możnaby znacznie powiększyć przez podniesienie opłaty od spadków pobocznych i ustanowienie opłaty od spadków w linii prostej. Z tego powodu Komisya skarbu w opracowanym przez siebie w roku 1861, projekcie ustawy stempłowej zaproponowała, aby przy wszelkich zmianach własności, bez względu czy takowe następują wskutek samego prawa, czy przez szcudroblivość, nie wyłączając zstępnych w linii prostej, pobierać opłatę dla pierwszej kategorii (dzieci i dalszych zstępnych) stosunkowo umiarkowaną, bo po 1/2% podnosząc takową dla następnych kategorii do 2, 3 i 6%. W trakcie dyskusji, że tak powiem gabinetowych, nad ustawą stempłową, która podobnie jak wszystkie z epoki 1861/3 roku prawa i przepisy, pod osobistym kierownictwem i przy bezpośrednim współdziałaniu ówczasowego sterownika spraw publicznych w kraju naszym, margrabiego Wielopolskiego przygotowaną była, margrabia oświadczył się przeciw obciążeniu spadków w drodze samego prawa na zstępnych przypadającego, upatrując w tym obrazę podstawową prawa własności, na zasadzie którego ko-

niecznym, naturalnym spadkobiercą zmarłego bez żadnych wyłączeń i ograniczeń jest jego potomstwo; ulegając atoli pobudkom fiskalnym nie sprzeciwił się wniesieniu projektu w pierwotnej formie do Rady administracyjnej, która projekt w tym punkcie zmodyfikowała.

Ostatnią datą wykonalności z szeregu wielkich prac reformatorskich, podjętych pod sterem Wielopolskiego, ustawa stemplowa 1863, uległa temuż samemu co tamte losowi. Modyfikowano ją *de facto* i *de jure*.

Nowe osobniki administracyjne, mianowicie niższych organizmów, czując się powołanemi do przeprowadzenia wielkich zadań ogólnopaństwowych, przeszkodzone z tego powodu w obznajmianiu się z prawami w kraju obowiązującemi, upatrywały w zewnętrznych cechach stemplowych oznaki niebezpiecznego separatyzmu i często wymagały użycia stempla nieistniejącego w sprzedaży miejscowej, lub uiszczania natomiast opłat bezpośrednich, w stosunku ustawą nieokreślonym. Opór przeciw tym wybrykom prawodawców własnego powołania tém był trudniejszym, że w razie nieuległości stosowano zasadę ustaw Cesarstwa, wedle której podania nie opatrzone właściwym stemplem nie ulegały rozbirowi (pozostawały bez ruchu). Na drodze znów prawodawczej nie przepuszczano żadnej okoliczności, zmierzającej do ujednostajnienia praw i przepisów w Królestwie obowiązujących z prawami i ustawami Cesarstwa, a gdzie się to wprost przeprowadzić nie dało odejmowano organizmowi miejscowemu niektóre członki, zastępując je pospiesznie innemi ogólnopaństwowego wyrobu i typu. Łatwo zrozumieć o ile uciążliwym i niedokładnym był ruch całości w obec takiej pstrocizny i łataniny, a te cząstkowe operacje ciągle się powtarzały. Minister skarbu w raporcie swym obejmującym motywa do wprowadzenia w Królestwie ustawy stemplowej Cesarstwa, przytacza między innemi: że już w r. 1872 w epoce przygotowywania materiałów do ustawy, która w dwa lata później wydana została dla Imperyi, zaprzętao się myślą podciągnięcia pod nią Królestwa i komisya podatkowa nie znajdowała wielkich w téj mierze trudności, chodziło tylko o pewne zmiany w prawodawstwie i procedurze cywilnej, tymczasem jednak już w roku 1873 uchylono stosowanie przepisu o stemplach nominacyjnych, odnośnie do urzędników przybywających z Cesarstwa na służbę do Królestwa i nieuczestniczących w tutejszem stowarzyszeniu emerytalnym; przez Ukaz z dnia 19 lutego 1875 r. wprowadzono do Królestwa, poczynając od dnia 1 lipca s. st. 1876 r. ustawy sądowe Cesarstwa wraz ze wszystkimi opłatami i pobórmi sądowemi, następnie z mocy ukazu z d. 30 grudnia 1878 r. zastosowano do Królestwa stempel wekslowy w Cesarstwie obowiązujący; na mocy zatwierdzonego pod dniem 15 stycznia 1882 r. wniosku Rady państwa, uchyloną została poz. 202 taryfy stemplowej 1863 r., stanowiącej opłaty od zmian własności w drodze darmej i zastąpiona nową skalą, wedle której od spadków, darowizn, legatów, majoratów, pobiera się w razie przechodzenia majątków

na rzecz małżonków, spadkobierców w linii prostej, zstępnej i wstępnej, dzieci przysposobionych i małżonków dzieci, opłata w stosunku 1<sup>o</sup>/<sub>o</sub>; na rzecz pasierbów i pasierbic, braci i sióstr rodzonych i przyrodnych, siostrzeńców i siostrzenic 4<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, dalszych krewnych i powinowatych 3 i 4-go stopnia po 6<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, wreszcie na rzecz wszystkich innych po 8<sup>o</sup>/<sub>o</sub>. Wprowadzona obecnie od d. 1/13 lipca 1884 r. ustawa stempłowa Cesarstwa ma na widoku cel trojaki: polityczny, rugujący szczątki odrębności, odróżniającej administracją tutejszego kraju od innych części państwa, prawny,—ustalający pewną prawidłowość formalną, wreszcie, fiskalny przewidujący znaczne z tego źródła zwiększenie dochodów skarbowych. Czas dopiero pokaże, czy i o ile przewidywania te ziszczone zostaną. W końcu przytaczam tabele wykazowe dochodów stempłowych, a) z epoki 1775—1794, zebrane ze źródeł w archiwach po K. R. P. S. znajdujących się, b) z epoki Księstwa Warszawskiego 1809/15 wedle preliminarzy budżetowych, z tą wzmianką, że w ogóle rachunkowość z tego czasu prowadzona była u nas wedle systematu pruskiego, a w w materyałach pozostałych są wielkie próżnie i braki, tak dalece, że z nich trudno sobie wyrobić pojęć o skarbowości Księstwa Warszawskiego, c) wreszcie z epoki 1815/1866 z dzieła Jana Blocha „Finanse Królestwa Polskiego“ stanowiącego nieocenioną wartość źródła dla skarbowości Cesarstwa i Królestwa <sup>1)</sup>.

Warszawa, 5 września 1884 r.

---

<sup>1)</sup> Nie wdając się w szczegółowy rozbiór opłat pobieranych, a dziś tak uciążliwych, od zmian własności, mianowicie nieruchomości, kwestya ta wymaga bowiem oddzielnej pracy, tę tylko można zrobić uwagę, że opłaty to, zaliczone zupełnie słusznie przez Steina i Bilińskiego do podatków (Verkehrs-Steuer — podatki od przenoszenia), najcenniejszymi figurowały u nas w taryfie stempłowej.

I. Wyciąg z generalnych rachunków sejmowych percept i ekspens Skarbu Rzeczypospolitej, od dnia 8 kwietnia 1775 do 1 marca 1794 roku.

D o c h ó d z e s t ę p l o w a n y c h		Z ł o t e p o l s k i e, g r o s z e i d e n a r y		K a l e n d a r z y		K s i ę g z y d o w s k.		O g ół e m		U w a g i		
Za przeciąg czasu	Papieru	Kart	Kalendarzy	Księg żydowsk.	Ogółem	Uwagi						
Od d. 8 kwietnia 1775 do końca sierpnia l. r.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	Nie pokazano szczegółów		
Od d. 1 września 1775 do końca sierpnia.	—	—	—	—	—	—	—	—	—			
Od d. 1 września 1776 do końca sierpnia	1776	—	—	—	—	—	—	—	—			
Od 1 wrzesn. 1778 do k. sierpnia	1778	642936	14 101/2	95625	15	14715	15	14395	7 9		767572	22 11/2
" 1780 "	1780	766277	13 5	108247	15	14588	7 9	47280	7 9		936393	13 5
" 1782 "	1782	790234	29 69/4	77188	11	14276	22 9	12659	23		894359	25 153/4
" 1784 "	1784	759198	15 10	58019	4	12998	—	9732	15		839948	4 10
" 1786 "	1786	776058	27 34/4	85265	10	16137	—	10580	17 9		888041	24 121/4
" 1788 "	1788	854040	18 11/4	123839	26 9	17941	22 9	9834	9 9		926655	16 107/4
" 1788 "	1790	1276001	10 1	58129	10	16826	10 9	11523	21 15		1362479	22 7
Od 1 września 1790 do 1 marca.	1791	268559	7 141/2	13733	—	6036	22 9	5304	7 9		293633	7 141/2
Od 1 marca 1791 do 1 marca.	1792	1289955	13 11/4	36600	—	11372	7 9	9005	13 12		1346933	4 41/4
Od 1 marca 1792 do 1 września.	1792	661561	3 111/2	20339	28	3097	20	1447	22 9	686446	14 21/2	
Od 1 września 1792 do 1 marca.	1793	241770	7 171/2	31038	10 6	6774	15	4041	5	283624	8 51/2	
Od 1 marca 1793 do 1 września.	1793	178532	28 91/4	20292	12	1634	7 9	1570	5	202029	23 11/4	
Od 1 września 1793 do 1 marca.	1794	67131	26 9	10184	28	3761	22 9	876	5	81954	22	

## II. Księstwo Warszawskie.

Departamenta, a) dawne:

- 1) Warszawski,
- 2) Poznański,
- 3) Kaliski,
- 4) Płocki,
- 5) Bydgoski,
- 6) Łomżyński;

b) nowo przybyłe od roku 1810:

- 7) Siedlecki,
- 8) Lubelski,
- 9) Radomski,
- 10) Krakowski.

Dochód z papieru stempłowego i kart netto wykazany jest w budżetach Księstwa Warszawskiego

na rok 1809/10 w ilości złp.	319,635
„ 1810/11 „ „	} 1,041,271
„ 1811/12 „ „	
„ 1812/13 „ „	2,653,225 gr. 15
„ 1813/14 „ „	1,091,870 gr. 2
„ 1814/15 „ „	1,190,945

## III. Opłaty stempłowe w Królestwie Polskiem—według Blocha.

Za czas i lata	Dochody z opłat stempłowych	Indemnizacja ze skarbu Cesarstwa za karty do gry	Za czas i lata	Dochody z opłat stempłowych	Indemnizacja ze skarbu Cesarstwa za karty do gry
	Złotych polskich		lata	Rubli srebrem	
Od 1 czerwca 1815 r. do 31 maja 1816.	995000	—	1842	469000	—
Od 1 czerwca 1816 r. do 31 grudnia t. roku.	687000	—	1843	467000	—
1817	1530000	—	1844	477000	—
1818	1591000	—	1845	469000	—
1819	1664000	—	1846	468000	—
1820	1744000	—	1847	454000	—
1821	1695000	—	1848	409000	—
1822	1881000	—	1849	406000	—
1823	2326000	—	1850	435000	—
1824	2502000	—	1851	404000	—
1825	2420000	—	1852	385000	15000
1826	2232000	—	1853	442000	18000
1827	2524000	—	1854	445000	18000
1828	2342000	—	1855	410000	18000
1829	2143000	—	1856	476000	18000
Od 1 stycznia do 29 listopada 1830 r.	2086000	—	1857	485000	18000
Od 1 grudnia 1830 r. do 15 września 1831.	593000	—	1858	506000	18000
Od 16 września 1831 r. do końca 1831.	360000	—	1859	532000	18000
1832	2457000	—	1860	577000	18000
1833	2566000	—	1861	537000	18000
1834	2535000	—	1862	621000	18000
1835	2549000	—	1863	394000	18000
1836	2613000	—	1864	815000	18000
1837	2753000	—	1865	949000	18000
1838	2910000	—	1866	900000	18000
1839	2757000	—			
1840	3096000	—			
1841	3026000	—			

# Wycieczka do Madrytu.

PRZEZ

*Eugeniusza Lipnickiego.*

Dawne warunki czasu i przestrzeni coraz radykalniejszym ulegają zmianom. W służbie człowieka iskra elektryczna prędkiej obiega kulę świata, aniżeli strzały słoneczne. Podróż, która dawniej wymagała kilka tygodni a może miesięcy, odbywamy teraz w ciągu kilku dni. Ogromną przestrzeń z Londynu do Carogrodu t. zw. „Orient-Express,” przebywa w ciągu 89 godzin, a przebieże ją jeszcze w krótszym czasie, gdy po wykończeniu kolei turecko-bułgarskich ustanie konieczność przesiadania się w Warnie na parowiec. Podróż około świata, która dawniej otaczała śmiałka aureolą bohaterstwa, dziś zasługuje już tylko na nazwę „promenady,” jak swą ciekawą podróż skromnie nazwał br. Aleks. Hübner. Kraje, miasta i miejsca tak odległe, że dawniej wyobraźnia tylko w zachwycie szeptała nam, że je kiedyś ujrzemy, dziś stały się łatwo przystępnymi. Chęć zwiedzenia Hiszpanii jeszcze przed 20 laty dla wielu z nas na dalekim Wschodzie była tém, co budować zamki na lodzie, czyli „chateaux en Espagne.” Dziś miesiąc wolnego czasu i kilkaset rubli wystarczy, aby śmiało niegdyś marzenie urzeczywistnić. W 84 godzin, w wygodnym jak salonik wagonie, nie doznając głodu i pragnienia, nie narażając się na większe niebezpieczeństwo, aniżeli jadąc z Warszawy do Płocka, docieramy do zachodnich krańców Europy! Wstyd to nazwać podróżą!

Przecież zabrałem się do opisania takiej podróży do Madrytu, bo sędzę, że pomimo ogromnego mnóstwa po części wybitnych dzieł o Hiszpanii, świeże i podmiotowe spostrzeżenia każdego turysty mogą uzupełnić ten lub ów szczegół obrazu, obojętny dla jednych, więcej zajmujący dla drugich.

## I.

Na drodze do Paryża zatrzymałem się w Stuttgardzie, ponieważ

dotąd nie znałem stolicy Wirtembergii i zamierzałem odwiedzić mieszkającego tam od kilkunastu lat d-ra Schaefflego, byłego ministra handlu w federalistycznym gabinecie hr. Hohenwarta (1871).

Ze licząca dziś około 110,000 mieszkańców stolica wirtemberska, wzrasta w ludzi i bogactwa, o tém świadczą rozciągające się z pół mili nad kolejną przedmieście Cannstadt, o wykwintnych willach i ogrodach, które mieszkańcom stołecznym pozwalają łączyć w wygodny sposób przyjemności życia miejskiego i wiejskiego. W Stuttgardzie wysiadamy w jednym z najwspanialszych dworców europejskich, o ogromnym ganku środkowym i licznych bocznych salach dla odjeżdżających. Nad drzwiami każdej sali w wieńcach kwiatów umieszczone są nazwy głównych miast odnośnej ruty. Do innej sali więc wchodzi podróżni do Strassburga, do innej jadący do Rottweilu, do innej znowu jadący do Heilbronn i t. d. Napozór jest to rozkład bardzo wygodny, w rzeczywistości chodziło tylko o pretekst do urządzenia kilkunastu sal, bo pociągi nie wyjeżdżają przecież równocześnie. Nadto wszystkie pociągi w dworcu stają na tém samym miejscu, nie zaś raz przed tą, raz przed drugą salą. Opuściwszy więc np. salę strassburską, trzeba jeszcze długo szukać na peronie odpowiedniego pociągu. Słowem ogromny dworzec stuttgardzki, wieczorem lśniący od światła elektrycznego, jest kosztownym zbytkiem, a nie odpowiada swemu właściwemu przeznaczeniu lepiej, niż inny skromniutki dworzec. Zaraz w pierwszej ulicy znajduje się kilka pierwszorzędnych oberży. „Hôtel royal,” w którym stanąłem, zasługuje na polecenie. Niedaleko dworca, przy dość obszernym placu, stoi pałac królewski, wystawiony, jak pałac drezdeński, na wzór wersalskiego, naturalnie en miniature. Po prawej stronie widać starożytny, pochodzący z XV stulecia, zamek książęcy o ciekawych arkadach w dziedzińcu; po lewej stronie stoi teatrzyk królewski, bardzo skromny w porównaniu do nowego teatru drezdeńskiego; naprzeciwko zaś pałacu królewskiego, za pięknym parkiem, wznosi się obszerny, t. zw. „Königsbau,” wybudowany pomiędzy r. 1850 a 1860, kosztem króla. Potężny gmach ten składa się z dwóch długich skrzydeł, połączonych ze sobą szklanym dachem; zewnątrz otacza go z czterech stron poważna kolumnada. W parterze znajduje się kilkadziesiąt składów najrozmaitszego rodzaju, król bowiem wynajmuje cały gmach przemysłowcom. Czy ta szczególniejsza lokacja kapitałów królewskich jest korzystną, nie wiem, ale to pewna, że „Königsbau” pod względem architektonicznym stanowi najpoważniejszą ozdobę Stuttgardu, który zresztą żadną miarą nie dorównywa ani Dreznowi, ani Monachium, ani nawet, co do różnych osobiwości gotycko-germańskich, Norymberdze.

Spędziwszy kilka godzin na obejrzeniu miasta, a wieczór w teatrze królewskim, gdzie dawano grywaną w wiedeńskich teatrzykach przedmiejskich starodawną pospę Nestroja: „Einen Jux will er sich machen;” nazajutrz, we wtorek 20 maja, udałem się do d-ra Schaefflego, zamieszkującego drugie piętro przy jednej z odleglejszych ulic.

Kilka ostatnich lat zmieniło go do niepoznania. Kiedy widziałem się z nim po raz ostani, zdaje mi się przed ósmiu laty, był to brunet, barczysty, silny, zdrowy, nie przypominający w niczém profesora, ślęczącego nad książkami. Teraz przyjął mi nieomal staruszek, całkiem osiwiwały, z szeroką białą chustką na szyi, w długim czarnym surducie. Salon zapełniony najrozmaitszemi drobnostkami, jakby wystawa porcelany, fajansów z chińskich i japońskich figurek; w drugim pokoju, bibliotece, wszystkie pułki książek pokryte bielizną. Gospodarz domu wyjaśnił mi to niebawem tém, że za kilka dni wydaje swą córkę, jedynaczkę, zamąż. W dwugodzinnej rozmowie przekonałem się, jak stanowcza zmiana zaszła w politycznych zapatrywaniach d-ra Schaefflego. Urodzony 24 lutego r. 1831 w Nürtingen w Wirtembergii, słu chał on zrazu teologii (protestanckiej), wziął udział w zbrojnych ruchach r. 1848, następnie był spółredaktorem dziennika „Schwäbischer Merkur,” potem uzyskał stopień doktorski i w r. 1861 został profesorem ekonomii politycznej na słynnej wszechnicy w Tübindze. W sejmie wirtemberskim, a w r. 1868 w niemieckim parlamencie cłowym odznaczał się antypruskimi dążnościami. Właśnie temu kierunkowi zawdzięczał, że w r. 1869 był powołany na profesora ekonomii politycznej do Wiednia, bo, jak wiadomo, ówczesny kanclerz austriacki hr. Beust, wszelkie swe rachuby polityczne opierał na anty-pruskich żywiołach niemieckich i starał się pozyskać takowe dla Austrii. Ku zdumieniu federalistów austriackich nagle w lutym r. 1871 po ustąpieniu Potockiego, dr. Schaeffle ukazał się na widowni politycznej jako minister handlu w nowym gabinecie hr. Hohenwarta. Powiadają, że sam cesarz, przeczytawszy wydane w r. 1870 dzieło „Socialismus und Kapitalismus” p. Schaefflego, polecił go nowemu prezesowi gabinetu.

Bądź jak bądź, p. Schaeffle był wówczas namiętym przeciwnikiem ks. Bismarcka i polityki pruskiej. Kiedy na jesień r. 1871 gabinet hr. Hohenwarta upadł, jak się domyślano powszechnie, wskutek interwencji dworu berlińskiego, p. Schaeffle, naturalnie, jeszcze mniej tał swą niechęć do polityki pruskiej. Jeszcze w r. 1873 i 1874 mało było mężów politycznych, którzyby byli otwarciój wyznawali swą nienawiść przeciwko ks. Bismarckowi i usilniój ostrzegali przed jego niebezpiecznemi względem Austrii zamysłami, jak p. Schaeffle. Dziś uważa go jako najszczerzego przyjaciela Austrii, nie pojmuje, jak autoromiści austriacy mogą podejrzywać kanclerza niemieckiego o zamiary wrogie, ceni go jako najroztropniejszego męża stanu niemieckiego i t. d. O takiej radykalnej zmianie zdania nie byłoby warto wspominać ani słówkiem, gdyby był uprawnionym choćby cień tylko podejrzenia nieczystych powodów. Ale w tym razie podejrzenie takie byłoby niesprawiedliwością. P. Schaeffle bowiem, o tém nie można wątpić, jest jaknajmocniój przekonanym, że nie on nawrócił się do ks. Bismarcka, lecz przeciwnie ks. Bismarck nawrócił się do niego. Choć nie wymieniany w dziennikach tak często, jak berliński profesor Wagner, p. Schaeffle jest najgieniałniejszym reprezentantem t. zw.



szoły „Socjalizmu katedry” (Kathedersocialismus). Wielkie dzieło jego „Bau und Leben des socialen Körpers” (3 tomy) wprowadzie jako całość, albo raczej w swój zasadniczej myśli, jest tylko uczoną igraszką. Autor bowiem wychodzi z założenia, że organizm społeczny, czyli naród, jest tém samym, co organizm pojedynczego człowieka. Pierwszy, jak wiadomo, z taką analogią wystąpił Meneniusz Agrippa, twierdząc, że patrycyusze w narodowym organizmie rzymskim są tém samym, co żołądek w ciele ludzkim. Co w ustach Agrippy, albo w opowiadaniu Liviusza było mniej więcej sprytną bajką, u p. Sch. stało się naukową podstawą socyologii. Jak więc mamy anatomią, która opisuje członki ciała ludzkiego, fizyologią, która opisuje ich funkcje, psychologią, która bada duszę ludzką, tak p. Schaeffle, uważając społeczeństwo jako człowieka na wielką skalę, w wymienioném wielkiem dziele tworzy anatomią, fizyologią i psychologią społeczną. Ale to przeprowadzone aż do drobnych szczegółów porównanie pomiędzy człowiekiem a społeczeństwem, jest kardynalnie błędną podstawą wymienionego dzieła. Pomimo tego jest to niezawodnie jedno z najciekawszych i pod wielu względami najbardziej pouczających dzieł lat ostatnich, a bogactwem spostrzeżeń przewyższa wszystkie inne utwory socyologów niemieckich, jak Wagner, Brentano i t. d. Praktyczne zaś wnioski swoje p. Schaeffle wypowiedział w ważnej broszurze: „Die Quintessenz des Socialismus” (1874), w której wykazuje możliwość przeprowadzenia znanego programu socjalistycznego: zniesienie piędędzy, przedsiębiorstw prywatnych, wprowadzenie spółności majątku i t. d.

Socjalistyczny kierunek tłómaczy skrajny zwrot, jaki nastął w sądzie p. Schaefflego o ks. Bismarcku. Odkąd kanclerz niemiecki wszedł na drogę socjalizmu państwowego, p. Schaeffle uważa go jako swego druha, aby nie powiedzieć ucznia. Pan Bismarck umie zręcznie uderzyć w słabą stronę Niemców. To też wezwał p. Schaefflego do Berlina, radził go się, wymieniał z nim (jak nam mówił p. Schaeffle) częste listy, które z czasem będą niezawodnie stanowić nader ciekawy przyczynek do dziejów socjalnej polityki ks. Bismarcka. Wprowadzie p. Leon Say w znakomitým piemku: „Le socialisme d'état“ (Paryż, 1884) powiada: „Le socialisme d'état est une philosophie allemande.“ Co do mnie, sądzę, że ks. Bismarck, który nigdy zbytecznie filozoficznych teorii nie cenił, tak zwanym socjalizmem państwowym posługuje się jedynie w celach dynamicznych, to jest aby podkopać wpływ kół liberalnych i wzmocnić władzę państwową. Pan Schaeffle jednak widocznie wierzy w szczerotę socjalnych „reform“ p. Bismarcka i tém dostatecznie tłómaczy się zwrot w politycznych przekonaniach byłego ministra austriackiego. Gdy więc dawniej potępiał stanowczo centralizacyą (por. „Socialismus und Capitalismus“), dziś twierdzi, że separatystyczne pierwiastki w Niemczech są jeszcze tak silne, iż po śmierci ks. Bismarcka, hr. Moltkego i cesarza Wilhelma, niezawodnie rozsądzą świeżo utworzoną jedność niemiecką; dlatego trzeba popierać

wszelkie usiłowania ks. Bismarcka, zmierzające do ustalenia tój jedności. I tak np.: z socyalnego lub socyalistycznego programu pana Schaefflego wynika także logicznie potrzeba upaństwowienia kolei żelaznych, czyli odebrania ich spółkom prywatnym, akcyjnym, a oddania ich pod zarząd ogółu czyli państwa, bo socyalizm nie rozróżnia pomiędzy państwem, pomiędzy nieograniczoną władzą a wolnemi, samoistnemi indywiduami. Jako federalista, p. Schaeffle mógłby jednak pomimo swych dążności socyalistycznych poprzestać na tém, aby koleje prywatne były upaństwowione w Prusiech, w Wirtembergii, Bawaryi i t. d. Zamieniwszy się w wielbiciela ks. Bismarcka, przemawia teraz nietylko za upaństwowieniem, lecz także za scentralizowaniem kolei niemieckich, czemu jak wiadomo, dotąd Bawarya, Wirtembergia i t. d., stanowczo się opierają. Rozmawialiśmy także o świeżem wówczas oświadczeniu księcia Bismarcka (w sejmie niemieckim) o „prawie do pracy“ (Recht auf Arbeit, właściwie: prawo zarobku). I tu, całkiem logicznie ze stanowiska teoryi socyalizmu, którą w tym względzie pierwszy sformułował a nawet wprowadził w praktykę uczony francuzki, Ludwik Blanc jako minister robót publicznych w r. 1848, p. Schaeffle z wielką werwą stawał w obronie ks. Bismarcka i usiłował wykazać możliwość tój także „reformy...“

Wyznaję szczerze, że rozmowa z p. Schaeffle'm wprawiła mnie w pewien przykry nastrój umysłowy, którego zupełnie pozbyłem się dopiero w Madrycie po rozmowie z Castellarem. W ogóle niemcy od r. 1871 stają się coraz mniej sympatycznymi, coraz trudniej zrozumieć się z nimi i coraz trudniej teraz nawet w wagonie i w hotelu uniknąć sprzeczki, którą wywołują chętnie z każdym, kto nie ma ochoty składać hołdu potędze, wielkości i wszelkim innym niezrównanym zaletom narodu niemieckiego. Wyjechawszy ze Stuttgardu o godzinie 12 minut 15, o 5¼ stanęliśmy w ogromnym znowu nowym dworcu strasburskim, będącym niejako wzorem obwarowanych i najeżonych działami dworców przyszłości — jeżeli militaryzm będzie się rozwijał tak samo jak dotąd. Na przestronnym peronie roito się od żandarmów. Zanim otworzono wagony, komisarz policyi z liczną asystencją rozpoznawał pasażerów, bo w kraju reform socyalnych i zamachów socyalistycznych zawsze się nastęrcza sposobność do ścigania niebezpiecznych zbrodniarzy. Dzień był dżdżysty i pochmurny. Może to zwiększało ponury nastrój; ale w r. 1878 przybyłem do Strassburga w piękny dzień majowy i zatrzymałem się tam dzień cały a nie przypominam sobie drugiego miasta o bardziej surowym charakterze. Podejrzliwość, duma, niepewność zwycięzców przebija tam na każdym kroku, obok tłumionych gwałtownie uczuciach boleści podbitych. Z swemi ciasnemi, ciemnemi uliczkami, Strassburg nigdy pewnie nie był miastem wesołości, ale teraz jest widocznie „miastem w żałobie.“

Ruszywszy po obiedzie (o 6½) w dalszą drogę, o zmierzchu przybywszy do Deutsch-Avicourt, ostatniej stacyi niemieckiej, w kilkanaście minut potem docieramy do Igny-Avicourt, pierwszej stacyi

francuzkiój, gdzie wreszcie opuszczamy ciasne i niewygodne wagony cesarsko-niemieckie i po załatwieniu w oka mgnieniu rewizyi kufrów, na grzeczne: „En voiture messieurs“ konduktorów francuskich, wsiadamy do paradnych wagonów prywatnej spółki wschodniej (l'Est). Pociąg pośpieszny składa się z samych wagonów pierwszej klasy; ale jest ich tyle, że w każdym coupé mieszczą się dwie, najwyżej trzy osoby. Wprawdzie i na austryackich kolejach nie łatwiejszego, jak mieć coupé dla siebie: wystarczy mrugnąć na konduktora i wcisnąć mu w zawsze otwartą rękę florena. Ale zato też tych, którzy nie znają austryacko-narodowej, prekonizowanej niegdyś nawet przez ministra Giskrę teorii „łapówek“, albo którzy z niewczesnego katonizmu wzbraniają się opłacać ten podatek nadzwyczajny, konduktor wtłacza po 6 do pierwszej, po 8 do drugiej klasy. Natomiast na francuzkich kolejach, przynajmniej na pociągach pośpiesznych, sama spółka kolejowa zabezpiecza turystom wszelką wygodę, nie szczędząc licznych wagonów. Zajmującą rozmowę z rumuńską księżną B., która odwoziła swego syna do szkoły wojskowej w Paryżu a na gabinet Bratiana powstawała z tą werwą i z tém mistrzostwem w uszczypliwych oszczerstwach, na jakie zdobywają się tylko wielkie panie politykujące, w Epernay przerwała tradycyjna buteleczka szampana. Wreszcie około godziny 6-tój zrana stanęliśmy na dworcu wschodnim w Paryżu.

Wyborna kronika paryska w tak zajmujący i pouczający sposób obznajmia czytelników „Biblioteki Warszawskiej“ z życiem i ruchem Paryża, że popełniłbym gruby pleonasm, rozwodząc się nad Salonem 1884 r., i nad tą niestychanie ciekawą wystawą utworów Meissoniera przy ulicy de Sèze, nad nowym, wspaniałym ratuszem, który powstał na zgliszczach spalonego przez komunę, słynnego w dziejach Francyi „hôtel de ville“, i nad zburzonym teraz doszczętu głównem skrzydłem Tuileryi, nad nowym, urządzonym z niestychanym przepychem Edèn—teatrem w pobliżu Opery i nad najnowszą sztuką Komedyi francuskiej: „Le député de Bombignac“ i t. d. Nie mogę tylko pominąć uwagi, że Wiedeń, jakkolwiek w ostatnich dwudziestu latach postąpił w sposób zdumiewający, mianowicie pod względem gmachów publicznych, jak nowa opera, muzea cesarskie, pałac parlamentu, ratusz, uniwersytet, pałac sądowy, kościół z wotów, giełda, nowy teatr cesarski i t. d., w porównaniu do Paryża pozostał dotąd zaściankiem. W Wiedniu od trzech lat umyślnie wybrana w tym celu komisya rady miejskiej obraduje nad sposobem zwabienia turystów. Ale cóż turyści mają począć w mieście, gdzie przez kilka tygodni (w czerwcu) grywano w jednym tylko teatrze i gdzie o godzinie 9-ój wszystkie ulice puste?

Wyjechawszy z Paryża w sobotę 24 maja o godzinie 8½ zrana pociągiem pośpiesznym, mijając słynne w dziejach Francyi i świata miasta: Orlean, Tours, Poitiers i romantycznie rozłożone na wzgórzach starożytne Angoulême, o godzinie 6-ój popołudniu stanąłem w Bordeaux, które nie bez racyi szczyci się przydomkiem: „la ville superbe.“

Począwszy od Angoulême, wzgórza, lasy, ogromne pola zbożowe, zielone łąki i srebrne wstęgi rzek (Isle, Dordogne) składają się na krajobraz nadzwyczaj malowniczy. Przy stacji Lormont po kilku wiaduktach i przez kilka tunelów docieramy do prawego brzegu Garonny, ogromnej, szerokiej jak Dunaj pod Białogrodem, i jadąc jeszcze kilkanaście minut tuż nad rzeką, stajemy wreszcie w wspaniałym dworcu, zwanym la Bastide. Po kamiennym, spoczywającym na 15 filarach, 500 metrów długim mostie, wystawionym pomiędzy r. 1808 a 1821. (pont de la Bastide), dostajemy się na Quai de Bourgogne i minawszy słynny pałac giełdy, w którym Napoleon III niegdyś wypowiedział głośne swego czasu hasło: „L'empire c'est la paix;“ zatrzymujemy się w „Grand hôtel de Nantes.“ Garonna tutaj tworzy łuk, nad którym w kształcie półksiężyca rozsiadła się dzisiejsza stolica Girondy a starożytna Burdigala. Chociaż z różnych opisów byłem przygotowany ujrzeć miasto wielkie i świetne, rzeczywistość przewyższyła moje oczekiwania. Jakkolwiek od pont de la Bastide do morza, czyli do stacji Royan parowcem jedzie się siedm godzin, (odległość wynosi 86 kilometrów), największe jednak okręty przybijają do samego miasta. Nad Quai de Bacalan, na północnym końcu miasta, spoczywają na kotwicach olbrzymie okręty francuskie, brazylijskie (bo z Bordeaux do Rio Janeiro jest bezpośrednia komunikacja handlowa) a zwłaszcza północno-amerykańskie o dumnie powiewających banderach gwiazdzystych. W pobliżu tych olbrzymów wielki panuje ruch. To składają, to wnoszą towary; liczne wozy naładowane towarem czekają nad brzegiem, majtkowie, robotnicy, komisjonerzy i pasażerowie krzątają się, ożywiając i uzupełniając obraz portowy. Na rzece parostatki najróżniejszych rozmiarów i kształtów a pomiędzy nimi czółna o szeroko rozpiętych żaglach, przesuwały się ku morzu, to ku miastu. W środku, w pobliżu mostu de la Bastide, malutkie, zwinne parowce (hirondelles bordelaises) przelatują z jednego brzegu na drugi, pełniąc służbę omnibusów. Obraz ten pełen ruchu i życia w północnym kierunku, po prawej stronie rzeki zamykają malownicze góry, gdzie śród bujnych winnic wznoszą się wioski Lormont, Montferrand i zamek Peyronet (Margaux, Lafitte i t. d., leżących na lewym brzegu Garonny, nie widać z miasta). Od dworca południowego (gare St. Jean) aż do północnego quai de Bataclan, turkoczą na szerokim wybrzeżu tramwaje, omnibusy i wykwiłtne pojazdy. Domy tu wszystkie wysokie, starożytne, ciemno-szare, wczesnie zamykane, kupieckie. W licznych sklepikach wina i kawy, roi się od robotników i majtków. Słowem, tutaj nad brzegiem Garonny, poznajemy odrazu żeśmy stanęli w jednym z największych miast handlowych i portowych Europy, a trzecim miastem portowym Francji (Marsylia, Havre i Bordeaux).

W środku nadbrzeża, przerywając jednostajność szarych domów, jakby oko nowej, świetnej części miasta, przysuwa się do Garonny wspaniały plac des Quinconces, czyli wywyższony o dwa metry nad brzeg, szeroki taras, przyozdobiony z frontu dwoma, 20 metrów wysokimi

filarami, z których wierzchołków ogromne słońca elektryczne oświetlają rzekę i plac, otoczony z trzech stron gęstymi alejami kasztanów. Ztąd w kilka minut docieramy do pięknego placu de la Comedie, przy którym stoi ów monumentalny teatr, gdzie w r. 1871 sejm francuzki obradował w okolicznościach tak smutnych. Wybudowany pomiędzy r. 1775 a 1780 przez mistrza Louisa, teatr ten długo uchodził jako jeden z najpiękniejszych w świecie; ale i dziś śmiało stanąć może obok najwspanialszych budynków tego rodzaju. Gdyby Voltaire był znał teatr w Bordeaux, nie byłby pewnie napisał: „Les bonnes pièces sont en France et les belles salles en Italie.“

Wielki teatr stanowi czworobok 87 m. długi, 47 szeroki. Po okazałych kamiennych wschodach wstępujemy do wspaniałego portyku, spoczywającego na korynckich kolumnach. Balustradę zdobi 12 kolosalnych posągów. Na dwu dłuższych bokach wspaniałe arkady tworzą otwarte ganki. Tylna część, skąd wejście do kulis, skromniejsza, ale odpowiadająca poważnemu stylowi okazałego gmachu. Z portyku kilka szerokich podwoi prowadzi do przysionka, z którego w prawo i w lewo szerokimi gankami dostajemy się do miejsc parterowych, przepyszniemi marmurowemi schodami, w środku przykrytemi bogatym kobiercem, do wyższych pięter i do wykwintnego foyer. Sala lśni się od złota. Tylko na parterze znajduje się kilkanaście przystońniętych łóż. Na pierwszym piętrze dokoła ciągnie się paradna otwarta galeria, na drugim zaś i trzecim piętrze, zamiast łóż lub galerii, jak u nas, są zgrabne, z wszystkich stron wyłacane, otwarte balkони o 8—10 krzesłach. Plafon bogato wyłacany i przyozdobiony kryształowym pajakiem. Wszedłszy w niedzielę wieczorem do tój sali, zapełnionej wykwintną, prawdziwie stołeczną publicznością, zdumiałem, a choć to może wyda się jako herezya, twierdząc, że teatr wielki w Bordeaux, jest poważniejszy od zbyt pstrokatėj sali Wielkiej opery paryskiej, wykwintniejszy od trochę ponurėj sali opery wiedeńskiej, najbardziej zaś uderzający kontrast stanowi swemi otwartemi balkonikami, do równie lśniącego od złota słynnego wenecjańskiego teatru Fenice, gdzie znowu przeciwnie łóże o malutkich otworach, wyglądają raczej na klatki. W ów wieczór grano „Fausta“ Gounoda, wprawdzie niezupełnie tak dobrze jak w Wiedniu lub w Paryżu, ale zawsze tak, jak się grywa w teatrze pierwszorzędnym.

Od placu teatralnego szeroką ulicą de Tourny dostajemy się do głównych bulwarów (Cours de Tourny, cours du jardin public, cours portal i t. d.), które przerzynają całe nowe miasto a wykwintnemi zabudowaniami nie wiele ustępują głównym bulwarom paryskim. Do Cours du jardin public przytyka dobrze utrzymany, o cienistych alejach ogród publiczny z zapełnioną najkosztowniejszemi egzotycznymi kwiatami oranżeryą. Trochę oddalony od środka miasta, ale bardzo wspaniały pałac sprawiedliwości przy placu Magenty, zdobią posągi Monteskiusza, Hopitala, Malesherbes'a i Aquesseau'a. Dwaj najsztywniejsi syno-

wie stolicy Gaskonii, Montesquieu i Montaigne, mają nadto posągi na placu des Quinconces.

Jezeli nad brzegiem Garonny Bordeaux przedstawia się jako pierwszorządne miasto portowe (pomiędzy mostem de la Bastide a quai de Bacalau może się pomieścić 2000 okrętów), a na placu de la Comedie i na środkowych bulwarach olśniewa nas wykwintnością niemal stołeczną; natomiast w części południowej ciasnymi uliczkami i pyłem wieków pokrytymi domami, na pierwszy rzut oka przypomina turyście, że się téż znajduje w jednym z najstarszych miast Europy, które już w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej wydało dwóch znakomitych pisarzy rzymskich, dziejopisarza Eutropiusza († 370) i poetę Ausoniusza († 390), a za czasów Hadriana było stolicą Aquitanii. Z tych czasów rzymskich przechowały się tylko szczątki amfiteatru, zwanego Palais Gallien (około 200 r. po Chr.). Najwspanialszą ozdobę starego miasta stanowi słynna katedra ś-go Andrzeja, na rozszerzonym teraz znacznie placu, do którego przytyka paradny ratusz, wystawiony około r. 1770 w stylu wersalskim, pierwotnie pałac arcybiskupa kardynała Rohana, później prefektura, potem „Chateau Royal“, a teraz siedziba rady miejskiej. Co do katedry ś-go Andrzeja, do której dochodzimy starożytną ulicą ś-tęj Katarzyny, pierwotny plan jej pochodził z XI-go wieku; gdy w XVI-tém stuleciu trzęsienie ziemi zburzyło znaczną część świątyni, odbudowano ją w nowszym stylu odrodzenia. Ztąd niezgodna z czystością stylu, ale wielce malownicza różnaitość architektoniczna katedry. Na wschodniej stronie na wzór włoskich campanile, na kwadratowej trzejpiętrowej podstawie, wznosi się wysmukła wieża „Tour de Peyberland“, w wyższych piętrach wysmukłymi kolumnami przedstawia jakby filigranowe cacko. Nad północnym bogato ozdobionym posągami i płaskorzeźbami portalem katedry wznoszą się dwie wysmukłe 50 metrów wysokie wieże. Nawa katedry szersza, niż nawa kościoła Notre dame w Paryżu, a blisko 30 metrów wysoka. Na dole ściany szerokimi arkadami przypominają starożytny styl romański, natomiast wielkie, śpiczaste, zaopatrzone świeżo w paradnie malowane szkła główne okna, zaznaczają zwycięstwo gotyki. Wykwintny chór o licznych wysmukłych kolumnach i bogatej ornamentyce rzeźbiarskiej, jako téż nadzwyczaj poważny, lśniący od złota i białego marmuru wielki ołtarz dopełniają prawdziwie uroczego obrazu...

Spędziwszy niedzielę w Bordeaux, w poniedziałek z rana o godzinie 7 $\frac{1}{2}$ , z małego dworca południowego (Saint-Jean) wyjechałem do Bayonne. Już od stacyi Gazinet zaczyna się ogromna 200 kilometrów długa, 75 do 100 kilometrów szeroka piaszczysta dolina, tak zwane les Landes, pokryta to czerwonymi i żółtymi krzakami dzikiego rozmarynu, prosa, paproci i erylki, to téż lasami sosien, naciętych celem zebrania ściekającej pod strzałami słońca żywicy. Raz po raz, jakby oazy w puszczy zjawiają się pola żyta, jęczmienia i kukurydzy i trzęsawiska, w których się pasą trzody kóz i owiec. Miast i wiosek

nie dostrzedz. Dworce — to mała szopa w lesie, otoczona kilku nędznymi chatami, jakby w jakiej puszczy amerykańskiej. Dopiero przed stacją Dax nagle po lewej stronie dostrzegamy zynną dolinę, przez którą wije się srebrny Adour, a dalej na południowym krańcu mgliste wierzchołki Pirenejów. Przed małym, wykwintnym dworcem w Bayonne, dokąd pociąg przybywa około 11-jej, czekają liczne dorożki i omnibusy. Szerokim kamiennym mostem St-Esprit przebywamy Adour i potężną bramę dziewiczej, bo nigdy nie zdobytej fortecy bajońskiej, potem drugim, węższym mostem mniejszą rzeczkę Nive, wpadającą tutaj do Adoura, następnie jadąc kilka minut nad lewym brzegiem Adoura mijamy wielki, przy obszernym placu musztry stojący gmach o pięknych arkadach, mieszczący w sobie i teatr i prefekturę, jeżeli się nie mylimy, także sale rady miejskiej i liczne składy, kawiarnie i t. d., a więc coś na wzór „Królewskiego gmachu“ w Stutgardzie, wreszcie skręcamy w lewo i w szerokiej, ozdobionej aleją lip ulicy du Gouvernement stajemy przed Grand hotel du Commerce.

Przy końcu tejże ulicy na niezbyt stromém wzgórzu sterczy dawny zamek królewski, gmach ponury o grubych szarych ścianach, niskich okrągłych wieżyczkach a raczej basztach i małych oknach. Dziś są tam koszary. W dziejach Francji zamek bajoński nabrał rozgłosu w skutek odbytego tam zjazdu Karola IX, jego matki Katarzyny Medycejskiej, jego siostry Elżbiety, zony Filipa II-go i księcia Alby (w czerwcu r. 1565). Nie ulega wątpliwości, że na tym zjeździe królowa hiszpańska i książę Alba usiłowali skłonić dwór francuzki do użycia surowych środków przeciwko hugonotom; dotąd jednak toczy się pomiędzy dziejopisarzami spór, czy istotnie już na zjeździe w Bayonne ułożono plan do rzezi, czy też rzeź nocy 5-go Bartłomieja, jak twierdzą drudzy, była improwizacją ostatniej chwili? <sup>1)</sup> I jeszcze drugi słynny w dziejach francuzko-hiszpańskich zjazd odbył się w Bayonne. W kwietniu r. 1808 odegrała się tam smutna tragicomedia pomiędzy hiszpańskim królem Karolem IV, jego synem Ferdynandem VII, królową Maryą Ludwiką i przyjacielem domowym księciem Godoyem z jednej, Napoleonem I-ym z drugiej strony. Główne akta dramatu, który po stłumioném przez Murata w Madrycie powstaniu 2 maja, skończył się 10 maja zrzeczeniem się korony hiszpańskiej i przez Karola IV i przez Ferdynanda VII, zaszły nie w samym mieście, lecz w blizkim pałacu Marac, którego mchem zarosłe zgłiszcza widać z kolei żelaznej. Raz w nocy śród gwałtownej burzy (r. 1825) zamek zgorzał do szczytu. Kto wzniecił pożar nie wiadomo, według podania ludowego uczynili to zbiegowie hiszpańscy, a gdy krwawo-czerwona łuna buchała w górę, stróż parku miał dostyszczyć szatańskiego śmiechu szychderstwa. Przy zgłiszczach pałacu znajduje się 20 metrów

<sup>1)</sup> Treściwy rozbiór najnowszych odnośnych publikacji zawiera dzieło: „Westeuropa im Zeitalter Philipp II“ von dr. Martin Philippson, Berlin, 1882.

głęboka studnia, do której, zawsze według tradycji ludowej, każdy przejeżdżający tędy hiszpańczyk wrzuca kamień, bo skoro studnia będzie zapełniona, powróci dla Hiszpanii dawna wielkość i sława!

Na najwyższym punkcie miasta wznosi się ogromna gotycka katedra św. Leona (z XIII stulecia), o bogato ozdobionym posągami i płaskorzeźbami portalu południowym i odnawianej teraz równie wykwintnej fasadzie głównej. Z trzech stron wązkie uliczki otaczają katedrę, do której przysiadły się nawet brudne sklepiki. Na czwartej stronie, na małym placu, stoi pomnik dla dwóch patriotów bajońskich, poległych na barykadach paryzkich 27 lipca r. 1831 z napisem: „Les revolutions justes sont le chatiment des mauvais rois.” Od katedry dwie równoległe ulice rue Pont major i rue des arceaux, o starożytnych domach z ponuremi arkadami, pod którymi znajdują się liczne sklepy, sklepiki i wyborne cukiernie, prowadzą znowu na dół do brzegu rzeki Adour. To „wielkie miasto” na brzegu szerokiej i trochę ponurej rz. Adour i wązkiej a zwinniej i wesołej, a spieszącej w objęcia „swego oblubieńca” Nivy, nie zadziwia wprawdzie przepychem, jak Bordeaux, ale stanowczo jednak odbija od brudnych i wązkich uliczek zamieszkałego głównie przez Basków t. zw. „małego miasta,” które się rozsiało na trójkącie, utworzonym przez rz. Nivę i Adour.

Po śniadaniu wyszedłem przez długą bramę nad brzegiem rz. Adour do cienistego parku, gdzie przed małą szopką czekał już złożony z dwóch wagonów i miniaturowej lokomotywy pociąg, odchodzący co pół godziny do poblizkiego Biarritz. W kilkanaście minut wśród zielonych łąk, pól zbożowych i ogrodów, zasianych białymi willami, dojechaliśmy do słynnego miasteczka kąpielowego. Ulice jeszcze puste, okna różnobarwnych pałacyków, przysunięte zielonemi żaluzjami, tu i owdzie białe domy na cześć przyszłych, bogatych lokatorów. Był to śliczny dzień majowy, kiedy wreszcie ujrzałem przed sobą Atlantyk! Ciemno niebieskie fale morza, walczą o lepsze z błękitem niebios. Z ogromnym hukiem fale łamią się o skały dziwacznych kształtów, stojące na straży przed środkiem miasta, a daleko rzucają białą pianę na niski i piaszczysty (północny) brzeg, zwany côle des Fours, gdzie na krańcu miasta, wśród młodego jeszcze parku, wznosi się wielki, z czerwonej cegły pałac cesarzowej Eugenii. Z wysuniętej najdalej w morze skały, roche percée, cudowna panorama roztacza się przed zdumionym okiem. Przed nami nieskończone morze, zlewające się z sklepieniem niebios, w prawo daleko za willą Eugenii na wyskakującym przylądku fanal, dalej ujście Adoura, a dalej jeszcze ciemny pas, w którym się domyślamy brzegu Francji aż do ujść Garonny; po lewej stronie górzyste brzegi Hiszpanii, tam właśnie przesuwa się powoli parowiec coraz to malejący; obróciwszy się zaś, widzimy amfiteatralnie nad brzegiem rozłożone miasteczko, na północnym krańcu płaski brzeg des Fours, potem wspaniałe Casino, w środku główne miasto, a na południe przytykający aż do morza wysoki skalisty brzeg,



zwany plage des Basques, bo tutaj pewnego dnia w sierpniu Baskowie z ościeunych wiosek, przy odgłosach wesołej muzyki, tańcząc i śpiewając, w zwartych szeregach wchodzą do morza i trzymając się mocno za ręce, tworzą jakby żelazny łańcuch, którego nie złamie i najsilniejszy bałwan.

Nad pustym jeszcze brzegiem przechadza się zaledwo kilkanaście osób, mianowicie pewna młoda para, on brunet i wierny typ hiszpańskiego don Juana, ona delikatna blondynka, których spotkałem już w sali jadalnej w hotelu de Nantes i w teatrze w Bordeaux, potem znowu przy śniadaniu w Bayonne, a teraz nad brzegiem morza, zupełnie tak, jak w Szwajcaryi, chcąc nie chcąc spotykamy się na różnych stacjach zawsze z temi samemi turystami; dalej kilka poważnych matron, które snąc wybrały się na całe lato do Biarritz, wreszcie tu i owdzie nadzwyczaj ładne dziewczyny miejscowe, czekające na rozrzutnych — lordów! Bo jeżeli świeżo „Figaro“ palnął artykuł przeciwko „braciom anglikom,“ przekonałem się w Bordeaux, Bayonne i Biarritz, że w tych stronach żaden inny naród nie popłaca tak, jak angielski, choć może należałoby raczej powiedzieć: jak pieniądz angielski. Nie twierdzę jednak bynajmniej, aby w południowej Francji turyści byli narażeni na zdzierstwo. Owszem ceny hotelów, fiakrów i t. d. w Bordeaux i Bayonne znalazłem tańsze, niż nad Renem i nie droższe jak np. w Górnej Austrii. (*d. c. n.*)

# MICKIEWICZ

W PODRÓŻY PO NIEMCZECH I SZWAJCARYI

w roku 1829. \*).

NAPISAŁ

*Dr. Teofil Ziemia.*

## I.

Z paszportem w ręku, w którym obok nazwiska znajdować się miał dodatek „sławny poeta polski,“ opuścił Mickiewicz d. 27 maja (według starego stylu 15 maja) 1829 r. granice państwa rosyjskiego. Znowu tedy otwierała się przed nim „daleka, nieznajoma droga,“ ale tym razem do odbywania dróg takich był on już przyzwyczajony. Od dnia bowiem, kiedy po raz ostatni pożegnał Litwę, przebiegał już kilkakrotnie odległości takie, jak z Wilna do Petersburga, z Petersburga do Odessy i Krymu, z Odessy do Moskwy, a ztąd nareszcie znowu do Petersburga. Wszakże gdy dotąd podróżował poeta prawie zawsze w towarzystwie nieocenionego Malewskiego, który z braterską gorliwością pamiętał o jego materyalnych potrzebach i wygodach, teraz po rozstaniu się z odprowadzającym go do Kronsztadu Aleksandrem Chodźką, uczuł się naraz zupełnie osamotnionym i osieroconym. Mimowoli przypomniał sobie ów dzień wyjazdu z Wilna, od którego teraz upłynęło właśnie półpięta roku,—i uczuł, że rozpoczyna nową epokę życia.

Po tak długim czasie, spędzonym między obcymi, nie było mu niestety daném powrócić do ukochanej Litwy. Losy rzucały nim znowu w inne strony, gdzie czekały go osłonięone tajemnicą wyroki. Jak na wyjeździe z Litwy, tak i teraz nie mógł się poeta oprzeć rzewnemu uczuciu, jakie go ogarnęło. Ale tym razem nikt z podróżnych nie rozumiał jego położenia ani smutku jego nie podzielał. Dopiero po

\*) Ciąg dalszy—Zob. Zeszyt za m. Czerwioc.

czterech dniach pomyślniej żeglugi, stanął nakoniec w Travenmünde a ztąd udał się zaraz do Lubeki. Po noclegu w Lubece, znalazłszy z niemałą trudnością konie, udał się do Hamburga, zkąd natychmiast 2 czerwca 1829 r. wyprawił listy do Petersburga. W jednym z nich, pisanym do p. Maryi Szymanowskiej, czytamy następujące słowa:

„Nie ma jeszcze tygodnia, jakżeśmy wszyscy razem siedzieli u stołu pani, a już znalazłem się o mil nie wiem wiele, a co gorsza, nie wiem, na jak długo zapędzony. Dotąd nie mogę wmówić w siebie, że jestem tak daleko od Michałowskiego placu i że trzeba odwyknąć i od fortepianu pani i od obiadów panny Julii (Wołowskiej) i od kłótni z panną Celiną. Niestety, wszystko to już mi się stało nieodbitie potrzebnem... Sam chciałem tej podróży, nie skarzę się na przeznaczenie, znajduję tu tyle rzeczy do widzenia i interesu, a przecież smutno podróżować z tą myślą, że gdziekolwiek przyjadę, nikt mnie nie powita, nikt się z przyjazdu mego nie ucieszy...“

W dalszym ciągu przytoczonego listu cieszy się poeta nadzieją odebrania w Dreźnie listu od p. Szymanowskiej, a dodając kilka słów dla jej siostry i córek, nie zapomniał wówczas do jednej z nich napisać:

„Panna Celina niech mi daruje wszystkie dawne urazy, a o przestrozach pamiętać może, bo zawsze pochodziły ze szczerzej przyjaźni...“

W liście do Malewskiego, pisanym tegoż samego dnia, donosi mu o szczegółach swój podróży, a między innymi pisze, jak następuje:

„Ja ocięzały, nie lubiący nic szukać, nie chcący o nic się starać, liczyłem marki i szylingi, robiłem redukcją monet z całą zimną krwią bankierską... Prowadzę gawędkę z oberżystami, którzy mnie klepią po ramieniu. Wypytyuję się o wszystko, oglądam wszystko... Szczególnie mnie dotąd zachwyca widok zieloności, zapach wiosny, śpiewy ptaków i w drodze chociaż samotny, nie tak mi ciężko na sercu, jak tu w mieście. Spostrzegłem, że odwykłem zanadto od samotności i że kosztować mnie będzie to nagłe oddalenie się od was wszystkich i ten długi pobyt w krajach zupełnie dla mnie bezludnych. Cóż robić! oto jest wykrzyknik, który mi się często z ust wyrывa...“

## II.

Po kilkodziowym pobycie w Hamburgu, puścił się poeta w pierwszych dniach czerwca r. 1829 w dalszą podróż po Niemczech. Jakkolwiek zaś z listów jego, wówczas do przyjaciół pisanych, domyślać się można, że z początku zamierzał jechać wprost do Dreżna, przecież różne powody skłaniać go mogły do zatrzymania się przedtém przez pewien czas w Berlinie. Chęć poznania stolicy pruskiej, stawa profesorów takich, jak Hegel lub Gans, a wreszcie wiadomość o wielu bawiących tam polakach, przyczyniły się zapewne najbardziej do obrania drogi przez Berlin. Jakoż 5 lub 6 czerwca 1829 r. przybył nasz poeta do tego miasta, gdzie wówczas nie miał jeszcze nikogo znajomego.

Przechadzając się tego samego wieczoru samotnie „pod Lipami“ (Unter den Linden), dziwnym sposobem, może za wskazówką portretu przy wydaniu poznańskim jego poezyi (z r. 1828), poznany został przez bawiących w Berlinie rodaków, a zwłaszcza najprzód przez Eulogiusza Zakrzewskiego. Młodzieniec ów, bawiący wówczas na studiach w stolicy pruskiej, oddawna wielki zwolennik autora „Dziadów“, a nadto i sam próbujący sił na polu poezyi, tak dalece ucieszony był tém odkryciem, że pod jego wpływem napisał nawet wiersz, mający związek z tém zdarzeniem. Podajemy tu z niego kilka udatniejszych zwrotek, tém bardziej, że z jednej strony dodają one kilka rysów do naszego obrazu, z drugiej zaś świadczą o zapale, jaki wywołał wówczas poeta nasz we wszystkich częściach Polski.

Mickiewicz, toś Ty był! wszakże się nie mylę,  
Poznałem Cię za znakiem, coś méj duszy wtłoczył.  
Nieznanym Ci był, ale ja znałem Cię tyle  
Dawniej, niżelim Cię zoczył!

Próżno w pośrodku ludu mnogiego natłoku,  
Pomroka Cię zazdrosna wzrokowi ukryła,  
Postać Twoja wyrazu pełna, memu oku  
Rodaka, wieszczka zdradziła!

Czemuż wtedy uczucia zapaleń przejęty,  
Drogi mężu, do Ciebie nie śmiałem się zbliżyć,  
Nie, nie mogłem, nie dał mi jakiś postrach święty  
Dumaniu Twemu ubliżyć.

Lecz daruj, żem choć nie dość był śmiały Ci przerwać,  
Tak, jak gdy potajemnie przed święconym kwiatkiem  
Wyznawca Dryad stanie, lecz nie śmie go zerwać,  
Jam Cię spotykał ukradkiem.

Darujesz, jeżeli pojdziesz, co się działo we mnie,  
Gdym ujrzyć Ciebie zaczął cieszyć się nadzieją,  
Drogi wieszczu, coś śpiewał i dla nas przy Niemnie  
Rodaków Twoich nad Spreją.

Być może, że Zakrzewski jeszcze tego samego dnia wyszedł „ukradkiem“ pomieszkanie poety i doniósł o tém swoim kolegom, albo że dowiedzieli się oni z dzienników, podających zwyczajnie listę osób przyjeżdżających, o przybyciu i mieszkaniu poety; dość, że zaraz na-  
zajutrz rozpoczęły się wizyty i zaproszenia na rozmaite zebrania, obiady lub wieczory, które odtąd powtarzały się prawie codziennie. Nie sama wszakże młodzież okazywała swoje uwielbienie poecie, bo zarówno z nią czynili to i ludzie starsi, zamożni obywatele z Poznańskiego, których dość znaczna liczba, z powodu jarmarku na wełnę, ba-

wiła w owym czasie w Berlinie. W ten sposób w kole rodaków swoich ożywił się w wysokim stopniu duch poety, a nawet niekiedy podnosił się i do wysokości improwizacji.

Razu pewnego na jednym z takich zebrań, w ciągu ożywionej o rzeczach ojczystych rozmowy, poeta zatrzymał się nagle i, zapewne na prośby obecnych, oświadczył, że będzie improwizował. W tej chwili powstała cisza, a tylko przy fortepianie dała się słyszeć nuta dumy z Niemcewicza:

Za szumnym Dniestrem na cecorskim błoni...

Mickiewicz, na którego obliczu spostrzegli wszyscy nadzwyczajny wyraz natchnienia, zaczął wkrótce improwizować. Wszyscy byli pod urokiem słów jego, ale nikt ich wówczas nie zanotował ani nie zapamiętał, tém bardziej, że całe towarzystwo pod wpływem uczyty było dosyć rozochoczone, a nadto nie miano na pogotowiu papieru ani ołówka. Ale niedługo potem improwizował poeta po raz drugi. Było to na obiedzie, który na jego cześć dawała bawiąca w Berlinie młodzież polska. Tym razem przysposobiono się już do zanotowania improwizacji. Ale mimo to nie zdołano tego uczynić, bo każdy wolał słuchać i patrzeć na natchnionego poetę. Tylko Wojciech Cybulski zapamiętał kilka wierszy z improwizacji owęj, której treścią była unia Litwy z Polską. Poeta nucił wówczas na melodyą poloneza Kościuszki i między innymi powiedział te słowa:

Czy to z Litwy, z Poznania,  
Chociaż różne nosim bronie,  
Nic nam, bracia, nie zabrania  
Wspólnie sobie podać dłonie.

Po owym obiedzie udało się całe towarzystwo do mieszkania znanego nam już Eulogiusza Zakrzewskiego, gdzie ofiarowano mu wieniec laurowy. Wtedy to poeta uczuł się znowu natchnionym i improwizował po raz trzeci. Zapamiętał, jaki wówczas wywołał w słuchaczach, był nadzwyczajny. Wyobrażenie o nim może dać opis tej chwili, skreślony przez Wojciecha Cybulskiego w czasopiśmie poznańskim „Rok“ z r. 1845:

„Wiesz sam stał przez chwilę nieporuszony i niemy. Wnet jakaś cudowna siła rozpromieniła jego oblicze. Wzrok pełen nadzwyczajnego blasku i niewypowiedzianego wyrazu, jednym rzutem, jak iskra elektryczna, przeleciał po przytomnych. Cała osoba Mickiewicza w nadziemską zdawała się być przemienioną istotę. Jakiż dźwięk czarujący jego głosu! jaka niepojęta potęga słów jego! Wieszczymistrz — posłannik Boży — uderzył głosem, jak różczką Arona, w serca słuchaczy — i żyzy stanęły im w żrenicach!... wszystkich dłonie jak w modlitwie wyciągnęły się ku niemu i każdy z przytomnych krokiem naprzód ku niemu postąpił... Entuzjazm doszedł był do najwyższego stopnia, kiedy poeta, czy to w uczczeniu boskiej twórczości w sobie,

czy w świadomości bezwzględnej władzy swój nad duszami, czy też w zamiarze, aby młodzież, kształcąca się zagranicą i znajdującą w zagranicznej literaturze może więcej, niż we własnej upodobania, właściwszym i zbawienniejszym dla kraju natchnął duchem — kiedy poeta, mówię, w chwili powszechnego uniesienia, kończąc swą improwizacją, wyrzekł z całą dumą wewnętrznego przekonania słowa, któreśmy wiernie zachowali w pamięci: „Czyś ty mi Schiller lub Goethe — widział równego poetę?“

— O nie! nie! — odpowiedziały głosy. — Tyś wieszcz nad wieszczami! Tyś wieszcz z ramienia Boga! Wieszcz z archanielskimi skrzydłami i głosem, dzierżący w ręku miecz archanioła!...

„Ludzie zimni i krótkiego wzroku, pisze dalej Cybulski — nazwą natchnienie takie zarozumieniem i dumą. My nazywamy wewnętrznem przeświadczeniem ducha, który wszędzie, gdzie padnie, nowe życie zapładnia.“ (Pismo poznańskie p. t.: „Rok,“ z r. 1845, zeszyt VIII, str. 34).

Dla uzupełnienia tego, cośmy dopiero w owęj improwizacji słyszeli, winniśmy dodać, iż według Libelta, który także był jej świadkiem, miała się ona zakończyć w sposób taki:

Niech mi Schiller albo Goethe  
Wskaże równego poetę!  
Ja pan rymów; siłą ducha  
Wskrzyszam temu, co mnie słuca,  
Z piersi mojej pieśń.

Ale zarówno jak Cybulski, tak i Libelt, mówiąc o tém w swéj „Estetyce“ (str. 413, wydanie z r. 1849), nie uważa słów tych za dowód zarozumiałości poety, lecz raczej widzi w nich trafne określenie daru improwizacyjnego, — polegającego na twórczém natchnieniu w obec słuca cza i nieograniczóném panowaniu nad formą wiersza.

W ten sposób szybko mijał pocie czas pobytu w Berlinie, zwłaszcza, że prócz tego zajmowały go i ówczesne osobistości tego miasta. Do takich należał przedewszystkiém sławny filozof Hegel. Mickiewicz bywał na jego wykładach uniwersyteckich, ale nie zachwyił się nimi wcale. Hegel bowiem, który w ogólności nie miał daru łatwego wystowienia, wówczas właśnie przez dwie lekcye mówił o różnicy między rozsądkiem a rozumem. Poeta nasz, lubiący zawsze wypowiadać swe myśli jasno i wyraźnie, nawet w gronie największych wielbicieli Hegla, nie wahał się wypowiedzieć swego zdania o sławnym wówczas filozofie. Jakoż raz w towarzystwie rodaków miał się o nim odezwać, że człowiek, który tak niejasno mówi i tak się męczy przez całą godzinę, by rozjaśnić znaczenie dwóch pojęć, pewnie się sam nie rozumie. Ale Libelt, jak wiadomo, wielki Hegla zwolennik, broniąc sławy swojego mistrza, odpowiedział wtedy, że niepodobna wystawić sobie psychologicznego stanu człowieka przy pięciu zdrowych zmy-

słach, któryby sam siebie nie rozumiejąc, mógł mówić całą godzinę i wywierać tak wielkie wrażenie na tak licznych słuchaczach. Wszakże mimo takiej obrony nie dał się Mickiewicz odwieść od swego o Heglu przekonania. Był on zresztą przez całe życie przeciwnikiem owęj mniemanęj filozofii, i niejednokrotnie okazywał do niej swój wstręt nieprzezwyjężony.

Odyniec w „Listach z podróży“ przytacza nieraz wypowiedane w tym duchu zdania Mickiewicza, a także i Cybulski opowiada, że gdy pewnego razu za pobytu poety w Berlinie mówił z nim o filozofii, rzekł mu wówczas Mickiewicz:

— Zamknij filozofa do kościoła lub ciemnego lochu piwnicznego, lub każ mu w nocy isć przez cmentarz, a zobaczysz, jak się będzie modlił i żegnał.

Z tego wszystkiego okazuje się tedy, że poeta nasz stał na gruncie zdrowego staropolskiego rozumu i w téj mierze podzielał zupełnie przekonanie Krasickiego, wypowiedziane w znanęj bajeczce:

Zaufany filozof w zdaniach przedsięwziętych,  
Żartował z Pana Boga, śmiał się z wszystkich świętych,  
Przyszła słabość, aż mędrzec, co firmament mierzył,  
Nietylko w Pana Boga, i w upiory wierzył.

Między młodymi polakami, bawiącymi wówczas na studiach w Berlinie, było wielu takich, dla których Hegel był najwyższą i niezachwianą powagą. Do takich zaś, którzy się studjom filozofii prawie wyłącznie oddawali, należał w owych latach prócz Libelta także Stefan Garczyński.

Byli to zresztą według świadectwa Cybulskiego ówczesni przewodnicy młodzieży polskiej w Berlinie, a nawet właśnie niedawno przedtém stali oni na czele dwóch przeciwnych stronnictw, t. j. Garczyński na czele stronnictwa arystokratycznego, Libelt zaś na czele demokratycznego. Ale z przybyciem Mickiewicza znikła między temi obozami wszelka różnica i odtąd pomiędzy całą młodzieżą zupełna zapanowała jedność.

Wpływowi Mickiewicza należy także przypisać to, że Garczyński, dotąd zapalony zwolennik filozofii, zaczął wkrótce potem zajmować się więcej poezją, a w końcu nawet wyłącznie jęj się poświęcił. Za pośrednictwem Garczyńskiego poznał się Mickiewicz z znakomitym Ganssem, profesorem historii w uniwersytecie berlińskim. Ten wkrótce zaprzyjaźnił się z poetą i dał nawet na jego cześć obiad, na który także wielu polaków otrzymało zaproszenie. Ale prócz tego nie omieszkał Gans i publicznie na jednęj lekcyi swojej wyrazić hołdu swego Mickiewiczowi. Było to zwłaszcza wówczas, gdy Gans kreśląc dzieje panowania stu dni po wylądowaniu Napoleona z wyspy Elby, przedstawiał w porywający sposób walkę tego tytana przeciw całej Europie. A gdy wszyscy słuchacze byli pod wrażeniem jego wykładu, wtedy znakomity historyk miał się odezwać:

„Byłby to wyborny środek do nowoczesnej epopei, gdyż wszystkie ludy Europy, jak niegdyś greckie szczepy z Ilionu, występują do wspólnej walki przeciw temu jednemu mężowi. Aby ten wielki przedmiot opiewać, nie znam między żyjącymi poetami żadnego innego prócz tego, który zaszczyt mi zrobił swą obecnością na tej lekcji jako członek narodu walczącego do ostatniej chwili przy boku bohatera!... Oczy wszystkich — jak powiada Cybulski — szukały po sali tego wymienionego poety bez nazwiska. Wkrótce zaś z ust do ust przechodziło imię jego podane przez znajomych, a następnie wszyscy cisnęli się przy wyjściu około niego, gdy profesor ująwszy go pod ramię, salę z nim opuścił.

Prócz tego poznał się Mickiewicz także z innymi znakomitościami Berlina, jak np. ze sławnym muzykiem Zelterem <sup>1)</sup>, któremu zarówno jak i Mendelsonowi przez p. Szymanowską był polecony. W ogólności listy tej pianistki sprawiały mu nieraz w Niemczech przychylnie przyjęcie i jednały szacunek. Sam poeta często z wdzięcznością o tem w listach swoich wspomina. Tak np. pisze w jednym miejscu:

... „Byłem u starego Zeltera, bardzo mnie szanuje, bo powiada, że madame Szymanowska sehr klug und gescheidt napisała o mnie, że m wielki poeta. Sie soll das verstehen, Sie ist ja mit dem Herrn Goethe bekannt worden.“ (Kor. I, 47). W innym znowu miejscu (Kor. I, 49) pisze: „Listy p. Szymanowskiej wszędzie najmiliej przyjmowane i wszyscy o nią dopytują się. W Berlinie poznałem Mendelsonów i bywałem u nich, kazali mi bardzo kłaniać się p. Szymanowskiej.

Tak więc według własnych słów poety „w miłym i zacnym towarzystwie rodaków i cudzoziemców“ upłynęło mu szybko kilka tygodni w Berlinie, gdy nareszcie z początkiem lipca (1829) postanowił puścić się w dalszą drogę. Tego samego dnia zaprosiła go raz jeszcze młodzież polska na zebranie, ażeby go uroczyście pożegnać. Wówczas śród śpiewów narodowych i ludowych, o które poeta szczególniej prosił — szybko minęło kilka wesołych godzin. Poeta notował sobie niektóre nieznanne pieśni ludowe i w najlepszym był humorze, gdy tymczasem zbliżała się chwila odjazdu. Było to już po północy, gdy całe towarzystwo odprowadziło go do hotelu, gdzie od godziny czekały konie pocztowe. Hrabia Plater, który tym razem miał być towa-

<sup>1)</sup> Urodzony w r. 1758, był z początku budowniczym; później od dawnszy się wyłącznie muzyce, został w r. 1809 profesorem téż w akademii berlińskiej. On i Eckerman byli szczególniejszymi przyjaciółmi Goethego w ostatnich 20 latach jego życia. Zajmująca korespondencja Zeltera z Goethem wyszła w 6 tomach pod tytułem: „Briefwechsel mit Goethe.“ Znajdujemy tam i kilka wzmianek o Mickiewiczu, które w tłómaczeniu francuzkiem podał Władysław Mickiewicz w dziele: „Mélanges posthumes“ etc., tom II, str. 492.



rzyszem jego podróży, zwrócił uwagę poety na tak znaczne opóźnienie, ale Mickiewicz odpowiedział mu na to:

— Patrz na tych naszych braci, a jeśli masz serce odeślesz konie, abyś sam w ich towarzystwie przeżył chwilę, jakich mało w twym życiu mieć będziesz.

Niebawem wszakże nastąpiły serdeczne pożegnania, a nie długo potem potoczył się powóz gościńcem wiodącym ku Dreznu.

\* \* \*

W opisie powyższym poszliśmy głównie za świadectwem Wojciecha Cybulskiego i Libelta, którzy byli uczestnikami owych wypadków i zgromadzeń. Jednakże i w listach poety, pisanych w owym czasie, znajdują się ustępy, które stwierdzają prawdziwość tego, cośmy wyżej powiedzieli. Tak np. dnia 12 czerwca r. 1829 pisał poeta do Franciszka Malewskiego.

Franciszku!

Piszę do ciebie te kilka słów dlatego tylko, ażebym dowiódł, iż nie lenię się wcale, kiedy mam zrzęczość odezwać się do moich miłych. Siedzę tu od tygodnia, tutejsi polacy dali mi obiad ein wenig burschikos, wieleby o tém pisać... Filozofia tu pozawracała łąby, lękam się, abym nie przeszedł na stronę Śniadeckiego, tak mnie nudzą Hegliści. Chadzam na Hegla. Dwie lekcye zajęła różnica między Vernunft i Verstand. Widzę, że należę do dawniejszego pokolenia i jako stationnaire żadnym sposobem nie zrozumieję się z tutejszymi metafizykami...“ (Kor. I, 46).

W innym znowu liście, pisanym do Lelewela, tak mówi poeta o pobycie swym w stolicy pruskiej:

... „W Berlinie, zdaje się, że wszyscy ze mnie byli radzi, bo mnie uczniowie fetowali i w nocy do powozu odprowadzili, a dla poznaczyków obywateli powziąłem szacunek i mam dowody, że mnie nawzajem lubili i najmiliej przyjmowali; z nimi w Berlinie ciągle żyłem.“ I znać mi tém było to pożycie ówczesne dla naszego poety, skoro nad pierwotny zamiar pobyt swój w tём mieście tak znacznie, bo aż do całego przeszło miesiąca zdołał przedłużyć. Ale poeta może nie przeczuwał tego wówczas, jak dobroczynne następstwa dla młodzieży polskiej, bawiącej wówczas w Berlinie, miały wynikać z jego krótkiego pośród niej pobytu. Oto, co pisze naoczny świadek owych wydarzeń, Wojciech Cybulski:

„Od tego czasu zgoda, miłość, braterskość, zapał do nauk, obyczajność w życiu i pożyciu, przytém pewien rodzaj egzaltacyi, przecucia i oczekiwania, nadzieja i wiara w przyszłość, ożywiały wszystkich umysły i serca. Zdawało się, jakoby duch promienisty przeniósł się z Wilna do Berlina.“ (Pismo poznańskie. Rok 1845). Całą tę prze-

mianę sprawił niedługi pobyt Mickiewicza w gronie ówczesnej młodzieży polskiej, odbywając tam swoje studia uniwersyteckie <sup>1)</sup>).

### III.

Dnia 5 lub 6 lipca 1829 roku przybył Mickiewicz do Drezna. Widać to z listu do Franciszka Malewskiego, pisanego dnia 15 lipca a zawierającego w sobie wiadomość, że poeta „od dziesięciu blisko dni“ bawił już wówczas w stolicy saskiej.

Tu czekały go już od dawna listy z Petersburga od Malewskiego i p. Szymanowskię, która go znowu tutejszym znajomym swoim nie omieszkała jak najlepiej polecić.

Poeta nie zamierzał w Dreźnie więcéj nad 10 dni pozostać; dla tego pilnie korzystał z czasu, aby poznać osobliwości miasta i zaznajomić się ze znakomitościami tutejszymi.

We wspomnianym liście do Malewskiego opisuje, jak sobie w tym celu czas podzielił. Już o 6 rano, w razie pogody, był w „szkole pływania“, po 8 z katalogiem w ręku szedł do galerii obrazów, gdzie zostawał do 12 a nieraz 2 godziny. Potém udawał się „na obiad lub gawędkę, lub wizyty.“

Wówczas bawiło w Dreźnie wielu polaków; dla tego donosi poeta Malewskiemu, że bawi tam „Mazurów i warszawiaków nieledwie tyle, co niemców, a wszystkie mazurki ładne.“

Zdaje się wszakże, że tym razem nie doznał tu poeta takiego, jak w Berlinie przyjęcia. — Że znajomości, jakie tu wówczas między obcymi porobił, wspomnieć należy Tiecka, znakomitego tłumacza utworów szekspirowskich, oraz Falkensteina, autora dzieła o Kościuszcze.

Z polaków żył tu ziemczały prawie zupełnie Bronikowski, słynny autor wielu w niemieckim języku pisanych, ale głównie do dziejów polskich odnoszących się powieści. Zresztą poznał się tu także z rodziną Dobrzyckich i Łabędzkich, którzy wówczas stale bawili w Dreźnie. Ale podobno najbliżej żył wówczas poeta z Warszawiakiem Kalikstem Morozewiczem, w którego téż towarzystwie dnia 15 lipca (1829 roku) wybrał się do Karlsbadu. Po drodze jednakże zwiedził Szwajcaryą Saską a następnie przez dni kilka zabawił w Pradze. Tu zawiązał stosunki z literatami czeskiemi a szczególniej ze sławnym Wacławem Hanką, bibliotekarzem narodowęj biblioteki czeskiej, znającym dobrze język nasz i literaturę. Zapalony ten wielbiciel przeszłości czeskiej, dawnych jęj wspomnień i pamiątek, starał się wówczas nakłonić Mickiewicza do napisania poematu, którego bohaterem miał być Żyszka. Hanka obiecał nawet naszemu poecie dostarczyć potrzebnych

<sup>1)</sup> Do pobytu Mickiewicza w Berlinie odnosi się także list ś. p. Karola Libelta do p. Władysława Belzy, podany w ogłoszonęj przez tegoż: „Kronice z życia Mickiewicza.“ Lwów 1884.

do tego materyałów, a może już wówczas uczynił to w części przynajmniej.

W każdym razie warto zwrócić uwagę na to zbliżenie się wielkiego poety do najznakomitszych literatów czeskich. — W „Korespondencji Mickiewicza“ (tom III, str. 117, wydanie 4), znajduje się nawet list Hanki pisany po polsku, a zachęcający poetę w roku 1832 do powtórnego przybycia do Pragi, aby tam z materyałów do Żyzski lepiej mógł korzystać.

Niewiarowicz potwierdza także, że z własnych ust Hanki słyszał o tej zachęcie do pisania wspomnianego poematu, — a co więcej mówi on, że Mickiewicz w rzeczy samą poemat taki napisał. Pierwszą jego pieśń, zaczynającą się od wspaniałego opisu lasów czeskich, czytał nawet kiedyś sam Niewiarowicz w rękopisie. Ale co się z nim później stało, nie umie powiedzieć dokładnie. Pamięta tylko, że rękopis ten już dawniej raz zaginął, później znów się odszukał, ale prawdopodobnie w r. 1848 przepadł na zawsze wraz z wieloma innymi rzeczami poety w czasie jego pobytu we Florencyi. I Lucyan Siemieński, spotkawszy się z Mickiewiczem w Strasburgu w roku 1840, słyszał od niego o ową zachęcie do pisania poematu o „Żyszczce„

— Ale przyznam ci się — rzekł mu wtedy Mickiewicz z uśmiechem — że jednooki bohater, przedstawiający się z jednej tylko strony nienawiści i zemsty, wydał mi się ustępem, nie zaś skończoną całością. W konkluzyi bowiem trzeba by dowieść czego innego, jak się założyło. — Wojny husyckie, choć z taką heroiczną prowadzone zaciętością, strawiły naród czeski i odjęły mu wszelką żywotność...

Czy wówczas, kiedy poeta takie o tym przedmiocie wypowiadał zdanie, poemat wspomniany przez Niewiarowicza był już gotowy? — Nie umiemy powiedzieć. Być może że tak było; ale znać była to rzecz niewielkich rozmiarów, może tylko jakiś „ustęp,“ któremu widocznie i sam autor wyższego nie przypisywał znaczenia.

#### IV.

Około 20 lipca przybył Mickiewicz z Morozewiczem do Karlsbadu, i razem z nim zamieszkał na Marienbadstrasse, w domu „pod Strzałą“ (zum Pfeil) na II piętrze pod nr. 4. I tu nie brakło pocie stosunków z rodakami, których, jak wiadomo, nie mało bywa po wszystkich wodach zagranicznych. Według zapewnienia Odyńca spotkało i tu Mickiewicza także najserdeczniejsze przyjęcie. Ale poeta podobno nie bardzo skorym był do zawierania znajomości, niektórzy wzięli mu to za złe a ztąd nie obeszło się i bez plotek, które nawet doszły wkrótce i do Maliewskiego. Z tego właśnie powodu pisze mu poeta w kilka miesięcy potem z Rzymu (kor. I. str. 51):

„W Karlsbadzie, prawda, że od niektórych poetów uciekałem, bo biorąc wody, niepodobna być w humorze słuchania głupich wier-

szy, ale z całą prozą żyłem w zgodzie. Mieszkałem z Morozewiczem ciągle, on świadek wszystkiego, spytaj go, z kąd te wieści poszły?...

Mickiewicz zresztą nie życzył sobie zabawić tu dłużej nad trzy tygodnie. Z niecierpliwością zatem oczekiwał przyjazdu Odyńca, z którym jeszcze w Dreźnie miał nadzieję się spotkać, ażeby odtąd już przez czas dłuższy razem z nim podróżować. Jakoż 10 sierpnia (1829) spodziewał się na pewno przybycia przyjaciela i w tym celu wyszedł prawie o milę całą na jego spotkanie. Ale nie mogąc go się doczekać, powrócił do siebie w nie najlepszym humorze. Dopiero o 8 godzinie wieczorem tegoż dnia nadjechał nareszcie gorąco oczekiwany Odyniec.

Mickiewicz wybierał się właśnie na wieczór, zwany pospolicie „reunionem,” i był wielce ucieszony, że karlsbadzkim znajomym swoim mógł przedstawić swego rodaka i przyjaciela.

Odyniec, który świeżo odwiedził Litwę, musiał teraz poecie opowiadać o wspólnych dawnych znajomych. Mickiewicz dopytywał się o wszystkich, o jednej tylko Maryli, ku zdziwieniu samego Odyńca, jak dawniej, tak i teraz, nie wspomniał ani słowa. Po dwóch dniach uciechy z przyjacielem, któremu chciał zostawić choć tyle czasu do obejrzenia Karlsbadu, spieszył się poeta w dalszą podróż. Rodacy, bawiący wówczas u wód tamtejszych, dowiedziawszy się o tym zamiarze, chcieli poetę uczcić pożegnialnym obiadem. Ale Mickiewicz wymówił się od tego, zwłaszcza że już wprzód ułożony był projekt ostatniego obiadu à table d'hôte z rodziną państwa Łabędzkich i kilku bliżej znajomych. Obiad ów, w którym wzięło udział ze 20 znajomych, przeciągnął się dosyć długo. Ucztowano wesoło, a do uprzyjemnienia czasu przyczynił się głównie Odyniec, który wiele ustępów z Konrada Wallenroda deklamował z pamięci, pomimo, że Mickiewicz, nie lubiący takiego kadzidła, silnie protestował przeciw temu. Pożegnawszy się już przy świetle księżyca ze swoimi współbiesiadnikami, wrócili obaj przyjaciele do swego mieszkania i nie rozbierając się nawet udali się na spoczynek, ażeby nazajutrz — jak najraniiej w dalszą puścić się drogę.

Zanim jednakże opowiemy dalsze ich podróży koleje, niech nam wolno będzie wspomnieć już na tém miejscu, że dzięki śp. hr. Aleksandrowi Przeddzieckiemu w r. 1870 wmurowano na owym domu „zum Pfeil“ pamiątkową tablicę z czarnego marmuru, z oznaczeniem daty pobytu Mickiewicza i numeru pokoju, który wówczas zamieszkiwał.

„Kłosy“ z r. 1876 podały w numerze 580 (str. 88) rycinę tego domu wraz z zajmującym artykułem pana Adama Mielezko-Maliszkiwicza.

Pani Petrek, właścicielka tego domu, takie autorowi wspomnianego artykułu dała wyjaśnienia, gdy ten w r. 1876 bawił w Karlsbadzie:

— Widzisz pan — rzekła — kiedy się zjechał w r. 1870 w Karlsbadzie ten hrabia polski (Al. Przeddziecki) z tym drugim panem star-

szym, który przed laty podróżował z wielkim poetą (Odyńcem) i razem w tym apartamencie mieszkali, wtenczas po odprawioném nabożeństwie za duszę poety wmurowano tablicę na domu naszym, należącym wówczas do mego ojca. W parę lat ojciec mój umarł, ale stosownie do prośby panów grafów wszystko do dziś dnia zostało, jak było dawniej, chociaż od bytności wielkiego poety upływa z górą lat czterdzieści. Wprawdzie musiałam przemałować spłowiałe ściany i odnowić zużyte meble, ale zresztą nic nie odmieniłam. Bo ten portret, co go pan widzisz, to już późniejszy. Przed paru laty zawiesiła go jakaś Polka, ubrana czarno i płacząca, kiedy tu weszła.

Pan Maliszkiewicz dodaje, że była to córka poety, p. Marya Górecka, a wspomniany portret jest roboty warszawskiego litografa Fajansa podług paryżkiej fotografii Szwajcera, podobno najlepszego ze wszystkich znanych wizerunków Mickiewicza.

Staraniem śp. hr. Aleksandra Przędzieckiego i Antoniego Edwarda Odyńca znajduje się w tym domu także księga oprawna w safian z napisem: „Album Mickiewicza.“ Wpisali się do niej najprzód ci dwaj jój fundatorowie a po nich następują zapiski: Aleksandra Chodźki, Maciejowskiego, Pola, Kraszewskiego, Andrzeja Zamojskiego, pani Seweryny Duchieńskiej i wielu innych rodaków i cudzoziemców, którzy w latach następnych oglądali pomieszkane wielkiego wieszca.

## V.

Wyjechawszy z Karlsbadu dnia 13 sierpnia r. 1829 o 3 godzinie zrana, przybyli nasi podróżni jeszcze tego samego dnia do Marienbadu, gdzie ku wielkiej swój radości spotkali się z matką Juliusza Słowackiego. Głównie też dla jój towarzystwa zabawili tu przez cały dzień następny a nazajutrz, to jest dnia 15 sierpnia, wybrali się w podróż do Weimaru.

Po drodze zwiedzili Eger, miejsce słynne zamordowaniem Walensteina, gdzie oglądali dom, w którym się to stało i ową włócznię, przechowywaną w tamtejszym ratuszu, co w r. 1634 służyła Buttlerowi do wykonania tego morderstwa.

Zatrzymawszy się przez kilkanaście godzin w Francensbadzie dla zobaczenia się z bawiącym tam kolegą wileńskim Adolfem Januszkiewiczem, podążyli obaj nasi podróżni przez Hof i następnie Jenę do Weimaru <sup>1)</sup>, gdzie dnia 17 sierpnia (1829) stanęli w hotelu „Pod słoniem.“ Tu czekały ich już listy nieocenionej pani Szymanowskiej, a między temi dwa polecające ich Goethemu i jego synowej pani Otylii von Goethe. Z listami temi udał się Mickiewicz zaraz nazajutrz do

<sup>1)</sup> Czytelnikom znającym Odyńca „Listy z podróży,“ przypomni się tu zapewne zabawna scena z szukaniem na mapie Frankfurtu, który przy tej sposobności tak niefortunnie „żydem“ został zalany.

państwa Augustów Goethe, gdzie obaj podróżnicy jeszcze tego samego dnia otrzymali zaproszenie na wieczór.

Pani Otylia, licząca wówczas około lat 40, zrobiła na nich nadzwyczaj miłe wrażenie, tak że jęj rozmowa przypominała im z jednéj strony pełną uczucia i wyobraźni panią Becu, z drugięj pełną inteligencyi panią Balińską, żonę znanego historyka. Pani Augustowa Goethe posiadała nadto wiele nauki, choć nie pragnęła się nią popisować i w ogóle najmniejszego nie okazywała pedantyzmu.

Mickiewicz, który zawsze wysoko cenił towarzystwo kobiet tego rodzaju, uczuł się w swym żywiole i z wielkiem ożywieniem brał udział w rozmowie, która toczyła się około najbardziej zajmujących przedmiotów, a głównie najświeższych zjawisk na polu literatury i sztuki.

Odyniec téż pisze z tego powodu, że pierwszy raz widział go w téj roli „szarmenta nad szarmentami“ i zdumiewał się nad ogromem jego najróżnorodniejszych wiadomości, które tak świetnie rozwijał w ciągu swęj rozmowy z panią Otylią, panną Pappenheim, pra-prawnuczką wielkiego wodza i z p. Eckermanem, znanym wydawcą „Rozmów z Goethem“ (Gespräche mit Goethe). Wyszędłszy zaś z tego wieczoru, nie mógł się powstrzymać od zapytania swojego towarzysza, w jaki sposób nagromadzić mógł tyle wiadomości. Wówczas-to przyznał mu się Mickiewicz, że w ostatnich kilku latach czytywał pilnie wyborne pismo paryskie „Glôbe“, z którego korzystał bardzo wiele.

Następnego dnia w południe mieli się obaj poeci polscy przedstawić autorowi „Fausta.“ Uprzejma pani Otylia przysłała im nawet swój powóz, ponieważ Goethe przebywał wówczas w swójem mieszkaniu wiejskiem, odległém od miasta o kwadrans drogi. Z bijącym sercem przestąpili obaj młodzi podróżni progi „wielkiego poganina.“ W saloniku, do którego ich wpuszczono, znaleźli na kominku jakiś odcinek papieru, na którym Mickiewicz poznał pismo Goethego, znane mu już z albumu p. Szymanowskięj. Schowali go na pamiątkę, gdy wtém dały się słyszeć poważne kroki. Po chwili otworzyły się drzwi i wszedł ten, który na ludziach, widzących go poraz pierwszy, sprawiał wrażenie Jowisza.

Takiego-to wrażenia doznał przecieź drwiący ze wszystkiego poeta niemiecki Heine, który wyznaje, że gdy pierwszy raz zobaczył Goethego, mimowolnie spuścił swe oczy, jakby chciał się przekonać, czy obok niego nie ujrzy orła, z gromowemi w dziobie błyskawicami <sup>1)</sup>. Nie dziw tedy, że i na polskich poetach od pierwszēj chwili sprawił autor „Fausta“ nadzwyczajne wrażenie.

— Wybaczcie panowie — przemówił Goethe po francusku — że

<sup>1)</sup> H. Heine: Zur Geschichte der neueren schoenen Literatur in Deutschland: „Wahrlich, als ich ihn in Weimar besuchte und ihm gegenüber stand, blickte ich unwillkührlich zur Seite, ob ich auch neben ihm den Adler saehe mit den Blitzen im Schnabel.“

kazałem wam na siebie czekać. Bardzo mi miło widzieć przyjaciół pani Szymanowskiej, która i mnie zaszczyca swoją przyjaźnią. Od wspomnienia o sławnej z talentu i urody pianistce polskiej, którą Goethe zaszczycił kilkakrotnymi wykrzyknikami: „belle, gracieuse, charmante!“ potoczyła się swobodna o rzeczach literackich rozmowa. Goethe oświadczył polskiemu poetom, że nie obce mu są ich nazwiska, gdyż niektóre ich utwory znane mu są z tłumaczeń, ogłoszonych niedawno przedtém w „Leipziger Jahrbücher.“ I nie był to zapewne tylko zwykły komplement, gdyż w piśmie tém w istocie pojawił się ustęp z „Konrada Wallenroda“ w tłumaczeniu panny Jä-nisch, oraz Odyńca „Branka Litwina.“

W ogóle okazał poeta niemiecki wielką swoim gościom uprzejmość. Żałował, że dla zbyt wielkiego zajęcia nie miał czasu poznać żadnego ze słowiańskich języków, dopytywał się ciekawie o stan i charakter polskiej literatury, słuchając z uwagą słów Mickiewicza, który mu to wszystko w sposób krótki, ale nadzwyczaj trafny i jasny opowiedział. Mickiewicz mówił do niego ciągle po francusku. Gdy zaś Goethe spróbował odezwać się do niego w swym ojczystym języku, odpowiedział mu nasz poeta po niemiecku, że chociaż znanym mu jest także ten język, nie ma jednak odwagi kaleczyć go w obec autora „Fausta.“ Po tych słowach rozmawiano już do końca w języku francuskim, przyczém Goethe wyrażał się z pochwałami o Janie Potockim i księżnie Lubomirskiej, których poznać miał przed laty sposobność.

Nie chcąc dostojnemu gospodarzowi zbyt wiele zabierać czasu, powstali nasi podróżni, ażeby go nateraz pożegnać.

— Ale ja będę miał przyjemność widzieć dziś jeszcze panów na obiedzie u mojej synowej — odezwał się Goethe, dodając oraz z uśmiechem — będziemy tam mieli kilka pięknych pań i panien. Spodziewam się, że to zrobi panom przyjemność. Nieprawdaz?

Na te słowa, uśmiechnęli się obaj młodzi poeci polscy, a sędziwy autor „Fausta“ pożegnał ich uprzejmém „do widzenia.“ Tak więc odbyło się to pierwsze Mickiewicza z Goethem spotkanie, upragnione bardzo przez naszego poetę, ale i przez Goethego już od kilku tygodni oczekiwane.

W korespondencji Goethego z Zelterem jest nawet niezaprzeczo-ny tego dowód. Jeszcze bowiem 12 czerwca 1829 roku pisał Zelter następujące słowa: „Przyjaciółka nasza, p. Szymanowska, zaleca nam a szczególniej tobie jako księciu poetów, poetę pełnego talentu, swojego ziomka polaka. Młody ten człowiek mówi dosyć dobrze po niemiecku i bardzo jest zalecony. Reszty dowiesz się od niego samego.“

W liście Zeltera z dnia 16 lipca 1829 r. czytamy znowu: „Poeta polski zalecony przez p. Szymanowską prosił mnie o list, mogący mu wstęp do ciebie ułatwić; ale nie przyszedł po niego.“ Powyższe doniesienia Zeltera stały się zapewne powodem, że Goethe oczekując Mickiewicza, pomylił się i kogo innego wziął za niego. Widać to z listu

pisanego do Zeltera 18 lipca 1829 roku, a więc wtedy, gdy Mickiewicz był dopiero w drodze do Karlsbadu.

„Poeta polski — pisał Goethe — odwiedził mię, towarzysząc księżnie Wołkońskiej, wśród licznego orszaku. Wymówił ledwie słowo i nie wpadł na dobrą myśl, żeby był sam się u mnie zjawił. Gdyby się nie widziało na tym świecie, jak często korzysta się niezręcznie ze sposobności dogodnej, to należałoby zganić i wytknąć postępowanie takie.“

Na powyższe słowa wkrótce, bo już 23 lipca 1829 r. odpisał Zelter: „Młody polacco musi być osobliwym ptakiem. Nie wiem nic więcej o nim, tylko że miał dla ciebie list p. Szymanowskięj. Mnie odał list, który miał do mnie i nie zjawił się więcej.“ Ale niebawem wyjaśniła się pomyłka. Już bowiem 15 sierpnia, a więc jeszcze przed przyjazdem Mickiewicza do Weimaru pisał Goethe do Zeltera: „Pośpieszyliśmy się zanadto z oskarżeniem naszego poety polskiego, zaleconego przez p. Szymanowską: on jeszcze tędy nie przejeżdżał: był to rosyjanin, któregośmy wzięli za niego.“

List Goethego pisany 20 sierpnia 1829 r., jest już wyraźnym dowodem, jak korzystne wrażenie zrobili na nim obaj nasi ziomkowie, bo oto słowa pisane bezpośrednio po ich poznaniu: „Nasz poeta polski dopiero co się zjawił. Kilka dni pierwój byłby bardzo pożądany wraz z towarzystwem, któreśmy tutaj mieli. Teraz może zabraknie mi czasu na robienie honorów jemu jednemu, co mi się wkońcu staje rzeczą bardzo trudną, prawie niemożliwą. Zdołałem ukończyć moj drugi pobyt w Rzymie, któremu poświęcam tom XXIX; a byłbym zrobił drugie tyle, gdyby nie ten ruch nieustanny, jaki sprawiamą mili przyjaciele, którzy uic nie przynoszą, ani nie unoszą ze sobą. Ale ta jeremiada niech ci nie przeszkadza dać czasem komu jaki mały bilecik: bo z nieprzyjemności chwilowój rodzi się nieraz miłe spostrzeżenie. Było też w istocie rzeczą bardzo zajmującą obserwować i porównywać polaków przybywających z anglikami odjeżdżającymi <sup>1)</sup>: nie widziałem nigdy przeciwieństwa zupełniejszego.“

## VI.

Po tak uprzejmém przyjęciu, jakiego podróźni nasi doznali zaraz na wstępie swojego w Weimarze pobytu, czekały ich odtąd prawie

<sup>1)</sup> Ustęp dotyczący podała „Kronika rodzinna“ w polskim przekładzie z r. 1868 (nr. 6) a nadto zamieszczono go także w Odyńca „Listach z podróży.“ Artykuł zaś Wiktora Pavie podała „Biblioteka Warszawska“ z r. 1875 (t. I, str. 282) w pięknem tłumaczeniu a częściowo streszczeniu pióra p. Seweryny Duchyńskiej, autorki „Kroniki paryskiej.“ W dziele francuskiém: „David d'Angers, sa vie son oeuvre et ses contemporains,“ par Henry Jouin. Paris, 1878, — znajduje się wiele szczegółów o Mickiewiczu, wyjętych także ze wspomnień Wiktora Pavie.



z dniem każdym nowe przyjemności i zabawy. Jeszcze bowiem tego samego dnia odbył się na ich cześć obiad u p. Augusta Goethe, a raczej jak wtedy powszechnie mówiono, u jego żony „pani Otylii.“

Mickiewicza, który był bohaterem owej chwili, posadzono między Goethem i panią domu; Odyniec siedział między panną Pappenheim i piękną panią Vogel. Obecny był także Eckermann, który w ogólności najczęściej był przy boku Goethego. Sędziwy autor „Fausta“ był w wybornym humorze, rozmawiał swobodnie i wiele z Mickiewiczem, którego zdania widocznie zatrzymywały jego uwagę, skoro je nieraz siedzącemu naprzeciw Eckermanowi prawie dosłownie powtarzał.

Po obiedzie pokazywał p. August Goethe gościom swoje zbiory, między którymi były i minerały osobliwsze. Na niektórych z owych kamieni zachowane były zęby rozmaitych zwierząt dziś już nie istniejących.

— Żaden przedpotopowy dentysta nie posiadał zapewne piękniejszego zbioru — odezwał się wówczas Mickiewicz, a słowa te tak się podobały starymu Goethemu, że je natychmiast powtórzył obecnym damom, które ich może pierwiej nie dosłyszały. Niebawem powiększyło się koło znajomości weimarskich.

Wkrótce bowiem zbliżał się dzień, w którym stary Goethe, urodzony 29 sierpnia 1749 r., miał obchodzić 80-letnią rocznicę swych urodzin. Z tego powodu spodziewano się w Weimarze wielu gości, a i sam Goethe przeniósł się natenczas do swego miejskiego pomieszkania, aby mu było wygodniej ich przyjmować.

Wkrótce zaczęli się zjeżdżać anglicy, francuzi i niemcy. Do ostatnich należał zwłaszcza poeta Holtey, muzyk Hummel i kilku innych mniej znanych. Z Belgii przybył sławny Quetelet, dyrektor brukselskiego obserwatorium, z Paryża znakomity rzeźbiarz David d'Angers i młody naówczas literat Wiktor Pavie.

Holtey, Dawid i Pavie stanęli w tym samym co i nasi podróżni hotelu, i to nawet w najbliższem sąsiedztwie zajmowanego przez nich mieszkania. Już to samo ułatwiło zrobienie szybkiej z nimi znajomości. Sposób, w jaki się Mickiewicz poznał ze wspomnianymi francuzami był dość oryginalny. Dlatego szczegółowo opowiada go Odyniec, zarówno jak i Wiktor Pavie. Zestawmy tedy ze sobą te dwa opisy, aby z nich całkowity ułożyć obraz.

Było to dnia 24 sierpnia 1829 roku, gdy w hotelu „Pod słoniem“ w sali jadalnej siedzieli przy stole trzech podróżnych. Był to Mickiewicz i dwaj świeżo przybyli francuzi. Mówili z sobą po francusku, a zwłaszcza Wiktor Pavie rozprawiał nadzwyczaj żywo i głośno. Dowiedziawszy się nadto, że towarzysz jego jest polakiem, chciał mu dać dowód, że niezupewnie obcą jest mu polska literatura. Mówił tedy z zapałem o największym tegoczesnym poecie polskim, którego wszakże nazwiska nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć. Gdy zaś siedzący naprzeciw niego i spokojnie kawę pijący polak pod-

suwał mu nazwisko Krasickiego, francuz zdziwiony tą nieznamościami własnej literatury, wykrzykiwał z wielką żywością:

— Non, non! ce n'est pas le nom Mic... Mis... Mik... Eh! qui est donc votre grand poete? (Nie, nie! to nie takie nazwisko. Mic... Mis... Mik... Eh! któż tedy jest waszym wielkim poetą?).

W tej chwili wszedł do sali Odyniec, który tym razem później przyszedł na obiad. Słyszał wprawdzie zapytanie p. Pavie, ale na znak dany przez Mickiewicza nie odezwał się jeszcze, choć trudno mu było powstrzymać się od śmiechu.

Tymczasem Mickiewicz skończył swą kawę, uklonił się swym towarzyszom obiadu, a przemówiwszy do Odyńca kilka słów po polsku, opuścił salę.

— A to i pan polak! — odezwał się wówczas Wiktor Pavie do Odyńca — czy i pan nie znasz nazwiska waszego wielkiego poety?

— Pan chcesz zapewne mówić o Mickiewiczu.

— Tak! tak! mam nawet portret jego u siebie.

— Wszakże to jest ten sam, który wyszedł przed chwilą — spokojnie odpowiedział Odyniec.

— A to rzecz szczególna — wołał francuz coraz głośniejsz, uszczęśliwiony tak niezwykłym spotkaniem.

Ale i Dawid d'Angers, bo tym był właśnie ów drugi francuz, ucieszył się bardzo z tak przypadkowego spotkania się ze sławnym poetą polskim.

W przekonaniu, że Odyniec kreślił swój opis pod świeżym wrażeniem tej sceny, poszliśmy tu za jego opowiadaniem. Wiktor Pavie bowiem niewątpliwie znacznie później pisał swoje wspomnienia i dlatego przedstawił to samo z pewnemi, choć co do istoty rzeczy mało ważnemi odmianami. Oto własne jego słowa:

— Naprzeciwko nas siedzieli w milczeniu dwóch cudzoziemców. Z rysów i akcentu poznaliśmy wkrótce ich narodowość. Po pierwszych ukłonach i oznakach sympatyj przeszła rozmowa od polityki na literaturę. Obcy podróżni mówili ze znajomością rzeczy o dziełach i autorach. Imiona koryfeuszów naszych znać przebiegły za Wisłę. W odpowiedzi na ich serdeczne słowa, zacząłem wystawiać imię, które od niedawnego czasu nabierało rozgłosu we Francyi, imię Adama Mickiewicza. Mam — rzekłem — w moim pokoju portret litewskiego poety, choć dotąd nie czytałem nic z jego tak sławionych utworów.

— Portret nie musi być podobny — rzekł na to młodszy podróżny ze znaczącym uśmiechem. Starszy tymczasem zarumienił się i zmięszał. Począłem przypatrywać się lepić... Uderzyły mnie rysy i wyraz oblicza... Był to Adam Mickiewicz!

Jeszcze tego samego dnia rozpoczął Dawid robotę owego medalionu, który znany jest z pięknego wykonania i nadzwyczajnego podobieństwa. W chwili, kiedy sławny rzeźbiarz na marmurowej tabliczce rozciągał jakąś glinę czerwoną, odezwał się do naszego poety, aby mu po francusku wygłosił ustęp jaki ze swoich utworów. Mickiewicz

wybrał Farysa i wnet zaczął z pamięci tłumaczyć go pięknie a nawet do pewnego stopnia rytmicznie.

— Sublime!—wołał co chwila Dawid a i Wiktor Pawie nie mógł wyjść z zachwycenia. Po wielu jeszcze latach opisując tę scenę, nie zapomniał odniesionego wówczas wrażenia. Oto własne jego słowa:

— Wówczas-to w sposób niezrównanego wdzięku, ten który nigdy jeszcze nie dotknął ziemi francuskiej, wygłosił w mowie naszej pierwsze zwrotki Farysa... Strofy jego gorące, jak płomień czyste, jak śnieg, dziewicze, jak pustynia ludzką nie tknięta stopą!“

Ale Pawie zachwycał się nie tylko samą poezją Mickiewicza; dopatrywał bowiem w nim i głębszej strony pięknego charakteru, który także umiał należycie ocenić. Mówiąc bowiem w dalszym ciągu o rozmowie z naszym poetą, wydaje mu zaiste piękne i prawdziwe świadectwo, którego, jako z ust cudzoziemca pochodzącego, nie wahamy się tu powtórzyć:

„Bard milczący z natury odchyłał chwilowo zasłonę z życia swego. O wielkim rozgłosie dzieł własnych, o wpływie ich na naród, o wpływie największym, jaki objawił się gdziekolwiek w naszych czasach, nie wyrzekł ani słowa.“

## VII.

Odtąd z dniem każdym ożywał się Wejmar coraz bardziej; goście przybywający na uroczystość Goethego podejmowani byli uprzecznie na wieczorach lub obiadach u młodszych państwa Goethe. Ale czy dawano obiady na przyjęcie Dawida, czy z kolei Holteya lub Queteleta, nie zapomniano żadnym razem prosić na nie Mickiewicza i Odyńca. W ogólności obydwaj nasi poeci umieli wkrótce zjednać sobie powszechny szacunek i niezwykłą sympatyą. Panie wejmarskie wyznawały otwarcie, że polubiły polaków, ponieważ mają w sobie wiele poezyi. Potwierdza to i Holtey w swoich pamiętnikach, mówiąc, że cały tamtejszy świat damski (Damen-Welt) przeniósł tym razem swe sympatyje, okazywane zwykle dawniej anglikom, na ziomeków naszych. Z tego powodu rozpowszechniło się szybko to nabożeństwo do polaków (polnischer Cultus), do którego i sam Holtey, jak mówi—jako dawny naszej narodowości przyjaciel, przyłączył się zaraz z ochotą.

Do owego nadzwyczajnego o naszych poetach, a zwłaszcza o Mickiewiczu, wyobrażenia mógł się prócz osobistych jego przymiotów przyczynić także nie mało i następujący wypadek, który tak Odyńiec w swych „Listach,“ jak i sam Holtey w swoich pamiętnikach dokładnie opisuje.

Było to na wieczorze u pani Otylii dnia 27 sierpnia, na którym i stary Goethe był obecny. Rozmowa toczyła się żywo i zajmująco o najrozmaitszych przedmiotach i w rozmaitych kółkach. Mickiewicz rozprawił z panią Otylią i siedzącymi obok niej damami. Mówiono właśnie o darze odgadywania najskrytszych myśli i tajemnic serca, a poeta nawet wbrew swemu zwykłemu zwyczajowi pochwalił się tą

razą mimowoli, może tylko w zapale ożywionej rozmowy, że sztukę tę posiada. Przytomne tym słowom damy uznały to za rzecz niemożliwą, chyba że ujrzałyby oczywisty tego dowód. Wówczas dopiero poeta, jakby wezwany do okazania swój sztuki, oświadczył, że gotów jest każdej z przytomnych dam powiedzieć jój myśli i tajemnice, potrzeba tylko, aby każda z nich złożyła na tacy swój najulubieńszy pierścionek. W tej chwili pojawiło się na porcelanowym talerzu kilkanaście pierścionków.

Odyniec patrząc na to zatrwożył się naprawdę, obawiając się, aby nie skompromitował się jego przyjaciel. Ale Mickiewicz skoro mu podano owe pierścionki, obrócił się twarzą ku oknom i przez kilka minut przypatrywał się im wśród powszechnego w towarzystwie milczenia. Naraz zwrócił się ku towarzystwu i z obliczém natchnioném wprawdzie, ale nadzwyczajną pokrytém bladeścią, oddawał każdej z kolei damie jój pierścionek, choć nie wiedział przedtém, który do kogo należy. Nadto zaś każdej mówił przy tej sposobności przytłumionym głosem jakieś tajemnice, których wszystkie słuchały z wielkiém, prawie trwożliwém przejęciem, pani Otylia zaś nawet ze wzruszeniem aż do łez posuniętem.

Poeta nasz odniósł w ten sposób tryumf zupełny; wszyscy przekonani byli, że każdej z dam powiedział istotną prawdę, a po całym towarzystwie przebiegały słowa podziwu i wykrzykniki: „Es ist doch wunderbar!“ Nawet sam Holtey, zrazu uważał to za żart z góry umówiony, przekonawszy się później, że tak nie było, nie mógł jeszcze po wielu latach pozbyć się zdumienia, jakie go wówczas ogarnęło.

Ile razy — są jego słowa — czytałem potem w pismach francuzkich imię jego, złączone z najniepodobniejszymi do wiary baśniami, zawsze mi stawał w oczach ów błąd wajmarski czarodziej z pierścionkami.

## VIII.

Tymczasem nadszedł dzień 28 sierpnia (1829 roku), w którym obchodzić miano 80-letnią rocznicę urodzin sędziwego autora Fausta. Od samego rana widać było w Weimarze jakiś uroczysty, prawie świąteczny nastrój, a przytém wielki ruch i w ogólności niezwykle, powszechne ożywienie. Po życzeniach składanych Goethemu w godzinach południowych, w czém i nasi rodacy nie dali się prześcignąć, odbył się uroczysty obiad składkowy w sali hotelu „zum Erbprinzen.“

Poeci nasi otrzymali, jako goście wajmarscy, bezpłatne zaproszenia. Wśród wielu toastów wznoszonych na cześć sędziwego jubilata przemówił krótko i Mickiewicz, a żałować można, że przemówienia tego nie podał Odyniec w swoich listach.

Nazajutrz był znowu obiad u pani Otylii na cześć Quetelet'a, a wieczorem dawano w teatrze uroczyste przedstawienie Fausta. Być może, że pobudzony tém Mickiewicz przetłómaczył wówczas prolog

tego dzieła, który potem w r. 1831 w rękopiśmie darował Ant. Góreckiemu. Górecki zaś zostawił go w Dreźnie w r. 1832 u Todweua, w pakiecie opieczętowanym i zaadresowanym, o czém znajduje się wzmianka w koresp. Mickiew. I. 154. Następnego zaś dnia wybrali się nasi poeci wraz z Dawidem i Wiktorem Pawie do niedalekiej Jeny złożyć wizytę rektorowi tamtejszego uniwersytetu, historykowi Lunden'owi, którego dzieła już dawniej znane były Mickiewiczowi; a głównie, aby oglądać pole bitwy, wstawione zwycięstwem Napoleona, odniesioném nad Prusami i Rosyą dnia 14 października 1806 r. Wrażenie, jakie wówczas sprawił widok tego sławnego miejsca, było nadzwyczaj wzniosłe.

— Uczucia wstrząsające nimi — jak opowiada W. Pawie — malały się nie tylko w słowach, ale bardziej jeszcze na obliczach naszych. Młode serca wrzały szczerym zapałem. Dawid marzył o tych poległych bez imienia, bez promyka sławy, bez grobowego nawet głązu! Mickiewicz zrazu milczący i zamyślony, smętnie rozbierał potem problemat téj krwi bratniej, wylanéj tak bezpłodnie a tak wspaniałomyślnie. W téjże chwili szczególne dźwięki, długie, drgające i przeciągłe ozwały się w oddali. Podróżni spojrzeli ku miastu i ujrzeli połyskującą w promieniach słonecznych wieżę, z kąd płynęła ku nim spokojna harmonia dzwonów.

... „W tych pełnych dźwiękach — mówi wspomniany autor — czuliśmy jakby ciepłe technienie dusz, co ożywiały niegdyś owe ciała rozsiane po szerokiém pobojuwisku. Ton ich poważny i łagodny nie kołysał bynajmniej do snu, ani téż jak trąba bojowa nie wzywał do nowych zapasów. Był to raczej jakby hymn finalny wszystkich dysnansów ziemskiego życia“...

Wróciwszy do Weimaru, wybierali się już nasi podróżni w dalszą swą drogę. Korzystał z tego Dawid, ażeby wykończyć rozpoczęty przed kilku dniami medalion. W chwili, kiedy właśnie zajęty był tą robotą w pomieszkaniu poety, wszedł jakiś młody człowiek i wręczył Mickiewiczowi bilecik, na którym były następujące słowa:

Weimar, den 30 August 1829 r.

Herr Mickiewicz ist hoefflichst ersucht dem Ueberbringer des Gegenwaertigen, Herrn Schmeller, einige Stunden zu goennen um das Portrait eines so interessanten Gastes zu nehenen; auch wegen der Zeit mit demselben einige Verabredung zu nehmen.

Hochachtungsvoll

J. W. Goethe.

(Pana Mickiewicza proszę uprzejmie oddawcy niniejszego, panu Schmellerowi, poświęcić kilka godzin, aby mógł zrobić portret tak interesującego gościa, a także umówić się względem czasu.

Z wysokim szacunkiem

J. W. Goethe).

Chwila była właśnie dogodna. Schmeller usiadł i zaczął rysować, gdy równocześnie Dawid zajęty był swoim medalionem. Tego samego dnia byli poeci nasi na wieczorze u gościnnych państwa Peucer'ów, mieszkających stale w Weimarze, a nazajutrz spędzili raz jeszcze wieczór u młodych państwa Goethe. Poraz ostatni spotkali się tu z sędziwym jubilatem, który ich przy pożegnaniu ujął za ramiona i serdecznie w czoło ucałował. Było to zaś z jego strony oznaką życzliwości, którą, jak zapewniała pani Otylia, okazywał rzadko cndzoziemcom i w ogólności w nadzwyczajnych tylko razach. Odchodząc wziął świecę ze stołu i stanąwszy we drzwiach, jeszcze raz ręką do ust skinął ku obydwom polakom. W kilka minut potem przysłał przez starszego wnuka dwie kartki i dwa pióra, o które już przedtém za pośrednictwem p. Otylii prosili go nasi poeci. Kartka przeznaczona dla Mickiewicza zawierała następujące zwrotki:

Des Menschen Tage sind verflochten,  
Die schönsten Güter angefochten,  
Es trübt sich auch der freiste Blick;  
Du wandelst einsam und verdrossen,  
Der Tag verschwindet ungenossen  
Im abgesonderten Geschick. \*

Wenn Freundes Antlitz dir begegnet,  
So bist du gleich befreit, gesegnet,  
Gemeinsam freust du dich der That.  
Ein zweiter kommt sich anzuschliessen.  
Mitwirken will er, mitgeniessen,  
Verdreifacht so sich Kraft und Rath.

Von äusserm Drang unangefochten,  
Bleibt Freunde so in Eins verflochten,  
Dem Tage goennet heiteren Blick!  
Das Beste schaffet unverdrossen,  
Wohlwollen unserer Zeitgenossen.  
Das bleibt zuletzt erprobtes Glück!

Weimar, 28 August.

J. W. Goethe.

Wierz przytoczony ośmielamy się podać czytelnikom w następującém tłumaczeniu:

Różnie się chwile życia toczą,  
Nieraz przykrości nas zaskoczą  
I jasny schmurzą wzrok;  
Ty idziesz sam wśród tego świata,  
Dzień bez słodyczy ci ulata,  
Samotny życia twego tok!

Lecz skoro spotkasz przyjaciela,  
 Wnet dusza twa się rozwesela,  
     Z dwóch głosów jeden ton;  
 Bo gdy się z tobą złączy drugi,  
 Czerpicie słodycz z życia strugi,  
     A z prac — potrójny plon.

Niech świat nie stawia wam przeszkody,  
 Niech nie rozrywa waszój zgody;  
     Cieszcie się każdym dniem!  
 Rzec swoją róbcie jak najlepiej,  
 A przyjaźń ludzka niech was krzepi,  
     Bo szczęście tylko w tém.

Na kartce zaś, którą dostał Odyniec, były ręką Goethego napisane następujące cztery wiersze:

Diese Richtung ist gewiss,  
 Immer schreite, schreite,  
 Finsterniss und Hinderniss  
 Bleiben dir bei Seite.

Pożegnawszy się serdecznie ze wszystkimi, wrócili już dość późno obaj podróżni do hotelu, aby nazajutrz z żalem opuścić te „niemieckie Ateny,“ gdzie w ciągu swego dwutygodniowego pobytu doznali tyle ze wszystkich stron uprzejmości i gdzie długo jeszcze najmilsze po nich miały zostać wspomnienia. Najlepszym tego dowodem jest list p. Otylii Göthe, pisany 3 marca 1830 r. do poety, bawiącego już wtedy w Rzymie. Oto początek tego pięknego i dosyć długiego listu, który może zarazem dać dobre wyobrażenie o niepospolitym umyśle jego autorki:

„Miałeś pan zupełną słuszność do uwierzenia, że nazwisko pańskie nietylko z szacunkiem, lecz także z przywiązaniem żyć będzie w domu naszym i nie zawiedziesz się pan, gdy poweźmiesz przekonanie, że to uczucie będzie u nas trwało niezmiennie. Raczy więc pan sam ocenić, jak miłym byłby mi list pański nawet wówczas—gdybyś pan nie był sławnym człowiekiem—co wszakże nigdy nie jest bez zupełnego na mnie wpływu. Śmieć się pan z mojego wyznania, ale ja podzielam myśl Schillera: „ze wszystkich życia darów największą przecież jest sława.“ (Koresp. wyd. 4-te tom III, str. 120).

W dalszym ciągu listu pisze p. Otylia o młodym polaku, który będąc w Weimarze z najwyższym zachwytem wpatrywał się w rysy Mickiewicza na portrecie zrobionym przez Schmellera. W końcu po wielu uprzejmym a często aż do wyznania głębszego uczucia zbliżonych wyrazach, zaprasza p. Otylia poetę naszego do współudziału w dzienniku pod napisem: „Chaos,“ który tylko dla szczupłego koła najbliższych znajomych wychodzić miał w Weimarze. (Es wäre sehr

liebenswertig, wenn sie und Herr Odyniec etwas zum „Chaos“ senden wollten).

Wspomniane pismo nawet Goethe nieraz zaszczycał swą pomocą a Holtey napisał do niego prolog, w którym i nasi poeci są wspomniani:

„Ich seh mich kreizend zwischen beiden Polen.“

Była to aluzya do owych „Pole eins“ i „Pole zwei,“ czyli napisów na kartkach, któremi na składkowym dla Goethego obiedzie oznaczono miejsca dla Mickiewicza i Odyńca, zapewne dla trudności wymówienia lub napisania właściwych ich nazwisk. (Obszerniej o tém w Listach Odyńca i w Pamiętnikach Holteya).

## IX.

Pierwszego września r. 1829 o godzinie 9 z rana potoczył się z przed poczty wejmarskiej gościńcem ku Frankfurтови wiodącym ogromny wóz zwany „Eilwagen,“ który mógł pomieścić w sobie cały tuzin podróżnych. W liczbie tych znajdowali się Mickiewicz i Odyniec, którzy jako wcześniej zapisani na poczcie, otrzymali także miejsca wewnątrz wozu, gdy kilku innych musiało zasiąść w przedniej jego części czyli w tak zwanym kabryolecie. Tu znalazło się na szczęście kilku miłych towarzyszy jak Töpfer, poeta wracający z uroczystości wejmarskiej i miłszy jeszcze od niego, wieloma językami mówiący i w ogólności bardzo wykształcony baron Meyendorff. Wśród ożywionej o różnych przedmiotach rozmowy mijał czas szybko i przyjemnie. Podróżni ani się spostrzegli, jak rychło przybyli do Erfurtu, z kądem po przelotnym obejrzeniu miasta i spożytym obiedzie ruszyli dalej do Gothy. Tu rozstali się z Töpferem, wypili kawę i podążyli znowu do Eisenach a ztąd do Fuldy, gdzie stanęli nazajutrz tj. 2 września. Nie zatrzymując się tu długo, ruszyli dalej przez Hanau, aż wreszcie tego samego jeszcze dnia o godz. 5 po południu stanęli w Frankfurcie nad Menem. Zamieszkawszy w hotelu „zum Weidenbusch,“ korzystali z czasu, aby się czempredziej przebrać i być jeszcze tego samego wieczoru na przedstawieniu opery „Fidelio.“

Nazajutrz udał się Odyniec do banku Rotschilda, aby odebrać pieniądze, które tam już od dawna na nich czekały.

Była to dosyć znaczna sumka, przeznaczona dla Mickiewicza, a uzbierana ze sprzedaży dzieł jego, którą się gorliwie zajmowali jego przyjaciele, tacy zwłaszcza jak Malewski w Petersburgu lub Waleryan Krasiński i Joachim Lelewel w Warszawie.

Gdy Odyniec powrócił ze złotem, przyniesioném od Rotschilda i rozłożył je przed Mickiewiczem, nie zdawał się tenże z tego bardzo ucieszonym.

Wywiązała się nawet między nimi z tego powodu rozmowa, w ciągu której wielki poeta utrzymywał, że lepiej było dla poezyi



w owych odległych czasach, gdy oddanie się jój nie przynosiło złota. Gdy bowiem — mówił dalej — poezya zaczyna zysk przynosić, łatwo może zamienić się sama w bałwochwalstwo złota i w ten sposób zgotować sobie upadek.

Trudno zaprzeczyć, że wiele jest w tém prawdy; ale gdyby nie owo złoto, nie mógłby był poeta odbywać swój dalekiej podróży.

Otrzymawszy od barona Meyendorfa (z którym rozstali się w Frankfurcie) list polecający do Wilhelma Schlegla, puścili się nasi podróżni 4 września statkiem parowym na Menie do Moguncyi.

Tu w miejscu, gdzie Men wpada do Renu, odnieśli wspaniałe wrażenia a dla obejrzenia miasta, słynnego z dawniej siedziby jednego z elektorów, zatrzymali się w hotelu „Pod złotym karpim.“ Nazajutrz popłynęli dalej wzdłuż szerokiego Renu, zachwycając się widokami, które się po obydwóch stronach jego brzegów otwierały. Do takich należał zwłaszcza widok olbrzymiej skały zwaney Loreleyfels, sławniej z wielokrotnego echa, które tam słyszeć można. Jeden z majtków parowca zagrał na trąbce a nawet lorlejskie echo odbiło ją wielokrotnie i poniosło gdzieś daleko. Poeta nas przysłuchiwał się z uwagą temu zjawisku, które po latach niewiele przypomniało się jego pamięci i wyobraźni, wówczas gdy pisał w „Panu Tadeuszu:“

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,  
 Że Wojski wciąż gra jeszcze — a to echo grało  
 I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,  
 Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,  
 Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progū...

Tymczasem zapadł zmrok wieczorny, a w niedalekiej odległości ukazało się miasto Koblencya. Poeci nasi stanęli w hotelu „Zum Riesen,“ aby tu przenocować. Nazajutrz po południu popłynęli do Bonn, gdzie zamierzali złożyć wizytę wielce zasłużonemu Wilhelmowi Szleglowi. Słynny ten autor niegdyś przyjaciel autorki „Korynny“ (p. Staël) miał wówczas lat 62 <sup>1)</sup> i oddawna był przy tamtejszym uniwersytecie profesorem dziejów sztuki i literatury. Od delegata, którego uniwersytet wysłał na uroczystość wejmarską, wiedział już o naszych poetach, przyjął ich zatem bardzo uprzejmie i rozmawiał długo z nimi o swoich pracach literackich, o Goethe'm i o pani Staël.

W Bonn rozstali się nasi podróżni na dwa dni, gdyż Odyniec popłynął do Kolonii, a ztamtąd udał się do Akwizgranu dla zobaczenia się, z ordynatem hr. Zamoyskim, który wówczas bawił tam ze swą rodziną. Autor „Listów z podróży,“ o którym przed wielu laty obiegał znany wierszyk:

Z ekstraordinaryjnej ordynata łaski,  
 Ordynico i Ordynico patrzą w Ogród suski,

<sup>1)</sup> Ur. roku 1767 † 1845.

już 9 września powrócił do Bonn, gdzie go w przystani oczekiwali Mickiewicz. Nazajutrz wybrali się w dalszą podróż obaj poeci, zwiedzając w następnych dniach miasta Darmstadt, Heidelberg, Karlsruhe, w których zatrzymywali się przynajmniej przez kilkanaście godzin. W ten sposób dopiero 14 września (1829) przybyli do Strassburga i to w towarzystwie rzeźbiarza Dawida, z którym się z wielką radością spotkali w drodze. Tu zwiedzali osobliwości miasta, zachwycając się szczególnie piękna katedrą. Nareszcie pożegnawszy się z Dawidem, powracającym już wówczas do Paryża, wybrali się dnia 16 września w podróż dalszą, której najbliższym celem była piękna Szwajcarya.

## X.

Podróż do krainy Helwetów bywa dla każdego człowieka, a cóż dopiero dla artysty lub poety — ważnym w życiu wypadkiem. Mickiewicz zwiedzał ją kilkakrotnie w swem życiu, a nawet może właśnie nadzieja powtórnego jej jeszcze zobaczenia była powodem, że tym razem nie zamierzał poznać wszystkich jej osobliwości, i ograniczył się tylko do tych, które w owych czasach spotykał po drodze jadący tędy do Włoch podróżny.

Jakkolwiek zaś nie była to jeszcze najpiękniejsza część Szwajcaryi, którą poeta teraz przejeżdżał, przecież widok wodospadu Renu w Szafuzie, — miasta Zurych i jego jeziora, widok Raperswylu, następnie jeziora wallensteckiego i miasta Chur, co wszystko począwszy od 18 września przesuwało się przed jego oczyma, — sprawić mogło i w istocie sprawiło niepospolite na nim wrażenie.

Poeta, który jeszcze w Bonn i później w czasie żeglugi po Renie zabierał się z zapałem do rysowania następujących się widoków, i teraz kilkakrotnie powracał do tego zajęcia. Może nawet wówczas szczerze żałował w duchu, że nie posiadał większej w tej sztuce wprawy, bo z tego, co Odyniec o owych rysunkach opowiada, widać, że były to próby dyletanta, stojącego na najniższym dopiero szczeblu.

Dnia 25 września stanęli nasi podróżni już prawie na granicy Szwajcaryi.

Było to na popasie w Andeer, gdy Odyniec, lubiący jak wiadomo zawsze towarzystwo, chociażby i najmłodszych córeczek Ewy, ujrawszy przeliczną czteroletnią dziewczynkę gospodarza, wziął ją na kolana i zabawił swoim zegarkiem.

Mickiewicz poglądał na tę scenę z boku z wyrazem jakiegoś niezwykłej czułości w swem obliczu.

Spostrzegłszy to, zapytał go Odyniec, czy kochałby dzieci swoje, gdyby go kiedyś Pan Bóg niemi obdarzył.

— O tyle, o ile byłbym przywiązany do żony — odpowiedział Mickiewicz, i w tej chwili pojawił się na jego twarzy wyraz głębokiego zasmucenia... Wkrótce jednak, jakby chcąc uwolnić się od cisnących

się do serca uczuć, zaczął rozmowę w żart obracać. Mimo to poznać było można, że robi to umyślnie i nie bez zadawanego sobie przy-  
musu.

Wyjechawszy z Andeer, przez całą drogę do Splügen był Mickiewicz zadumany, mało mówiący a nawet błądy, jak zwykle bywał wówczas, gdy czuł w sobie poetyczne natchnienie. Jakoż było tak w samej rzeczy. Myśl jego bowiem na wspomnienie o szczęściu rodzinném pobiegła daleko, do stariej ukochanej Litwy. Wspomnienie téj, do której przed wielu laty napisał:

Precz z méj pamięci!...

nie chciało i teraz jeszcze „usłuchać tego rozkazu.“

Dlatego poeta myśl swą puścił swobodnie, sfolgował wodze uczuciu i wyobraźni — i wydumał ową prześliczną elegią właśnie w ostatnim dniu swego pobytu w Szwajcaryi na wysokości Splügen, z kąd już przed nim otwierały się Włochy. Wówczas to — po raz ostatni w życiu — z głębi serca jego popłynęło ku Maryli westchnienie:

Nigdy, nigdy więc z tobą rozstać się nie mogę!  
Morzem płyniesz i łądem idziesz za mną w drogę,  
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,  
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady;  
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam  
I postać twoję widzieć lękam się i żądam.

Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj w tych podniebnych górach  
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach;  
Wstrzymuję krok, wiecznemi utrudzony lody,  
I oczy przecierając z lejącej się wody,  
Szukam północnej gwiazdy na zamgloném niebie,  
Szukam Litwy i domku twojego i ciebie.  
Niewdzięczna! może dzisiaj królowa biesiady,  
Ty w tańcu rej prowadzisz wesołej gromady...

. . . . .

Ach! jabym cię za rękę po tych skałach wodził,  
Jabym trudy podrózne piosenkami słodził,  
Jabym pierwszy w ryczące rzucił się strumienie  
I pod twą nożkę z wody dostawał kamienie.  
I przeszłaby twa nożka wodą niedotkniętą,  
A całowaniem twoje ogrzałbyin rączęta!  
Spoczynekby nas czekał pod góralską chatą;  
Tam zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą,  
A tybyś, przy pasterskim usiadłszy płomieniu,  
Usnęła i zbudziła na mojem ramieniu! . . .

# ZJAZD TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO W TARNOWIE

dnia 17, 18 i 19 lipca r. b.



Towarzystwo pedagogiczne galicyjskie, powstałe przed 20 laty z pomysłu znanego lingwisty Bronisława Trzaskowskiego, obecnie dyrektora gimnazjum w Tarnowie, wzięło sobie za cel zgromadzić pod jeden sztandar wspólną a rozumną pracę nauczycieli szkół niższych i średnich bez różnicy wyznania i narodowości. Obecnie po dwudzięciokrotności lat swego istnienia, pomimo błęgiego rozwoju swęj działalności, zjawia się już w uszczuplonych szeregach, gdyż rusini przystąpili do założenia osobnego stowarzyszenia, a profesorowie gimnazjalni, nie widząc łączności interesów swoich z interesami nauczycieli ludowych, zamyślają o Towarzystwie odrębnem. Zamiar ten nie wystąpił jeszcze z mglistej dziedziny projektów, wszelako odciągnął Towarzystwu pedagogicznemu pewien poczet członków, którzy ze stanowiska swego i wykształcenia mogli byli przodować młodszym braci. Pomimo tych prądów separacyjnych, zostało w Towarzystwie niemało i profesorów gimnazjalnych i rusinów, którzy przenieśli idee karności i jedności nad wszelkie względy uboczne.

Centralny organ Towarzystwa stanowi zarząd główny, przebywający we Lwowie, na którego czele stoją Zygmunt Sawczyński, jako prezes i Teofil Gerstman, jako wiceprezes, obowiązki zaś sekretarza piastuje Franciszek Próchnicki. W ubiegłym roku szkolnym miał Zarząd kilka trudnych zadań, w których musiał występować w obec władzy krajowej w interesie całego stanu nauczycielskiego szkół ludowych w Galicyi.

„Pod koniec feryi zeszłorocznych — jak powiada sprawozdanie — zaniepokojone zostało nauczycielstwo <sup>1)</sup>, całego kraju rozporządzeniem władzy szkolnej, znoszącej wszystkie klasy równorzędne w szkołach ludowych, co pociągnęło za sobą uwolnienie z posady wszystkich zastępców nauczycieli. Tym sposobem przeszło 200 młodych nauczycieli i nauczycielek, pozbawionych zostało nagle sposobu do życia, bez najmniejszej ze swojej strony winy. Zarząd główny Towarzystwa pe-

<sup>1)</sup> Zapewne zaniepokojeni zostali nauczyciele, bo pomijając już taki dziwotwór jak wyraz „nauczycielstwo“, żadnego „abstractum“ zaniepokoić nie można.

dagogicznego na pierwszym swoim posiedzeniu zajął się energicznie tą sprawą i wysłał deputacją pod przewodnictwem swego prezesa do p. namiestnika, ażeby powitała nowo-mianowanego prezesa rady szkolnej krajowej, a zarazem przedstawiła mu memoriał w sprawie nagłego zwinięcia klas równorzędnych. Pan namiestnik bardzo pochlebnie wyraził się o dotychczasowej działalności Towarzystwa pedagogicznego, uznał wielkie jego zasługi około rozwoju oświaty w kraju i zapewnił reprezentantów zarządu głównego o swojej dla tegoż Towarzystwa życzliwości. Przechodząc zaś do sprawy wspomnianego rozporządzenia rady szkolnej krajowej, znoszącego chwilowe t. zw. paralełki w szkołach ludowych, oświadczył ze zdaniem jego „szkoła potrzebuje spokoju i nie może być przedmiotem eksperymentów,“ jeżeli ma się rozwijać prawidłowo i należyte wydawać owoce. Zarazem oświadczył stanowczo, że zarządzenie, spowodowane tym okólnikiem rady szkolnej, w najbliższym czasie będzie cofnięte, zwłaszcza, że jest nadzieja, że sejm zabezpieczy zapewne fundusz potrzebny do utrzymania naszych szkół ludowych na dzisiejszym stopniu rozwoju. Oświadczenie to p. namiestnika, ogłoszone w dziennikach publicznych, poprawiło odrazu znacznie sytuacją, a wiadomo powszechnie, że rada szkolna krajowa wkrótce rozporządzenie wspomniane cofnęła tak, że szkoły nasze tylko chwilowo narażone były na pewien rozstrój.“ Tak więc w sprawie tej Towarzystwo pedagogiczne okazało się dzielnym obrońcą interesów stanu nauczycielskiego w obec instytucji, zarządzającej sprawami wychowania publicznego.

Drugi raz wystąpił zarząd główny już przed sejmem z memoriałem w sprawie zmiany ustaw szkolnych. Uspodobienie sejmu było nieprzychylnie memoriałowi, a wydział krajowy pod wpływem, jak się zdaje, marszałka sejmu Zyblikiewicza, ułożył projekt pomnożenia liczby szkół w kraju przez otwieranie t. zw. szkół posiłkowych, w których mieli uczyć czytać i pisać nauczyciele wykwalifikowani, zadawalnijący się taką płacą, na jaką gminy zdobyć się zdołają. Projekt ten nie podobał się już ministrowi oświecenia, a zarządowi Towarzystwa wydał się „dla rozwoju szkoły ludowej niewłaściwym.“ W memoriale swym zarząd „oświadczył się przeciw projektowanym szkołom posiłkowym i nauczycielom niewykwalifikowanym, wyrażając przedewszystkiem obawę, że proponowany w owym projekcie sposób pozyskania nauczycieli do czytania i pisania obalić może w ludności wiarę, iż szkoła jest instytucją wychowawczą, a utworzyć w społeczeństwie balast z 2,500 ludzi, których potem usunąć nie tak łatwą będzie rzeczą, odstraszyć adeptów stanu nauczycielskiego i wyludnić seminaria nauczycielskie, obniżyć zatem obecny poziom inteligencji i moralności stanu nauczycielskiego.“ Żądania zaś swoje zarząd sformułował w taki sposób, „aby wysoki sejm, rozpatrując sprawę szkolną, raczył skutecznie sprawiedliwy rozkład kontrylowania funduszy szkolnych, zapewnić rok rocznie znaczniejszy fundusz na zakładanie szkół w tych gminach, które ich jeszcze nie mają, wyjednać u rządu

wystarczającą liczbę inspektorów krajowych i okręgowych, spowodować ścisłą kontrolę w administracyi funduszami szkolnemi okręgowemi, określić ściśle stanowisko swoje w obec władz wykonawczych celem uniknięcia różnic w zapatrywaniach, które niewątpliwie szkodzą dzisiaj sprawie rozwoju szkoły ludowej a nareszcie uspokoić zatrzwożone umysły nauczycieli i napełnić otuchą tych prawników, iż kraj, nie mogąc na razie poprawić ich doli, umie przynajmniej ocenić i uznać rzetelne zasługi, niesione dla dobra oświaty.“ Memoryał ten, wręczony wszystkim posłom sejmowym, sprawił to, iż wniosek wydziału krajowego poparcia u sejmu nie znalazł.

Ocaliwszy tym sposobem po dwakroć interesa stanu nauczycielskiego galicyjskiego, zarząd główny starał się załatwić jeszcze kilka kwestyi mniejszej już doniosłości. Tymczasem dotkliwa od lat kilku dla nauczycieli kwestya podwyższenia płac i pewnych zmian w ustawie na korzyść nauczycieli wywołała myśl zwołania osobnego wiecu, mającego roztrząsać powyższe kwestye i obmyśleć środki, zmierzające ku poprawie niemiłego położenia. Nauczyciele trzech powiatów: kołomyjskiego, husiatyńskiego i śniatyńskiego wybrali komitet wiecowy, który ustanowił wnioski odpowiednie. Do zwołania wszelako wiecu nie przyszło, albowiem zarząd Towarzystwa pedagogicznego wziął się do sprawy i zobowiązał się wnioski komitetu przedstawić na najbliższym zjeździe, mianowicie na ośmnastém walnem zgromadzeniu Towarzystwa, na które w roku zeszłym Tarnów zaprosił pedagogów w gościnne mury swoje.

Już raz przed dwunastu laty Tarnów podejmował u siebie pedagogów i obecnie pragnął po raz wtóry dowieść, jak gorąco interesuje się sprawą oświaty krajowej. Wszelako rok bieżący przyniósł Tarnowowi ciężką klęskę powodzi i odzywały się głosy, ażeby zaniechać zjazdu, który w każdym razie miasto na pewne wydatki narazi, a nadto sądzono, że po klęsce nie zdoła ono przyjąć gości tak, jakby należało. Wszelako od pierwotnego zamiaru nie odstąpiono i utworzył się komitet, do którego weszli burmistrz miasta p. Witold Rogojski, jego pomocnik Maksymilian Grabowski, syn Ambrozego, dyrektor gimnazjum Bronisław Trzaskowski, inspektor szkolny p. Fr. Habura, profesorowie gimnazyalni, oraz inne osoby z inteligencyi miejscowej. Postarano się o bezpłatne pomieszczenie i stołowanie członków zjazdu, nadto zarząd główny Towarzystwa pedagogicznego wyjednał niższenie ceny biletów na drogach żelaznych. Ze wszech stron zgłaszali się uczestnicy zjazdu i poczet ich do dnia 11 lipca r. b. wzrósł do 382. Wysłano także zaproszenie do Towarzystwa centralnego jednot nauczycielskich w Czechach, które wyprawiło ze swego ramienia dwóch delegatów p. Jana Mrazika z Kladna i p. Jana Kobra z Rudnicy.

Uczestnicy poczęli zjeżdżać się dnia 16 lipca z różnych stron do Tarnowa, gdzie oczekujący ich komitet wręczał każdemu z osobna bilet na bezpłatne mieszkanie, dwa obiady, śniadania, ucztę wspólną i kąpiel. W celu bliższego zaznajomienia się między sobą urządzono te-

goź samego dnia po południu wycieczkę do parku ks. Sanguszkii w Gumniskach, gdzie administracja dóbr piwem i przekąskami podejmowała gości na koszt właściciela. Muzyka, przygrywająca wycieczce, uprzyjemniała pobyt w rozkoszonym parku, wkrótce téż zgromadzonych ogarnęło wesołe usposobienie, poczęły pękać lody towarzyskiej obojętności, jedni zbliżali się do drugich, zaznajomiono się wzajemnie, a szczególniejszą serdeczność okazywano delegatom czeskim. Powrót jednak nastąpił dość wcześnie, gdyż wieczorem miał odbyć się koncert w sali teatralnej. W koncercie tym brała udział muzyka wojskowa, przybyła z Krakowa, oraz amatorowie i amatorki z grona uczestników. Amatorka miejscowa, panna Kazimiera Nieduszyńska, zadziwiła obecnych pięknym głosem, materyałem na niepowszednią śpiewaczkę sceniczną, a panna Leontyna Szólcówna, nauczycielka ze Śniatynia, przedstawiła się jako śpiewaczka z dobrą metodą i niemałym wyrobieniem. Piękną także grał na wiolonczeli p. Wollmann przy akompaniamencie p. Jana Czubskiego, znanego już chlubnie kompozytora i autora cenionego niemało „Śpiewnika szkolnego.“ W ogóle koncert wieczorny dał dobreś wiadectwo o rozwinięciu muzykalności w stanie nauczycielskim, który stanowi główny filar stowarzyszeń muzycznych i śpiewackich w Galicyi.

Nazajutrz, po nabożeństwie w starożytnj katedrze, uroczyście otwarto posiedzenia zjazdowe. W obszernj i wspaniałj sali kasyna miejskiego w gmachu kasy oszczędności zgromadziło się co najmniej 400 osób. Na estradzie, pokrytj zielonem suknem, zasiadły oprócz prezesa i wiceprezesa Towarzystwa jeszcze znaczniejsze osoby z miasta Tarnowa. Posiedzenie zagał burmistrz p. Witold Rogojski i wyszedłszy z punktu, że kto ma szkołę, ten ma przyszłość, podniósł znaczenie rodziny i szkoły jako najważniejszych, a dopełniających się wzajem czynników wychowania. Wspomniawszy o zarzutach, robionych szkole i nauczycielom w Galicyi, dodał, że reprezentacy miasta Tarnowa, aby dać dowód, że podobnych zarzutów nie podziela, zaprosiła Towarzystwo pedagogiczne w swoje mury i nie mogąc w skutek tegorocznj kłeski przyjąć tak, jakby należało, ofiaruje im to, czém chata bogata...

Hrabia Potulicki, wicemarszałek powiatowy, w pięknej i krasomówczo wygłoszonj mowie, wspomniał, że hasłem samorządu galicyjskiego były drogi i szkoły, pierwsze kraj buduje, aby wyprowadzić społeczeństwo z niewoli ekonomicznj, drugie, aby wyzwolić je z niewoli duchowj. Mówca zbijał pesymizm względem rozwoju szkół galicyjskich, a podnosząc znaczenie zasad chrześciańskich w wychowaniu i życiu, wyraził zdanie, że kosmopolityzm i bezwyznaniowość przynoszą zgon każdemu, a zatém i naszemu społeczeństwu.

Mowa księdza prałata Gwiazdonia rozwijała zasługi Kościoła w sprawie cywilizacyi i wychowania. Dr. Ringelheim, adwokat, powitał przybyłych w imieniu izraelitów tarnowskich, którzy już zbiera-

ją płony ze zbawiennęj działalności Towarzystwa pedagogicznego, gdyż dzięki jemu, znikają coraz więcej chajdery, a szkoły publiczne napełniają się młodzieżą żydowską, uczącą się miłować kraj, który przyjął gościnnie żydów wtedy, gdy pozostała Europa wypędzała ich i paliła na stosie.

Dyrektor Bronisław Trzaskowski witał uczestników zjazdu w imieniu nauczycieli miejscowych i przypomniał zjazd, odbyty przed dwunastu laty w Tarnowie w chwili, gdy kraj cały skupiał się pod hasłem oświaty ludowój. Dziś w obec tego hasła powstały właśnie i niesnaski i Towarzystwo obsypywane jest niesłusznemi zarzutami. Nawołując do pracy pod hasłem „wiary i miary,“ wzywał na obecną pracę Towarzystwa błogosławieństwa hetmana, którego kości spoczywają w katedrze tarnowskiej.

Zygmunt Sawczyński, prezes Towarzystwa, mąż wspaniałej postawy i niepospolitej elokwencyi, w długiej mowie, hojnie upstrzonej krasomówczemi kwiatami i wspomnieniami przeszłości, między innemi piękną powiedział o cywilizacyjnej pracy przodków, którzy kładli swój dział na ołtarz ludzkości pomimo ciągłych walk, ciągłej trwogi bojowój, gdzie nie było *nec mora nec requies*, jak powiedział któryś szlachcic w „*Sylva rerum*“ XVII wieku. Mówca, wspominając o przeznaczeniu narodów w statyce dziejowój, wzywał do ostrożności w ocenianiu wieków przeszłych i rzekł z energią: „Małoletni w sądeniu dziejów ten, kto potępia Kościół i wieki średnie w sprawie oświaty. Nauka, zrywająca z Kościołem, nie będzie żywiciem, ale trucią i śmiercią przyprowi.“ W końcu wzywał mówca do pracy *viribus unitis*, a zwróciwszy się do delegatów czeskich, powitał ich jako wysłańców pobratymczego narodu, nadmienając przytém, że, jeśli silnemi są węzły krwi, to węzły ducha są jeszcze silniejsze.

Na to wstąpił na estradę p. Jan Kobr z Rudnicy. Człowiek młody, wspaniałej postawy, z twarzą inteligentną, już swoją powierzchownością miłe zrobił wrażenie, a mowa jego, wygłoszona po czesku organem silnym, dźwięcznym, wielce korzystne wyobrażenie dała o całym stanie nauczycieli ludowych w Czechach, w imieniu których przemawiał: Podziękowawszy za serdeczne przyjęcie w Tarnowie, mówca nadmienił o starém braterstwie Lecha i Czecha, a potém skreślił dobitnie ważność pracy nauczycieli ludowych w rodzinnym kraju, gdzie wrogowie narodowi *Schulverein* rozpina pajęczkę sieci, aby dzieci czeskie odbierać narodowi czeskiemu. Pan Kobr dodał, że wzmagająca się wzajemność czesko-polska i sympatyje narodu w ogólności, a nauczycieli w szczególności, pokrzepiają pracowników do dalszych trudów i walki.

Po mowie pana Kobra odczytano telegramy, nadeszłe głównie z Czech. W ogóle od Czechów nadeszło pięć telegramów, mianowicie od Jednoty nauczycielskiej „Komenský“ z Unhost-Kladna, od Towarzystwa „Budecz“ (po polsku), od redakcyi czasopism „Budeczská Zahrada“ i „Paedagogium“ i od Józefa Walca, prezesa jednoty peda-



gicznój w Pradze. Od Polaków otrzymano tylko dwa telegramy, od p. Anatola Lewickiego, niegdyś sekretarza Towarzystwa, a obecnie profesora historii w uniwersytecie Jagiellońskim i od redaktora „Kuryera lwowskiego,” p. Rewakowicza, który donosił o konfiskacie numeru „Kuryera“ za artykuł p. t.: „Los nauczycieli ludowych.“

Po wybraniu sekretarzy, członków komisji lustracyjnej, komisji wydawnictwa „Szkoły“ oraz przyjęciu przez aklamacją drukowanego sprawozdania, wystąpił pan Jerzy Kawalec, nauczyciel z Kołomyi, jako referent komitetu wiecowego i odczytał ogólne motywy do wniosków, przez tenże komitet opracowanych. P. Kawalec, rusin z Galicyi wschodniej, czytał dobitnie, głosem dźwięcznym, a elaborat jego odznaczał się staranną polszczyzną. Po odczytaniu motywów ogólnych nastąpiła dyskusya, czy wnioski te przyjąć bez czytania, czy też poddać szczegółowemu rozprawom. Za przyjęciem wniosków en bloc przemawiał p. Franciszek Stadnicki z Krakowca i większość oświadczyła się za jego zdaniem, ale wystąpił p. Bolesław Baranowski, redaktor „Szkoły“ i energicznie ostrzegał przed zbyt pospiesznym rostrzygnięciem sprawy. Nastąpiła nader żywa dyskusya. P. Wasung z Białowży zażądał otwarcia dyskusyi, po nim przemawiali różni członkowie jeden za drugim, płacząc kwestyą i gmatwając zamiast jęj wyjaśnienia. Dopiero p. Julian Maciałowski, dyrektor szkoły na Smoleniu w Krakowie, nadmieniając, że kwestya podwyższenia płacy podnosi się wytrwale od r. 1875, oświadczył się za wyczerpaniem dyskusyi i poleceniem wypracowania memoriału zarządowi głównemu. P. Maciałowski poparł z namiętnem uniesieniem p. Błachowski, dyrektor szkoły w Haliczu i postawił wniosek wybrania komisji, lub oddania całej sprawy zarządowi. Błachowskiemu zaoponował p. Jędrzej Biliński z Kałusza—mówił, że zarząd nie jest właściwie władzą i że komitet wiecowy nic nie zrobił sam z siebie. „Kto głodny—powiadał mówca—ten nieraz tak nieprzyjemnie zapłaczę, iż muzykalne ucho tego nie zniesie.“ Radził naśladować dziecko, które mówi poprostu „mamo, daj mi kawałek chleba z masłem,“ a już rzecz mamy, jak wielki ma być ten kawałek i jak grubo masła nań nałożyć. Proponuje więc wybór deputacyi, któraby przełożyła sejmowi potrzeby stanu nauczycielskiego bez ścisłego określenia sposobu, w jaki potrzeby te załatwione być mają.

Wszystkie te mowy przypieczętował dr. Karol Benoni przemówieniem, w którym oświadczył, że jest za stanowczem załatwieniem kwestyi w obecnym czasie. Wspominając skąpstwo obecnego sejmu w kwestyi szkół, porównał to usposobienie z nastrojem pierwszych sejmów, z zapałem sprawy szkolne popierających. Dr. Benoni wzywał obecnych do poważnego traktowania kwestyi, aby krzyki i nieporządki nie były czasem wodą na młyn skąpych i nieprzychylnych. Na tém skończyły się obrady dnia pierwszego.

Po południu nastąpiło odsłonięcie pomnika Kazimierza Brodzińskiego. Twórca „Wiesława“ za dni pachołących był uczniem gimna-

zym tarnowskiego, ztąd też p. Bronisław Trzaskowski dał inicjatywę postawienia pomnika przed gmachem gimnazjalnym i począł zbierać składki. Pieniądze dawała młodzież szkolna, obywatele tarnowscy, płynęły one z koncertów i przedstawień amatorskich, do kosztów przyłożyła się w znacznej części rodzina wieszczka oraz gorący jego wielbiciel, Bohdan Zaleski. Wykonanie biustu powierzono rzeźbiarzowi Gadomskiemu, który już niejeden pomnik tego rodzaju był wykonał. Popiersie to stanęło na podstawie z piaskowca, wysokości na cztery metry — znajduje się ono na wirydarzu przed gmachem gimnazjalnym po lewej stronie, po prawej ma stanąć z czasem pomnik drugiego ucznia szkół tarnowskich, Józefa Szujskiego.

Uroczystość odsłonięcia rozpoczęła się po południu około godziny czwartej. Oprócz wspomnianych już dostojników miejscowych znaleźli się jeszcze dr. Józef Majer, prezes akademii i p. Rucz, właściciel ziemski dóbr Faszczyce w Powiecie Błońskim, gubernii Warszawskiej, mąż ukochanej córki Brodzińskiego, Karoliny. Na trybunie mówniczej stanął p. Zygmunt Sawczyński i w mowie nieco przydługiej i improwizowanej, jak się zdaje, opowiedział żywot Kazimierza z Królówki, jego znaczenie w literaturze i w końcu złożył podziękę wszystkim, którzy przyczynili się do wzniesienia pomnika. Po ceremonii kościelnej, odprawionej przez ks. prałata Gwiazdonia, spuszczone zasłony, zakrywające pomnik, poczem odśpiewano kantatę ułożoną przez p. inspektora Fr. Haburę. Zabawa muzyczna w ogrodzie miejskim zakończyła pierwszy dzień zjazdu.

Drugi dzień, 18 lipca, zapowiadał się nader zajmująco. Przystąpiono do szczegółowych rozpraw nad wnioskami komitetu. Referent p. Kawalec zasiadł przy stoliku z elaboratem swoim, ale zanim rozpoczął czytanie, toczyły się przedwstępne potyczki; mówcy jedni przycinali drugim, aż wreszcie prezes poddał pod głosowanie wniosek p. Maciątkowskiego, ażeby sprawę przekazać zarządowi głównemu. Gdy wniosek upadł, prezes poddał pod głosowanie drugi wniosek p. Starzeckiego, młodego nauczyciela ze Lwowa, proponujący wybranie komisji. I ten wniosek nie zyskał potwierdzenia większości. Milczące zachowanie się kobiet zwróciło powszechną uwagę. „Czy panie wstrzymują się od głosowania?“ zapytał zdziwiony prezes.

— „Nie, my głosujemy przeciwko wnioskom“ — odparły jednoznacznie. Były one przygotowane do zaciętej walki i nie dziw, między wnioskami znajdowały się dwa projekciki, interesów płci słabiej bezpośrednio dotykające. „A więc sprawa ma być załatwioną na samym zjeździe,“ rzekł z determinacją przewodniczący.

W obec takiego objawu woli obecnych p. Jerzy Kawalec począł odczytywać wnioski komitetu wiecowego i motywy tychże. Pierwszy wniosek tyczył się obowiązku rad szkolnych okręgowych donoszenia radzie szkolnej krajowej o każdej opróżnionej posiadzie. P. Antoni Żurkowski, kierownik „Bursy Kraszewskiego“ ze Stanisławowa, stawia wniosek zamknięcia dyskusji i poddania wniosku komitetowego pod głosowanie, które też wniosek zatwierdza. Majer Schlesinger,

nauczyciel z Krakowa, dopomina się głosu, ale mu go odmawiają, bo „czas drogi.“ Od czytania trzech następnych wniosków, dotyczących się zasad mianowania kompetentów, a żądających dania pierwszeństwa istotnej zastudze, zgromadzeni referenta uwalniają.

Następuje czytanie wniosku zmieniającego artykuł 9 „ustawy z 2 maja 1873 r. o stosunkach prawnych stanu nauczycielskiego w publicznych szkołach ludowych.“ Kobiety, zajmujące trzy pierwsze rzędy krzesel, gotują się do walki, dwie nieco podstarzałe nauczycielki minami swemi dają poznać, że biorą na siebie rolę przywódczyni. Sam referent czuje widocznie niesnadność swego położenia, gdyż poczyna czytać głosem niepewnym następujący wniosek: „Artykuł dziewiąty (zmiana tegoż). Powyższe zasady mianowania nauczycieli dotyczą się także nauczycielek, które jednak przy szkołach męzkich pod żadnym warunkiem, w szkołach zaś mieszanych samoistnej posady zajmować nie mogą, a kierownictwo w szkołach żeńskich, począwszy od pięcioklasowych, ma być poruczone li tylko nauczycielom (nie nauczycielkom).“ W związku z tym twardym dla płci słabiej postulatem zostawał drugi wniosek, przeznaczający nauczycielkom tylko 75% płacy nauczyciela. Co kierowało wnioskodawcami, że stanęli w tak szorstkiem przeciwieństwie z obecnymi dążeniami do równouprawnienia obu płci, że nie wahali się żądać pokrzywdzenia koleżanek swoich, trudno odgadnąć. Niewątpliwie pozostawali oni pod wpływem tego strachu, który w nauczycielach budzi konkurencja ze strony nauczycielek w Galicyi. Seminarya żeńskie wypuszczają znaczny kontyngens kandydatek pilnych, pracowitych, ożywionych najlepszymi chęciami, a delikatna natura niewieścia broni nauczycielkę od niekorzystnych wpływów otoczenia, co ze strony samego ludu spotyka należne uznanie. Niejednokrotnie nauczyciel, pociągnięty przyrodzoną potrzebą towarzystwa ludzkiego, dotrzymuje włościąkom kompanijki przy kieliszku, wtrąca się w ich drobiazgowe sprawy powszednie, przez co naraża na uszczerbek urok, otaczający stan jego w oczach wieśniaka. Kobieta z bardziej wykształconej sfery nie znajduje przyjemności w poufalszych stosunkach z włościąnkami, a jeżeli zbliża się do nich, to raczej pociąga je ku sobie wpływem swoim, a nie zniża się do ich prostaczyczych upodobań i nałogów. Ztąd lud nieraz przekłada nad nauczycieli nauczycielki i te ostatnie zagrażają niebezpieczną konkurencją kolegom swoim.

Objawy oburzenia ze strony kobiet towarzyszyły odczytywaniu wniosku i jego motywów. Chwilami przy pojedynczych ustępach garszka mężczyzn zdobywała się na oklaski, na co kobiety odpowiadały sykaniem i energicznem tupaniem nogami. Gdy referent ukończył czytanie motywów, wystąpiła pani Ścisławska, nauczycielka z Tarnowa, z mową nader starannie przygotowaną. Pani Ścisławska rozpoczęła obronę nauczycielek od wykazania, jak wiele dróg do pracy na utrzymanie mają mężczyźni, gdy tymczasem kobiety, zniewolone pracować na kawałek chleba poza domem, muszą poprzestać prawie wy-

łącznie na pracy nauczycielskiej, gdyż wyjątkowych zajęć na pocztach i telegrafach w rachubę brać nie można. Sama przyroda stworzyła kobietę na nauczycielkę, kobiety są matkami, pierwszymi nauczycielkami swojej dźiatwy i źle nawet jest mężczyźnie, jeśli się pod wpływem matki nie wychował. Mylném jest przekonanie, jakoby niewiasta nie umiała zdobyć należytej przewagi nad umysłami chłopców, owszem chłopcy szanują kobiety. W Ameryce kobiety dopuszczane bywają do stanu nauczycielskiego nawet w szkołach wyższych, a co jest w Ameryce i u nas być może. (Oho!). Kobiety wszelako u nas nie myślą wdzierać się w prawa mężczyzn, poprzestają na tém tylko, co im wydziela ustawa, która daje im nauczanie i kierownictwo w szkołach żeńskich, w szkołach męzkich umieszczane bywają tylko w braku ukwalifikowanych nauczycieli. A czyż takie kobiety nie są właściwsze na nauczycielki, aniżeli mężczyźni bez kwalifikacyi, mężczyźni, co niejednego próbowali w życiu, z niejednego pieca chleb jedli.

Na ten argument odzywają się w sali szalone oklaski, ale p. Żurakowski ze Stanisławowa zabiera głos z uniesieniem i zwraca się do przewodniczącego, aby nie dozwalał wszczynać podobnych kwestyi i robić osobistych przycinków. „Niema tu żadnych przycinków, pani Ścisławska mówi tylko w ogólności,“ odpowiada p. Sawczyński.

P. Ścisławska dalej swoją rzecz prowadzi. W imieniu kobiet rzeka się kierownictwa szkół pięcioklasowych męzkich, ale stanowczo żąda dla nich kierownictwa szkół żeńskich. Coby sami mężczyźni powiedzieli, gdyby mężczyzna otworzył... pensjonat żeński. Mężczyźni sami uznają nieudolność swoją w kierowaniu niewiastami. Wdowiec, mający córki, żeni się poraz drugi, ażeby dzieciom swoim dać... matkę. Pani Ścisławska żąda opuszczenia wniosku. „Wstydzicie się, panowie—powiada energicznie—sami sobie uchybiacie. Wracają się czasy mocniejszego. Zaiste wniosek nas krzywdzący, nie powstał w szlachetném i chrześciańskim sercu!“

Rzęsiste oklaski popierały energiczną płci słabój rzeczniczkę, ale przypadek-figlarz zgotował jój intermezzo, grożące zniweczeniem pożądanego efektu. Na bruku ulicy zaturkotały sikawki, a kłęby dymu oznajmiły o pożarze w pobliżu. W sali powstał zamęt, mężczyźni cisnęli się do okien, wielu z nich wychodziło z sali, tak iż ta wkrótce w znacznej części opróżnioną została, pomimo że przewodniczący wzywał obecnych do pozostania. Kobiety wszelako nie ruszyły się z miejsca, owszem szydziły ze swych przeciwników, że na wieść o niebezpieczeństwie, sromotnie w ucieczce szukali ocalenia. Wszelako nie obawa wyciągnęła mężczyzn z sali, ale raczej zwykła w takich razach ciekawość lub chęć pomagania w gaszeniu. Pożar istotnie był niedaleko, ogień strawił w sąsiedniej ulicze magazyn zbożowy i dwa domy.

Po godzinie nieobecni powrócili do sali i pani Ścisławska dokończyła swój mowy. W ostatniej części broni zasady, że kobiety mogą zajmować samoistne posady i stawia wniosek przejścia do porządku

dziennego, grożąc zarazem, że w razie uchwalenia wniosku, wszystkie nauczycielki protest podadzą. Rzeczniczka praw niewieścich ustąpiła z pola wśród oklasków kobiet i niemałej garstki męskiego rodzaju.

Przy stole sprawozdawców powstaje p. Starzecki, jako gorący poplecznik sprawy kobiecej. Zapytuje on referenta, czy w komitecie wiecowym były nauczycielki.

— Nie — odpowiada p. Kawalec — uchyliły się same.

Pan Starzecki z zapałem dowodzi, że energia mężka nie jest dostatecznym czynnikiem w sprawie wychowania (oklaski). Kobiety w szlachetności mogą być nauczycielkami dla mężczyzn (oklaski i mrużenie niezadowolonia). Kobiety dłużej od mężczyzn bawią w seminarium, praca przed egzaminem maturitatis więcej je wyczerpuje. Dwie panie zasiadają w komisji egzaminacyjnej. Wpływ kobiety na wsi jest daleko większy aniżeli wpływ mężczyzny (oklaski i mrużenie coraz głośniejsze; dzwonek przewodniczącego ciszej przywraca). Nauczycielki poprzestają na skromniejszych posadach i płacach, nie są tyle wymagającymi. Zdrowy zmysł nie pozwala, aby kobiety nie miały być kierowniczkami w szkołach żeńskich. Mówca uzasadnia tę tezę, ale na nieszczęście posługuje się dość słabymi dowodami. W końcu powiada, że stanowisko nauczycieli będzie przykrém, jeżeli kobiety-nauczycielki staną się ich wrogami, wzywa więc do solidarności całego zastępu stanu nauczycielskiego bez różnicy płci i stawia wniosek przejścia do porządku dziennego.

Do głosu zapisało się kilkunastu mówców, ale p. Pająk, dyrektor szkoły przemysłowej w Krakowie, wnosi, aby dla oszczędzenia czasu, rzecznicy stron obu wybrali sobie generalnych mówców. Wybór pada na pp. Stanisława Tokarskiego, nauczyciela ze Stanisławowa, oraz na d-ra Karola Benoniego. P. Tokarski występuje jako rzecznik wniosku. Oświadcza, że lubo może się to wydawać nielogiczném, ma zamiar stanąć w obronie nauczycielek. — Dziękujemy za taką obronę, odpowiadają kobiety. Pan Tokarski utrzymuje, że należy oszczędzać niewiasty, aby zajmując samoistne posady na wsi, nie stawały się jako niedźwiedz samotnik. nie zdziżyły, jak się to dzieje nieraz z nauczycielkami. Czynność nauczyciela nie kończy się na szkole, ma on być jeszcze dla wieśniaków wzorem pod względem pracy ekonomicznej. Kobiety nie są w stanie zajmować się rolnictwem, pszczelnictwem i t. d. Kobieta nie zdoła poprowadzić klasy z 80 chłopcami (niektóre nauczycielki protestują półgłosem, przytaczając, że one same mają w jednej klasie po 100 chłopców z górą). Mówca powiada, że w rodzinie pierwsze kroki chłopca prowadzi matka, ale dalsze już do ojca należą (kobiety oburzają się). Mężczyźni mają na głowie nie tylko siebie samych, ale jeszcze żony i dzieci; nadmierne zaś rozwinięcie kobiet pociąga za sobą uszczuplenie mężczyzny. Mówca powtarza, że przemawia w obronie samychże kobiet, na co te objawiają nader żywą protestacją. Dociąwszy w końcu panu Starzeckiemu, że mu głównie szło o pozyskanie sobie dobrej opinii u płci pięknej, p. Tokarski za-

myka mowę swą oświadczeniem, że w skutek porozumienia się z komitetem wiecowym odstępuje od drugiej połowy wniosku, odsuwającej kobiety od kierownictwa szkół żeńskich, počawszy od pięcioklasowych.

Mówca generalny strony przeciwnój, dr. Karol Benoni, wystąpił na trybunę powitany oznakami zadowolenia i sympatyj. Mowę swą podzielił na dwie części, ogólną i szczegółową. W pierwszej części uspakaja przedewszystkiem kobiety, że pokrzywdzone nie zostaną i do protestu nie przyjdzie, wnioski bowiem tyle dla nich niekorzystne, sankcyi opinii ogółu nie pozyskają. Dla niego samego wnioski te są wstrętne. Ci, co radzili nad poprawą swęj doli, źle zrobili, że chcieli dopiąć tego z uszczerbkiem dla nauczycielek. Straszny jest obraz głodu, ale straszniejszym jeszcze, gdy jeden głodny innemu chleb wydziera. Mówca nie jest zwolennikiem bezwzględnej emancypacyi i stosunków amerykańskich, nie chciałby bynajmniej widzieć kobiety na wszystkich stanowiskach, zajmowanych przez mężczyznę, choćby np. na krześle sędziowskiem. Najwłaściwsze stanowisko dla kobiety jest w rodzinie, a wina to nieraz mężczyzn, że niekażda kobieta może sobie stworzyć ognisko domowe (wesołość i oklaski). Mężczyźni wszędzie znajdują zatrudnienie i kawałek chleba, dla kobiet jedynem zajęciem publicznem jest stanowisko nauczycielki, której obowiązki zazwyczaj godnie spełniają. Najwłaściwszem dla kobiety jest zajęcie w szkole żeńskiej, w męzkich szkołach znajdują się one tylko wyjątkowo, co przynosić mężczyznom szkody nie może, gdy przepełnienia na tém polu dotąd niema jeszcze, a każdy wykwalifikowany nauczyciel z łatwością otrzyma posadę. W części szczegółowej dr. Benoni zbija wymagania Tokarzewskiego, aby nauczyciel był wszystkiem dla gminy, gospodarzem, pszczolarem, weterynarzem, lekarzem i t. d. Zresztą, jeżeli już o to idzie, dlaczegóżby kobieta nie mogła zajmować się ogrodnictwem i pszczolnictwem, a przytém pewne gałęzie gospodarstwa mogą być lepiej przez kobiety pielęgnowane. One mogą być wzorem dla kobiet wiejskich w utrzymywaniu domu w należytem porządku. Na jednym ze zjazdów pan prezes przytoczył następujące zdarzenie: „Przysli do mnie chłopcy ruscy i mówili: dajcie nam panuncję, a nie profesora, bo jak jest panuncia, to zaraz kobiety we wsi są inne, porządniejsze, jakoś czyścić w domu i około dzieci.“ Drugi raz przeciwnie chłopcy przysli do inspektora okręgowego i mówili: „Weźcie sobie nauczycielkę, a dajcie nam nauczyciela, bo dzieci robią, co im się podoba, a ona tylko ciągle płacze. Nawet człowiek z nią pomówić o niczem nie może, bo ona tylko płakać umie.“ Dowodzi to, że są to wszystko rzeczy indywidualne, że w jednem miejscu stosowniejszym jest nauczyciel, w drugiem nauczycielka. W wielu wypadkach tyle stawiona energia męzka nie przynosi należytego rezultatu, a natomiast nauczycielki umieją dać sobie radę nawet ze znaczną ilością dzieci. W końcu mówca zwracał uwagę mężczyznom, aby poprawy losu swego nie pragnęli z uszczerbkiem dla kobiet, bo wniosek ten

niefortunny z oburzeniem były przez opinią, dziennikarstwo i sejm odrzucony, wzywa więc reprezentantów komitetu wiecowego, aby wnioski ów sami cofnęli.

Oklaski i podziękowania pań były nagrodą wymownego płci pięknej rzecznika, usposobienie przychylne dla nauczycielek zapanowało w sali i pod wpływem tegoż referent p. Kawalec, po krótkiej obronie komitetu wiecowego ze stanowiska praktycznych względów, w imieniu tegoż odstąpił od wniosków, krzywdzących kobiety, aby nie być nazwanym... kobiecicożercą. Zwracając się do sprawozdawców, prosił o wyłączenie owego nieszczęsnego artykułu 9, tytułu I, a zarazem artykułu 22, tytułu II, ograniczającego nauczycielki pod względem płacy.

Wszelako nieszczęsny członek komitetu podzielił to ustępcze usposobienie p. Kawalca. Pan Żurkowski ze Stanisławowa prosił prezesa o zawieszenie obrad na kilka minut i w imieniu komitetu powołał p. Kawalca na bok dla porozumienia się. Tam otoczono nieszczęśliwego referenta w około i robiono mu gorzkie wymówki za samowolne odstąpienie od wniosku, zarzucano mu perfidyę, uleganie obcym wpływom. Pan Kawalec bronił się niby jeleni, obskoczony przez sforę ogarów, powoływał się na głos opinii publicznej, na grożącą chłostę ze strony prasy, przytaczał i tę okoliczność, że sami nauczyciele mają córki, które też gotują się do stanu nauczycielskiego. Wróciwszy do sali, z goryczą żalił się publicznie na czynione mu zarzuty i odpierał je z energią przekonania o ich niesłuszności. Wtedy to p. Żurkowski w imieniu kolegów komitetowych wraca raz jeszcze do artykułu 9. Połowę artykułu, głoszącą, że nauczycielki „przy szkołach męzkich pod żadnym warunkiem, w szkołach zaś mieszanych samoistnej posady zajmować nie mogą,“ stawia jako swój własny wniosek i żąda głosowania pomimo odstąpienia referenta. Głosowanie słabą większością przechyla szalę na korzyść wniosku. Przewodniczący własnym oczom nie dowierza, robi więc kontrapróbkę i ta również za wnioskiem przemawia. Zdziwienie ogólne panuje w sali, kobiety uśmiechają się ironicznie i zapewniają, że nawet ten cząstkowy tryumf przeciwników do niczego nie doprowadzi.

Referent, p. Kawalec, przystępuje do tytułu II. artykułu 11, który ma być zmieniony na korzyść podwyższenia płac nauczycielskich. Wniosek komitetu proponuje płace w szkołach pospolitych według czterech klas po 800 zlr., 650, 500 i 400, w szkołach zaś wydziałowych według trzech klas po 1,000, 800 i 700 zlr. Klasy te zależne są od urzędowego znaczenia danej miejscowości. W motywach do tego wniosku p. Kawalec zbija uprzedzenie, jakoby Galicya była krajem ubogim.

Dwunastu członków zjazdu zapisuje się do głosu, ale prezes mityguje ich, aby w obec jasności samej kwestyi czasu darmo nie psowali. Dopuściwszy kilka głosów w sprawie formalnej, pozwala zabrać głos prof. Zimmermanowi ze Lwowa, który proponuje dla szkół pospolitych jeszcze wyższe płace, mianowicie 900, 700, 600 i 450 zlr. Pre-

zes poddaje pod głosowanie wnioski komitetu i prof. Zimmermanna, robiąc przytęm złośliwą uwagę, że zapewne ten ostatni więćej do smaku nauczycielom przypadnie. I rzeczywiście zostaje on jednogłóśnie przyjętęm. Świetny rezultat głóswowania, pytanie tylko, czy sejm się na niego zgodzi, ale, powiadają sobie obecni między sobą, kto więćej żąda, temu więćej bywa danęm.

Na tęm kończą się obrady dnia drugiego. Po południu wypada wycieczka do Okocima, gdzie bogaty piwowar, p. Gótz-Okocimski, podejmuje liczne grono członków zjazdu. Goście podziwiają ogromny browar, pałac właściciela, piękny park, ogród wykwintny, wszystko owoc szczęśliwych spekulacji piwnych, owoc, zdobyty przez człowieka, który przybył do kraju z dziesięciu palcami. Muzyka gra, nektar gambrynusowy płynie potokami, szkoda tylko, że zabawa przeciągnęła się po za północ, zmieniawszy się w ogólne nudne ziewanie.

Przecięganie zabawy w Okocimie miało i ten skutek, że, lubo początek obrad dnia trzeciego naznaczono na godzinę 7 rano, ledwie o 8½ doń przystąpić zdołano. Referent, p. Kawalec, odczytuje resztę wniosków komitetowych, ważnych dla Galicyi, których jednak po szczegółe przytaczać nie będziemy, gdyż należyte ich zrozumienie wymagałoby szczególowęj znajomości organizacji szkoły galicyjskięj. Pięknęm epizodem było zjawienie się w sali d-ra Józefa Majera, prezesa Akademii. Mąż ten, zasłużony krajowi i nauce, przyjęty ze czcią należną, przyrzekł, że w sejmie wszelkie życzenia Towarzystwa pedagogicznego szczerze popierać będzie. Gdy p. Kawalec po skończeniu swego referatu schodził z trybuny, zabrzmiały zewsząd so-wite oklaski. P. Ferdynand Badańczyk, kierownik szkoły w Półwsiu Zwierzynieckim, proponuje, aby podziękować panu referentowi za jego trudy.

— Jużeście mu panowie podziękowali — powiada dyr. Sawczyński, robiąc niemą aluzją do wczorajszej sceny na ustępie.

— Czém? — pyta zdumiony wnioskodawca.

— Oklaskami — odpowiada ironicznie zagabnięty prezes.

Resztę wniosków, mianowicie tytuł III „o karach dyscyplinarnych i wydaleniu ze służby“ i tytuł IV „o przenoszeniu nauczycieli w stan spoczynku, o wyznaczeniu im pensyi wysłużonych i zaopatrzeniu wdów i sierot po nauczycielach,“ odczytuje i uzasadnia p. Grzegórz Blij z Kosowa. Wybory, zarządzone potęm, wypadają całkowiec w myśl zarządu głównego.

Po ukończeniu wyborów występują różni członkowie z rozmaitemi wnioskami samodzielnemi, z tych niezłą ilość podaje p. Ferdynand Badańczyk z Półwsia Zwierzynieckiego. Pan Maciałowski z Krakowa proponuje urządzenie burs dla dzieci nauczycielskich; wniosek przyjęto i nadto uchwalono, aby imieniem walnego zgromadzenia wnieść petycyę do sejmu o wyznaczenie stałej na ten cel subwencyi.

Najciekawszą czynnością dnia trzeciego była dyskusya, w jaki sposób wnioski komitetu wieczowego, poprawione i zatwierdzone obec-



nie przez zgromadzenie, przedstawić sejmowi. Prezes Sawczyński przemówił do obecnych i prosił o zaufanie dla zarządu głównego. P. Kazienko z Brzeżan żądał deputacyi do sejmu, złożonej z czterech członków. Na to odpowiada dyr. Sawczyński, że sejm nie ma prawa przyjmować deputacyi, wolno jednak wnosić petycye za pośrednictwem posła. P. Żurakowski żąda deputacyi, złożonej z prezesa, wiceprezesa i pięciu członków. Co ona ma robić? — zapytuje dyr. Sawczyński. P. Badańczyk proponuje, aby zarząd główny podał do sejmu wydrukowany memoriał, a zarządy okręgowe mają prosić odpowiednich posłów o poparcie. Prezes oburza się, że wnioskodawcy dodają zarządowi kontrolerów i żąda zaufania dla zarządu, który zrobi z wnioskiem wszystko, co należy. Wskutek tego przemówienia p. Kazienko odstępuje od wniosku, a p. Maciałowski popiera prezesa. Głosowanie oddaje sprawę całą zarządowi głównemu, z dodatkiem p. Badańczyka co do podania memoriału do sejmu i szukania poparcia u pojedynczych posłów.

Pomiędzy wnioskami samodzielnymi miał być podany wniosek, aby wywdzięczając się Czechom za przysłanie na zjazd delegatów swoich, wyprawić od Towarzystwa dwóch członków na tegoroczny zjazd nauczycieli czeskich w Taborze. W tym duchu podano notatkę, podpisaną przez dwudziestu członków, ale ponieważ myśl ta podobno komuś z członków zarządu głównego nie przypadła do smaku, przeto notatka utonęła pomiędzy szpargałami na stoliku i na jaw nie wynurzyła się wcale.

Wskutek braku czasu pospadały z porządku dziennego zapowiedziane w programie referaty. Jednakże dr. Józef Żuliński, gorliwy referent na wszystkich zjazdach, potrafił uchwycić przyjazną chwilę i nibyto w skróceniu wypowiedział przygotowany przez się referat, pobudzający nauczycieli do brania udziału w kółkach rolniczych, a nadto polecił uwadze ich „Bibliotekę matematyczno-fizyczną,“ wydaną nakładem kasy Mianowskiego w Warszawie oraz „Gramatykę czeską“ prof. Szasteckiego. Na zakończenie posiedzenia prezes Sawczyński zapowiedział, że przyszły zjazd odbędzie się w Przemyślu, a w mowie, zamykającej posiedzenia zjazdowe, rozwodził się nad zaletami ludu polskiego i ruskiego w Galicyi.

Po południu sala obrad zamieniła się w salę biesiadniczą i członkowie zjazdu zasiedli do wspólnej uczty, wyprawionej kosztem miasta Tarnowa. Przy głównym stole zasiedli dostojnicy miejscy i powiatowi oraz przedniejsi z uczestników zjazdu. Muzyka wojskowa przygrywała z galeryi. Wznoszono toasty i wygłaszano odpowiednie mowy. Dyr. Trzaskowski wniósł toast na cześć cesarza, burmistrz p. Rogojski na cześć towarzystwa pedagogicznego, dyr. Sawczyński kwieciście przemówieniem pozdrowił miasto i członków komitetu miejscowego. Dr. Józef Żuliński wygłosił mówkę na cześć duchowieństwa, hr. Męciński w pięknej przemowie pozdrowił delegatów czeskich i złożył hołd zastugom i zaletom narodu czeskiego. Na to odpowie-

dział p. Mrazik z Kladna mową nader piękną i świetnie opracowaną, w której, dziękując za zaszczytne przyjęcie, wyraził radość swą na widok rezultatów na polu oświaty u bratniego plemienia. Życząc polakom jak najlepszego powodzenia, prosił ich o miłość dla narodu swego i zapewniał, że podobieństwo dążeń i pragnień silniej jeszcze niż węzeł pokrewieństwa łączy oba narody. Mowa p. Mrazika gorąca, serdeczna, zrobiła jak najlepsze wrażenie, a ponieważ jako morawianin ze wschodniej części kraju wymawia literę *ž* podobnie, jak się ta u nas wymawia, łatwiej było zrozumieć słowa jego aniżeli innych czechów.

Daléj p. Trzaskowski wniósł toast na cześć rusinów i zaznaczył, że rusini od lat wielu są członkami Towarzystwa pedagogicznego, a jednak dotąd nie było najmniejszej oznaki waśni narodowej w łonie Towarzystwa. P. Maciałowski prawił o „kółkach rolniczych“ w Poznńńskim i o rezultatach, jakie tamecznemu ludowi przyniosły. Pan Jerzy Kawalec w mowie po rusku wygłoszonej wniósł toast zgody polaków i rusinów, opartéj na wspólnej pracy nad oświatą. Rusini obecni zaśpiewali potém piękną pieśń „Mir wam, bratia, nesemo.“ W końcu w mowie na temat „kochajmy się“ p. Bolesław Baranowski humorystycznemi swemi uwagami wprawił obecnych w nader wesołe usposobienie.

Uczestnicy zjazdu rozjechali się wkrótce każdy w swoją stronę, tylko wielu rusinów, nieznanących Krakowa, udało się do podwawelskiego grodu, a pięćdziesiąt pięć osób pod wodzą p. Romana Vimpelera, profesora gimnazjum tarnowskiego, puściło się na dwudniową wycieczkę do Żegestowa i Krynicy.

*Pedagog.*

# KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Życie koczownicze w Anglii w XIV-ym wieku p. Jusserand. — Podręcznik archeologiczny: „Życie starożytnych greków i rzymian,“ dzieło erudytów niemieckich Guhla i Konera, przekład na francuzki język pana Trawińskiego. — Nowy życiorys Dawida Liwingstona, według własnoręcznych notat i listów. — Mowa profesora Joliffier w Sorbonie. — Odezwa akademika Legouvé w sprawie wychowania kobiet. — Zadania konkursowe. — Konferencya o Egipcie Gustawa Olendorfa. — Rozprawa Gounoda o sztuce. — Odkrycie pomnika Georges Sand w La Chatre. — Tom szósty listów téjże autorki. — Pomnik Klaudyusza Jouffroy w Besençon. — Rozmaitości.

Ukazało się w tych czasach nie obszerne, ale bardzo ważne dzieło p. t. „Życie koczownicze w Anglii w XIV-ym wieku“ (la vie nomade en Angleterre). Autor jego p. Jusserand oddaje się wyłącznie badaniom społeczeństwa angielskiego, tak pod względem historycznym jak literackim; za przedmiot tych badań obrał szczególniejszej wspaniałości wieki średnie. Przed laty kilku zwróciło już na siebie uwagę jego dzieło o „Teatrze w Anglii, od czasu podboju normandów do poprzedników Szekspira,“ wydane niedawno poraz drugi.

Jakkolwiek nowe dzieło autora nosi tytuł „Nomades,“ a więc zdaje się mieć na widoku, jeżeli nie cyganów, to jakąś gałąź tatarów, u których formuła „własność kradzieżą“ jest prawem moralnym, autor przecież mówi wyłącznie o narodzie angielskim, wcale nie koczowniczym, który zachował najwybitniejszą charakter aryjskiej cywilizacji, to jest ustrój indywidualizmu, zupełnie przeciwny od ustroju komunistycznego ludów cywilizacji pasterskiej. Charakter społeczeństwa angielskiego, tak wybornie określony jest w pracy pana Jusserand, że dzieło jego o życiu koczowniczym w Anglii, może służyć za wzór dla historii społecznej organizacyi wszystkich ludów aryjskich, w ich

najdalszych granicach ku Wschodowi, aż do Wisły i Dniepru. Z tego powodu praca ta zasługuje na pilną uwagę badaczy, śledzących rozwój społeczeństw europejskich; tém ważniejszą ona w kraju naszym, że nie mieliśmy dosyć uczonych specjalistów, którzyby wzięli sobie za cel wyjaśniać pytania, co do ustroju społeczeństwa naszego, pod względem ogólnie europejskim, w stosunku do ludów cywilizacyi pastersko-komunistycznej. A przecież pod nawałem tych ludów narodowość polska wyrabiała się i wzmacniała, jak to wykazał Mickiewicz z katedry kolegium francuzkiego.

Ogólnie mówiąc, historycy nasi patrzą na Polskę, jakoby na społeczeństwo obce zachodowi Europy, które zaledwie przypadkowo od czasu do czasu zostawało pod wpływem obcego im, zachodniego żywiołu. W téj niepodległości od Zachodu widzą oni chwałę narodową! Nienawiść ku Niemcom wywołała tak mylne sądy. Przyszło w końcu do tego, że niektórzy uczeni nasi uznali za prawdę systemat polityków niemieckich, jakoby Wisła miała stanowić kres graniczny między wschodnią a zachodnią Europą, i przyjęli nazwę równin sarmackich od Wisły aż po Ural. A czemuż, pytamy, nie rozciągają owych równin sarmackich, od Odry nawet do niższej Elby, bo wszak i tu widzimy takież same płaszczyzny jak nad Wisłą?

Przeciwno tym naciąganym teoryom polityków niemieckich, woła nie ten lub ów uczonec, ale cały geograficzny ustrój Europy, który pędzi Dniepr z jego przytokami, zarówno jak Wisłę i Dźwinę, jak Odrę i Elbę w kierunku północnym, a pokazuje Wołgę u źródeł swych tak blizką Dźwiny i Dniepru, wyrrywającą się przecież z téj harmonii hydrograficznej. Słusznie zatem niektórzy naznaczają kotlinę Dniepru, jako naturalną granicę Europy zachodniej czyli atlantyckiej. Teorią tę wprowadził, jak wiadomo, minister Duruy do wykładu w francuzkich szkołach średnich.

Owa to jedność Europy atlantyckiej okazuje się z równą siłą w głównych punktach rozwoju cywilizacyi. Ztąd więc rozwiązanie każdego pytania z dziedziny ekonomii, polityki i ustroju społecznego w krajach zwanych germańskimi i łacińskimi, dotyka zarazem tychże pytań nad Wisłą i nad Dnieprem. Dzieje Polski bowiem są tylko częścią historyi ludów europejskich.

Książka pana Jusserand określa wybornie stan społeczeństwa angielskiego w XIV-ym wieku, w téj epoce przewrotu, kiedy lud włościański począł wyłamywać się z poddaństwa i silny jednością zdobywał pomału niepodległość. Autor wprowadza w ruch rozmaite warstwy narodu, przesuwając przed oczyma naszymi różnobarwne tłumy, pędzone naprzód nie owym instynktem koczowniczym plemion, którym trudno usiedzieć w miejscu, ale raczej potrzebą usłania sobie na przyszłość gniazd stałych i bezpiecznych, obwarowanych prawem od gwaltów i przemocy.

Typy, jakie autor wprowadza na widownię, niepodobne zapewne do typów naszych; obyczaje angielskie wycisnęły na nich właściwe so-

bie piętno. Rozwój społeczny w inny sposób odbywał się w Anglii za Plantagenetów, niżli u nas za Piastów; a jednak wpatrzywszy się głębiej, spostrzegamy i tu niejakię przybliżenia. Jeśli włóścianin angielski powstaje groźnie przeciwko przemocy feudalnych lordów, azaliż i kmięć nasz nie zanoszi skarg przed tron Kazimierza Wielkiego? Straszne musiały być te krzywdy kmięci naszych, wołające o pomstę owe łyzy ludu, skoro król chłopków przyzwala na prawo odwetu, wspominając hubkę i krzesiwo!

Jusserand nie powstaje przeciw instytucji feudalizmu, wie on, że instytucja ta była koniecznym wpływem wyrobu osobistości u ludów grupy aryjskiej, powstaje tylko przeciw jej nadużyciom i pokazuje smutne ich następstwa, w krwawym odwecie przygnębionego ludu.

Ramy nasze nie pozwalają nam iść w ślad za autorem, zatrzymać się z nim po drogach, po gospodach, wchodzić w progi kościoła, gdzie banita ścigany prawem jedyną znajdował ostoję. W pełnych barwy, drgających życiem obrazach, ukazuje nam autor te rojowiska śpiewaków i lekarzy, w bezustannych wędrówkach od zamku do zamku, od miasta do miasta, owych zakonnych braci, krążących po kraju za kwestą, owych pielgrzymów, zdążających do Kompostelli, Rzymu lub Ziemi Świętej, wreszcie te liczne chmury ludu, istne ptastwo ubiegłe ze szponów jastrzębi, goniące za pracą swobodniejszą i lepiej wynagrodzoną niżeli w gnieździe własnym.

Do najpopularniejszych wędrówców należeli roznosiciele zdrowia lub wesołego humoru: lekarze i minstrele. Autor ukazuje nam charakterystyczne ich typy. Co do szarlatanów, sprzedających zioła i inne leki, postać ich dotąd nie wiele się zmieniła. Dziś jeszcze tak w Anglii jak i we Francji, widzimy na placach miejskich owych wędrównych dentystów, perorujących z wozu, wyrrywających zęby przy huku bębenka, by zagłuszyć jęk pacjentów i przekonać tłum, że operacja odbyła się bez bólu. W ten sam sposób ówczesni lekarze korzystali z łatwo wierności powszechnej. Na większą uwagę zasługują patentowani medycy tamtych czasów, którzy stosownie do wyroku królewskiego, obowiązani byli składać egzamin przed biskupem londyńskim, lub dziekanem od Ś-Pawła w obecności czterech fizyków.

Jeden z tych uczonych Jan Gaddesden, nadworny medyk króla Edwarda II-go, niszczył ślady ospy, obwijając chorego sukniem czerwonym; w ten sposób leczył następcę tronu. Długo przemysliwał nad wynalezieniem skutecznego środka na kamicę. „Znalazłem go nakoniec! — mówi w dziele swém „Rosa Angelica;“ zebrałem wielką moc czarnych owadów (krówek) i niemniejszą ilość świerszczów polnych, co skrzeczą w trawie, pociąłem głowy i skrzydełka świerszczom, włożyłem je do garuka wraz z krówkami i całą dobę trzymałem garnek w piecu. Potem startem wszystko na proszek, przyłożyłem go do miejsc bolących, w trzy dni choroba ustąpiła, kamicę rozkruszył się na części.“ Na chorobę śledziony tenże medyk zaleca siedm głów tłustych nietoperzów.

Mimo królewskiego edyktu wędrowni szarlatani praktykowali po wsiach i miasteczkach, omijali tylko Londyn, gdzie prawo ścigało ich z całą surowością. Jeden z nich Roger Clerck, złapany na uczynku, prowadzony był na koniu na oklep przez całe miasto, przy odgłosie trąb i huku bębnow, stawiony był pod pręgierzem, a na większe pośmiewisko ludu obwieszony różnego rodzaju chirurgicznymi narzędziami.

Głos powszechny powstał na takie okrucieństwo. Przekonano się zresztą, że patentowani medycy nie wiedzą więcej od nieuczonych empiryków, z tą jedynie różnicą, że każą drogo przepłacać swoje leki. Nowy edykt upoważnił zatem praktykę wędrownych lekarzy i lekarek, „którym, jak się wyraża, Bóg dał intuicyjną znajomość uzdrawiających ziół i korzonków, a którzy bez względu na zapłatę, rozdają leki chorym, powodowani miłością Bożą i miłosierdziem dla bliźniego.“

Popularniejsi jeszcze od lekarzy, byli śpiewacy wędrowni: ci nie leczyli chorób, lecz umieli zażegnać troskę i rozweselić umysł. W czasach, kiedy księgi były osobliwością, a dzienniki wcale nie istniały, zastępowały je pieśni Minstrelów i Żonglerów: żadne gody nie obeszły się bez nich. Jedni śpiewali, przygrywając na kobzie, gitarze lub wioli, drudzy opowiadali prozą czyny bohaterów, inni znów opiewali miłosne przygody lub bawili słuchaczy sarkastyczną sirwentą. Stara pieśń określa repertuar Minstrela:

Przychodzę do was z dalekiej strony,  
 Umieję ja śpiewać na różne tony,  
 O Aleksandrze, wieków olbrzymie,  
 I o Cezarze, co władał w Rzymie,  
 O sławnych bojach Greków z Trojany,  
 W których niejeden legł krwią zbryzgany.  
 O tym Brutusie, co z drухy swemi  
 Pierwszy w angielskiej panował ziemi<sup>1)</sup>.  
 O tym bogatym królu Arturze,  
 Co w złotolitej chadzał purpurze.

Powiem jak Roland na krwawym polu  
 Cmy saracenów bił przy Karolu.  
 Opowiem wieści o królu Janie,  
 I o Izeldzie i o Trystanie,  
 O Idoinie, o Izambrasie,  
 Tych bohaterach głośnych w swym czasie.  
 Jakiemi chcecie zaśpiewam słowy,

<sup>1)</sup> Według bajecznych podań, przechowanych w pieśniach Minstrelów, synowie Encasza, po zburzeniu Troi, rozoszl się po Europie i pozakładali różne państwa. Romulus zbudował Rzym, Ticiusz zaludnił kraj tokański, Langabert Lombardya, Brutus opanował wyspę na oceanie i nadał jęj nazwę Wielkiej Brytanii.

Jam równie świadom francuzkiej mowy  
 Jak i angielskiej, — nawet w łacinie  
 Pieśń mi strumieniem przez usta płynic.

Takimi to pieśniami zabawiali się lordowie w feudalnych zamczyskach; przybycie wędrownego Minstrela było hasłem powszechnej uciechy. W obszerniej sali zamku urządzona była galerya, naprzeciw ściany, przy której pod baldachimem zasiadał pan domu, otoczony gośćmi i rodziną. Tu śpiewali Minstrele i Żonglery, przygrywając sobie do taktu. Wielcy dostojnicy, za przykładem króla, utrzymywali ich stale na dworach swoich.

W XIV wieku jednak, kiedy lud roboczy podniósł głowę i począł coraz groźniej domagać się reform ekonomicznych, pojawiły się chmary Minstrelów, którzy, zamiast śpiewać panom na gody, omijali warowne dworce, a gorącą pieśnią podniecali braci do oporu. Powstało wtedy mnóstwo satyrycznych zwrotek, wymierzonych przeciwko panom. Zabłąkała się i do nas jedna z nich, cytowana jako zabytek starodawnej literatury:

Kiedy Jadam kopał ziemię, Jewa kądziel przęda,  
 Gdzie byli wtedy szlachcice?...

Minstrele ówczasnie jęli przerabiać pieśni dawne i do ich nuty podkładać nowe teksta. W miejsce Karola Wielkiego, Rolanda, Artura, Lancellota, opiewali innych bohaterów. Ulubieńcem ich stał się przywódzca ludowy z wieku XII, słynny banita Robni-Hood. Pieśń mówi jak ten pobożny człowiek, nie opuszczał nigdy Mszy świętej; wysłuchawszy jęj, obdzierał wielkich panów i prałatów, a wydarte im łąpę szczerze rozsypywał pomiędzy lud ubogi.

Pieśni, siane jak ziarna, padały na grunt dobrze przygotowany i kiełkowały pomału. Spostrzegł to król Edward IV i kazał ścigać surowo tych wędrownych śpiewaków; poznali niebezpieczeństwo wielcy panowie i okryli wzgardą owych Minstreli tak niegdyś ulubionych.

Wędrowne gromady, po największej części, składały się z uciekających włościan. Wiele przyczyn, a między innymi morowe powietrze w r. 1349, zamąciło w w. XIV stosunek poddanych robotników do panów. Przy podrożeniu produktów, szczupła zapłata nie wystarczała im na życie: potrzeba usamowolnienia czuć się dawała coraz silniej, gdy tymczasem wyroki króla i parlamentu utrzymywały statu quo. Biedny robotnik w ucieczce jedyny widział ratunek, prznosił się też bezustannie z jednego hrabstwa do drugiego, w nadziei, że lepszą otrzyma zapłatę. Jakoż nie mylił się: zaraza zdziesiątkowała ludność; potrzeba było wszędzie rąk do pracy. Według prawa, poddany zbiegły z ziemi pańskiej, jeżeli przepędził rok i dzień jeden w wolnym mieście, a pan, nie wiedząc, gdzie go szukać, nie wzywał go do powrotu, stawał się przez to samo człowiekiem wolnym; jeżeli zaś

włóczył się z miejsca na miejsce, a na chwilę wracał do gniazda, wtedy chwytało go i okuwano w dyby.

Bojaźń najdroższych kar nie wstrzymywała zbiegów od ucieczki. Lud postanowił bądź co bądź wyiść się z poddaństwa: nie mogąc iść na przebój, używał podstępów. Niejeden chwycił kosztur, wybrał się rzekomo na daleką pielgrzymkę i nie wracał do domu. Wędrówki te poprzedziły i przygotowały wielki wybuch w r. 1381. Lud poznał się i zjednoczył we wspólnej myśli: wędrownie tłumy połączyły mieszkańców południa i północy, opowiadając jedni drugim własne krzywdy i zażalenia. To też na pierwsze hasło, lud wszystek podniósł głowę, groźnie zażądał reform.

Wprawdzie stłumiono wybuch: ulice londyńskie pociekły krwią pokonanego ludu. Jakkolwiekby, nowe więzy nie miały siły dawnych. Był to pierwszy krok do przyszłego wyzwolenia; czas dokonać miał reszty.

Jusserand w konkluzji pokazuje ważne następstwa wędrowek; w nich to widzi tajemnicę owych powolnych przemian społecznych, które uchroniły Anglię od gwałtownego przewrotu, jaki wstrząsnął Francją w wieku zeszłym. „Anglia — mówi autor — z wielu powodów nie potrzebowała zrywać z przeszłością; najważniejszą z tych przyczyn, wpływ owych wędrowców, którzy łączyli w jedność lud wszystek, rozrzucony po kraju. Jedność ta, stanowiąca jego siłę, pozwalała mu w danym czasie żądać koniecznych ustępstw. Ze jednak najspokojniejsze przemiany, nie odbywają się nigdy bez zamętu i w Anglii krew płynęła nieraz w następnym pasmie wieków. Na taki zarzut wędrowiec angielski odpowiedzieć może znanym przysłowiem: „Z gęstego lasu prosto wybucha płomień.”

Przejdźmy teraz do bardzo ozdobnej i niemięcej ważnej publikacji, połączonej z imieniem naszego uczonego ziomka, p. Florentyna Trawińskiego. Mówimy tu o podręczniku archeologicznym, p. t.: „Manuel d'archeologie: la vie antique des Grecs et des Romains.” Autorami tej znakomitej pracy są dwaj erudyci niemieccy, Guhl i Koner; dzieło ich znalazło w Niemczech wielki rozgłos, czego dowodem cztery wydania, powtórzone w krótkich odstępach, jak niemięcej przekłady na język włoski i angielski. Tłómaczenie francuzkie wykonał świeżo p. Trawiński. Jest to, rzec można, wolny przekład; szanując bowiem plan i ogólny układ dzieła, tłómacz zmienił zewnętrzną jego formę, stosując się do smaku czytelników francuzkich. Dodajmy i to, że umiał połączyć z erudycją styl pełen wdzięku i życia.

Dotąd wyszedł dopiero tom pierwszy, poświęcony starożytnym grekom. Drugi tom, obejmujący archeologią rzymską, ukaże się niebawem. Wydawca Rothschild dołożył wszelkich starań, aby ozdobna forma odpowiadała wewnętrznej wartości tej pomnikowej publikacji; pomieścił w niej 559 rycin, wziętych z dzieł najświetniejszych archeo-



logów, jak „Akropolis atenskie” Beulé’go, „Pomniki ceramograficzne” Franciszka Lenormand i wiele innych.

Wstępne słowa skreślił nieodżałowany Albert Dumont. Ten znakomity erudyta, dyrektor szkoły francuskiej w Rzymie, a następnie w Atenach, niezmiernie pracowity w pracy około wychowania publicznego, autor licznych dzieł o starożytnych pomnikach Grecyi i krajów nadbałkańskich, umarł w tych właśnie czasach, w 42-gim roku życia, w chwili najsilniej rozwiniętej działalności. Francya oplakuje słuszenie skon jego.

Albert Dumont żywo zaleca przełożoną pracę; pokazuje wielki pożytek, jaki przynieść musi dzieło, obejmujące różnostronne objawy życia starożytnych greków: owe pomniki, na których geniusz Hellady wycisnął swoje piętno. Znajdujemy tu, zarówno w bogatym tekście, jak i w ozdobnych ilustracyach świątynie, fortyfikacje, porty, teatru, gmachy, przeznaczone do igrzysk i zebrań publicznych (gimnazya i agory), domy prywatne, sprzęty, ubiory, oręż, narzędzia muzyczne, okazy ceramiki, słowem wszystko, co świadczy o życiu domowém i publiczném. „Každy z tych przedmiotów — mówi Dumont — był celem długich i pracowitych poszukiwań. Zasługa autorów niemieckich polega na tém, że nie wchodząc w krytyczne rozprawy, poprzestają na dowiedzionych faktach. Z pomników architektury wybierają najcelniejsze, jakie doszły czasów naszych, obyczaje zaś i zwyczaje wyjaśniają według okazów sztuki, najłatwiejszych do zrozumienia. Wszystko to wykonane z metodą, wyczerpane z najlepszych źródeł krótko, jasno i wiernie.”

Sama klasyczna literatura, wystarczyć nie może tym, którzy pragną wniknąć w życie starożytnych społeczeństw: nauka archeologii jest koniecznym jej dopełnieniem. „Wyroby materialne, jakie tworzy lud bezustanku — mówi Dumont — noszą w zarodku właściwy im charakter. Oddziaływa na nie klimat, miejscowość, historyczny wiek danego plemienia, jak niemniej i zewnętrzne wpływy. Utwory te są wyrazem usposobień i obyczajów ludu, który znów czerpie w nich pobudkę do dalszego rozwoju swego. Ztąd więc, zostawiając na boku cuda sztuki, archeologia uczy nas, jak, w starożytnych cywilizacyach badać charakter i obyczaje, słowem geniusz narodowy, w najdelikatniejszych jego odcieniach; archeologia wskazuje prawa, według których dany lud wyrabiał i przeistaczał przez wieki surowy materiał, dla pożytku lub przyjemności własnej; archeologia obejść się nie może bez filozofów, historyków i poetów; nie przeczy im, zawdzięcza im wiele, a przecież sama z siebie wysnuwa odrębny wątek nauki i oddaje zasługę w właściwy sobie sposób.”

Znakomity helenista usilnie zaleca badanie starożytności, która, jakkolwiek niedokładnie poznana w zeszłych wiekach, była jednak mistrzynią wszystkich ludów cywilizacji naszej. „Im bliżej przypatrujemy się grekom — dodaje Dumont, — tém bardziej podziwiamy ich wielkość. Odkąd, z początkiem tego wieku, archeologia stała się

ściśle określoną nauką, starożytność przedstawia nam się w coraz jaśniejszym świetle. Otóż więc, ani historia sztuki, ani badanie starożytnych instytucji i pomników, ani odkrycia lingwistyczne, nie zmieniły pojęć naszych o doskonałości helenizmu. Geniusz ten, który tak już świecił z poza chmur, przysłaniających go częściowo, stał się tém widoczniejszym, tém silniej drgającym pełnią życia, témbardziej harmonijnym, w miarę jak spadała, kryjąca go zasłona, aczkolwiek ta nigdy całkiem nie spadnie."

Podnosi Dumont wielką ważność archeologicznych podręczników, układanych ze ścisłą metodą. Według ich wartości, sędzi o wykształceniu umysłowém danego społeczeństwa. Radzi spopularyzowanie owych podręczników i sprowadzenie ich do rozmiaru małych książeczek, na wzór tych, jakie Anglicy rozpowszechnili u siebie.

"Jakże byłoby pożądaném, — mówi on — aby ciekawa publiczność, zwiedzająca naukowe zbiory, znalazła wszędzie pod ręką taką specjalną książeczkę. Niejeden zwiedza muzeum bez najmniejszego pojęcia o epokach, do których odnoszą się pomniki. Myśl jego płacze się chaotycznie: zagląda do katalogu, lecz ten pisany dla specjalistów, w niczém go nie objaśni. Wielką przysługę oddałaby mu książeczka, w którejby wyczytał np., że sztuka grecka zrodziła się mniej więcej na sześć wieków przed erą naszą, że w końcu Vgo wieku przyszła do najwyższego rozkwitu, poczem zaczyna się jej upadek. Mając w ten sposób wskazane sobie najcenniejsze pomniki stylu wszystkich epok, zrozumiałby to, co ma przed oczyma i znalazłby gotowe kadry do dalszych studyów. Bez tych wskazówek, zwiedzanie zbiorów archeologicznych staje się próżnym trudem, kiedy przy właściwém objaśnieniu powinno być zarazem miłą rozrywką i nauką."

Podręcznik archeologiczny erudytów niemieckich, przekładu p. Trawińskiego, złożony z dwóch obszernych tomów, wychodzi poza obręb owych elementarnych książeczek; niemniej przecież poważne to dzieło zaleca się jasnym i popularnym wykładem, dostępnym dla ogółu. Rozdziały, dotyczące życia rodzinnego, obrzędów religijnych i narodowych, wychowania dzieci i młodzieży, miejsca kobiety w społeczeństwie, stanowią najżywotniejszą część tej pięknej i spokojnej publikacji. Z żalem wstrzymujemy się od przytoczenia wyjątków. W takim bogactwie trudny wybór: musielibyśmy czerpać pełną ręką, a to przeszłoby ramy kroniki naszej. Zakończmy więc życzeniem, aby to piękne dzieło znalazło jaknajwięcej czytelników w kraju naszym, a co więcej, wydawcę, któryby je rozpowszechnił w polskim przekładzie. Nabycie gotowych klisz przyszłoby zapewne bez trudności, a tłumacz, który tak znakomicie wywiązał się z francuzkiego przekładu, podjąłby niewątpliwie pracę tak pożyteczną dla kraju swego. Po budką do niej byłyby mu słowa, któremi Albert Dumont kończy piękną przedmowę: „Jeśli podobnych dzieł brak w jakiej literaturze, bądźcie pewni, że nauka pozostanie tam przywilejem tylko jednostek."

Dzieło erudytów niemieckich, przełożone na język francuzki,

włoski i angielski, azaliż nie powinno ukazać się i w kraju naszym, rozwijającym się tak wszechstronnie, a tak złąknionym wiedzy?

Uwaga p. Dumont, co do potrzeby małych książeczek, zamykających elementarne wskazówki archeologiczne, jakże jest pożyteczną i dla nas? Mało wprawdzie posiadamy zbiorów publicznych, jakie ma na widoku helenista francuzki, tém więcéj nam przeto korzystać z nich należy. Jeśli takie książeczki bardzo są pożyteczne dla osób zwiedzających zbiory we Francyi, o ileż pożyteczniejsze dla społeczeństwa naszego. Jakżeby wiele zbiory krakowskie, poznańskie i inne, rozrzucone po kraju naszym, zyskały na takich przewodnikach, ułożonych metodycznie przez specjalistów.

Wyszedł z druku w Lauzannie obszerny, dwutomowy życiorys Dawida Liwingstona, przełożony ze świeżo wydanego dzieła angielskiego. Wiele już pisano o Liwingstonie a jednak nowy życiorys wiele nieznanych obejmuje szczegółów, autor bowiem Garden Blaikie, czerpał je z własnoręcznych notat słynnego podróżnika i wzbogacił zbiorem pozostałych jego listów.

Słusznie anglicy chlubią się Liwingstonem, zowiąc go Krzysztofem Kolumbem XIX wieku. Do czasów jego znano tylko wybrzeża afrykańskie, wymierzono tylko ogromną przestrzeń téj części świata; ale co się mieściło w jéj obrębie, pokryte było tajemnicą. Pierwszy Liwingstone zapuścił się w te nieznanne obszary i pociągnął w swe ślady całe tłumy różnonarodowych eksploratorów jak: Backer, Stanley, Cameron, Brazza, Rogoziński, że pominiemy tylu innych. Obliczono, że zdeptał sam 50,000 kilometrów w miejscach nietkniętych stopą europejską, określonych na mapie napisem: *Terra incognita*. Wzbogacił naukę tysiącem nowych odkryć, w dziedzinie astronomii, etnografii, zoologii, a co najważniejsza, zniewolił sobie miłość tubylców, zaszczerpił w nich pojęcia moralne i religijne, podniósł ich do poczucia godności ludzkiej i przyczynił się najdzielniej do powstrzymania ohydneho handlu niewolnikami.

„Z listów Liwingstona widzimy, jak ciężką poniósł ofiarę dla osiągnięcia wielkiego celu. Gorąco kochał rodzinę, a przecież opuścił ją na długo. Nadzwyczaj rzewne listy jego do dzieci: myślą zwrócony w nieskończoność, ukazuje synom wielki ideał prawdy i obowiązek poświęcenia.

Pierwszą podróż odbył w towarzystwie młodej żony; później zmuszony był zostawić ją z dziećmi w Londynie; po latach znów wielu, kiedy dzieci podrosły, wierna towarzysząca pośpieszyła do męża, pragnąc podzielić z nim cięższe niż dawniej trudy i troskliwą otoczyć go opieką. Zaledwie że się połączyli, umarła, dotknięta żółtą febrą.

„Marya! biedna Marya moja! — pisze Liwingstone do dzieci, ileż to razy, sami, rzućni w te pustkowia, wzdychałiśmy za cichém ogniskiem! a teraz ona spoczywa w Skapongo, pod cieniem wielkiego boababu. O! jakżebym chciał umrzeć! Poraz pierwszy gorąco tego pragnę!

Żył jednak i jak dawniej poświęcał się ludzkości. Niewolnictwo przejmowało go zgrozą, w niczyjém téż sercu wymowny głos amerykańskiej autorki (Beecher Stowe) nie odbił się potężnie. Powieść jój „Chata wuja Tomasza“ czytał z zachwytem, karty jój rzewnymi oblał łzami.

Na wieść o wojnie w Stanach Zjednoczonych, krew zakipiała w jego żyłach. „Żadna siła ludzka, pisał do syna, nie zdołała dotąd rozedrzeć żelaznych kleszców niewoli: bawelna południowców, zapanowała w świecie całym. Wojna podniosła i oczyściła tych yankeesów.“

Wkrótce potém żałosny ojciec opłakiwał syna poległego w owéj zaciętéj wojnie.

Liwingstone ukochał murzynów i oni téż gorącą odplacali mu wzajemnością. Śmierć jego doprowadzała lud do rozpacz. Kiedy anglicy zabrali zwłoki zmarłego, aby z należną czcią pochować je w o-pactwie westminsterskiém, gromady czarnych poszły za trumną przez skwarne piaski pustyni, aż do portu gdzie czekały okręta. „Ale imię Liwingstonea, mówi biograf, przyrosło do ziemi afrykańskiej, tam przebiega od chaty do chaty, matki szepczą je nad kołyską niemowląt. W szumie wód nieznanego świata, w pogwiździe wiatru nad pustynią, żyje cudowna legenda o tym białym człowieku, który ukochał czarnych!“

W tym samym czasie, kiedy autor angielski odżywił pamięć Liwingstonea, we Francyi odkryto pozostałą po nim mapę, nieodstępną towarzyszkę jego dalekich wypraw. W jednéj z podróży po Afryce, zatrzymał się na parę miesięcy w Mozambiku dla zaopatrzenia parowca „Lady Ryassa“ na dalszą żeglugę. Przyjął go w domu swoim bogaty portugalczyk Juan da Costa Suares. Opuszczając Mozambik, Liwingstone zostawił u gościnnego gospodarza część zbiorów, a między nimi mapę geograficzną Afryki: miał zamiar obrócić z powrotem drogą na Mozambik; wypadki popchnęły go w inną stronę.

Po śmierci wielkiego podróżnika, Costa Suares darował mapę kupcowi francuskiemu, który niedawno przywiózł ją do Paryża. Mapa ta ma długości metr 1 i 30 centimetrów, szerokości 75 centim.; kreślona snać od ręki z dnia na dzień, przez samego Liwingstonea i towarzyszków. Rzeka Zambeze oznaczona tu poraz pierwszy z przytokami swemi. Wzdłuż jój biegu zapisane uwagi, najważniejsze tak pod względem geograficznym jak i etnograficznym. Podróżnicy zapisywali wysokość gór, nazwiska dzikich ludów, ich obyczaje, spostrzeżenia meteorologiczne, jak niemniej dotyczące flory i fauny. Na błękitnym pasie rzeki, oznaczone miejsce gdzie zaczyna być spławna; tu i owdzie wskazane miejsca na szczególną zastługają uwagę.

Ta mapa, cała wyżółkła, popękana, była nieodstępną towarzyszką Liwingstonea, w długich wędrówkach po pustyni. Pomnik to nadzwyczaj wielkiej wagi, godzien jak słusznie mówią, znaleźć miejsce przy astrolobie Krzysztofa Kolumba. Towarzystwo geograficzne pa-

ryskie posiadało ją na czas jakiś i pozwalało członkom swoim oglądać drogocenny zabytek. Wszelkie usiłowania tegoż Towarzystwa, aby nabyć tę mapę na własność i ozdobić nią swoje zbiory, speliły na niczém; dzisiejszy właściciel nie wypuści z rąk tego skarbu.

Nieraz już w Kronikach naszych zwracaliśmy uwagę na nowy kierunek, objawiający się we Francyi, a występujący do walki z silnie zakorzenionym w niej centralizmem. Ta walka prowincyi przeciw Paryżowi, który usiłuje zestrzelić w sobie wszystkie żywotne siły kraju, ta walka, powtarzamy, toczy się wolno i spokojnie, ale coraz to nowe osiąga zdobycze i coraz pewniejsze zapowiada zwycięstwo. Centraliści z pogardliwym uśmiechem patrzyli na owe zawiązujące się raz po raz towarzystwa to Felibrów prowansalskich, to Jabłek bretońskich i normandzkich, to Kasztanów z nad Loary, to Zupy kapuścianej z gór Auwernii, tymczasem towarzystwa te rosły w siłę, napływem ludzi wysokiej inteligencji i talentu.

Ten wzrost federalistów, bo tak nazwać ich musimy, objawił się obecnie tam, gdzie najobfitsze może przynieść owoce, bo w członkach uniwersytetu francuzkiego, kierujących wychowaniem młodzieży. Z niesłychanym podziwem naszym, przed kilku tygodniami przy rozdaniu nagród konkursowych w Sorbonie, usłyszeliśmy mowę pana Joliffier, jednego z urzędników tej instytucyi, mowę wyrzeczoną w obec ministra oświecenia i naczelných władz uniwersyteckich. Uczony mówca, niewątpliwie członek jednego z anti-centralistycznych towarzystw, przemawia silnie za znaczeniem życia prowincjonalnego. W kilku jaskrawych rzutach przebiega dzieje Francyi, pokazuje w jaki sposób dzielnice jój rządzone niegdyś feudalném prawem, zrastały się w jedno ciało, aż utworzyły nierozłączną całość, zachowując przecież własne zwyczaje, stosowne do potrzeb miejscowych, własne zabytki literackie i językowe, właściwy sobie charakter, słowem, drogi skarb domowych tradycyi.

W pełnym życia ustępie, mówca maluje prowincye francuskie; przytaczamy tu jego słowa:

„Zatrzymajmy się chwilę w Bretanii. Jak ulubiony jój bohater Duquesclin, tak Bretania w rodzinie ludów francuskich miała młodość burzliwą i niespokojną. To uległa, to butna, służyła, lecz nie znosiła jarzma. Nieraz ugodziła w serce wspólnej ojczyzny; ale więcej odwróciła od niej pocisków. Właściwy jój geniusz odbija szczególniej w życiu słynnych marynarzy i w dziełach wielkich autorów, od Abelarda do Chateaubrianda. Szeroki, niedościgniony okiem widnokrąg, musiał budzić uczucie nieskończoności.

„Wschodnie prowincye, ciągnie mówca, utworzyły granice nasze i umiały ich bronić. Na czele idzie Szampania, pełna odwagi, czujna, strzeże pilnie politycznych i literackich tradycyi, stawia dzielnie czoło najazdom. Burgundya daje nam wielkich oratorów. Z gór Delfinatu występują słynni rycerze: uosobieniem ich Bayard. Franche-Comté

inne zapewnia nam zdobycze na polu nauk pracami synów swoich Lalanda i Cuviera. A z onych wąwozów wogezkich małożto wyszło bobatérów, krzepkich jak odwieczne ich dęby? Mamyż przepomnieć, że cztery wieki temu, młoda lotarynka wykrzyknęła z zapalem: „Francya wytacza krew! i cały naród zerwał się na hasło dziewicy!”

Przypomina potém profesor wielkie prace, tak w naukach ścisłych jak w archeologii, dokonane w ostatnich czasach. I coż dało pobudkę, zapytuje, do tylu poświęceń i trudów?

„Miłość nauki nie byłaby dostatecznym bodźcem dla pracowników, gdyby nie łączyła się z nią miłość kraju, w najściślejszym ograniczeniu tego słowa. Weźmy oto mapę Francyi; każdy z nas znajdzie tam mały zakątek ziemi, do którego przyrósł sercem, z którym łączą go silne węzły domowych wspomnień. Kraj rodzinny! ileż ten wyraz nasuwa nam żywych obrazów! Dla atęńczyka z czasów Sofoklesowych, była to sucha dolina, zarosła oliwnemi drzewy, ciemnym bluszczem i narcyzami. Dla nas, to najczęściej wązka uliczka jakiegoś miasteczka, lub wioska otoczona polem i winnicą; to mały ogródek, który wydawał nam się wielkim a potém dziwnie zmalał, to strumień, który w oczach naszych wielką był rzeką, to młodzi towarzysze zabaw naszych, to stół rodzinny, przy którym stary dziadek opowiadał nam przygody swych lat młodych. Konieczność oderwała nas od tych kątów, ale żyjemy w nich myślą i uczuciem. Opuszczamy kraj <sup>1)</sup>, lecz on nas nie opuszcza; unosimy go w najgłębszych tajnikach pamięci, w zwyczajach, w wyrażeniach naszych. Po akcencie miejscowym, nigdy niezapomnianym, poznajemy się między sobą, obojętni stają się odrazu przyjaciółmi. Inni żartują z nas, my nie zważamy na to. Mienimy się z dumą gaskonami, normandami lub bretonami; nazwa auwerniaków wcale nas nie obraża. Wzajemne niechęci prowincjonalne dawno umilkły w obec wspólnych niebezpieczeństw; zatarły się w promieniach wspólnej chwały.

„Jedność narodowa, kończy profesor, nie straciła nic na tém odrodzeniu prowincyi. Dwa uczucia natury odmiennéj zdążają do jednego celu. Wyraz kraj (zakątek rodzinny) jest jakoby ściślej określona forma wyrazu ojczyzna, téj najpotężniejszej abstrakcyi, jaką stworzyło ludzkie słowo. Do wielkiej siły, jaką ma w sobie imię Francya, nazwa miejscowości rodzinnej, dodaje niejaka słodycz macierzystą.

„Wielki przewrót z końca zeszłego wieku nie podarł kart w księdze przeszłości ojczystej. Francya, w której i dla której żyjemy, nie jest czém inném jak starożytną Francją. Taż sama krew płynie w żyłach naszych, jaka płynęła w żyłach ojców; toż samo serce uderza w piersi naszej. Ojcowie poznają się w nas, jak i my w nich się poznajemy. Kiedy za lat kilka Francya obchodzić będzie stule-

<sup>1)</sup> Wyraz kraj (pays), używany przez francuzów na określenie zakątka rodzinnego.

nią pamiątkę wielkiej federacji, wystąpi ona w uroczystości narodowej jako spadkobierczyni nie tylko rewolucji francuskiej, ale zarówno wieków, które ją poprzedziły i przygotowały.“

Mowa ta, wyrzeczona publicznie, przez jednego z urzędników uniwersytetu francuskiego, niesłychaną ma wagę. Jest to żywa protestacja przeciwko dążnościom dzisiejszych władz rządzących, które usiłują wpoić w młodzież to przekonanie, że Francja powinna zerwać całkiem z tradycją dwudziesto-wiekowej przeszłości, a widzieć jedynie początek dziejowego bytu swego w roku 1789. Wiadomo, że na czele tych propagatorów stoi główny dzisiejszy kierownik, minister Ferry.

W kształceniu naukowym kobiet francuzkich, zaszła, jak wiadomo w tych czasach radykalna przemiana. Rząd zoprowadza lycea po większych miastach; panienki różnych warstw społecznych, nie wyłączając arystokracji, ukończywszy nauki czyto w szkole czy w domu, zdają egzamin publiczny i otrzymują dyplom. Nagły ten przewrót zaniepokoił umysły; wywiązała się polemika w dziennikach i przeglądach. „Nie chcemy pedantek! — wołają rutyniści — kobieta więcej straci na właściwym jej wdzięku, niżli zyska na polu wiedzy.“ Inni lękają się może współzawodnictwa, lub drżą na myśl zakłóconego pokoju domowego. Słowem, głos powszechny potępia jeśli nie wyższą skalę w kształceniu kobiet, to przynajmniej suchy pedantyzm, przyjęty w wykładach naukowych.

Głos powszechny nie przebrzmiał napróżno. Kamil Sey, główny organizator liceów żeńskich, czyniąc zadosyć opinii publicznej, uznał że wypada zastosować naukę do psychicznego usposobienia kobiet. „Il faut feminiser l'éducation des femmes,“ wyraził się w raporcie urzędowym. Słowo feminiser całkiem nowe, nie zapisane w słowniku akademickim, wywołało znów głośnie zaprzeczenie purystów. Powstała walka o barbaryzm wprowadzony do języka francuskiego. Wniczał się do niej Legouvė: z całą powagą akademicką rozgrzeszył Seya, uznając, że gdy idzie o określenie nowej idei, tam wyraz nowy przestaje być barbaryzmem, a pozyskuje prawo obywatelstwa.

Zobaczymy jak p. Legouvė uważa to zastosowanie nauki. Mamy sobie za obowiązek przytoczyć tu słowa znanego autora tytuł dzieł poświęconych określeniu stosunków rodzinnych i właściwej pedagogii.

„W przedmiocie historii, mówi akademik, nie ma potrzeby przerabiać na prozę pięknego poematu ojca mego „O zasłudze kobiet“ (Le mérite des femmes). Nie idzie tu o wydobywanie ze starych kronik przykładów odwagi, cnoty, poświęcenia, jakie dawały kobiety; nie pora dziś podniecać próżność nowych pokoleń opowiadaniem dawnych zasług. Bynajmniej tego nie żądamy. Mógłby dla kobiet czasy gloryfikacji, bije godzina pracy. Ależ ta praca, jeśli ma być pożyteczną, musi być koniecznie stosowną. Zapyta mnie ktoś może: ażaliż dzieła historyczne, inne dla mężczyzny niż dla kobiet? Czyż w łańcu-

chu dziejów są wypadki, idee, prądy, osobistości, przystające szczególniej do tój lub owój połowy rodu ludzkiego, tak samo jak w ziemi spoczywają soki i żywioły karmiące, właściwe dla tego lub owego gatunku roślin? Tak jest, odpowiedź, są bez zaprzeczenia, porównanie to bardzo trafne, udowadnia bowiem, że inteligencja kobieca, zwrócona do historyi, znajdzie w niej, jeśli ta historia dobrze przygotowana, najpożywniejsze dla siebie żywioły. Ale spytacie mnie znowu: na czém polega to przygotowanie? jaki grunt historyczny odpowiada dla kobiet? Odpowiem na to, wskazując imię Augustyna Thierry. Oto wzór historyka dla kobiet. Zapewne, że Guizot z właściwym sobie ładu, zarysuje wybornie przed ich oczyma wielkie linie historyczne; Mignet da im gruntowną naukę z ścisłym oznaczeniem faktów i logicznym przeprowadzeniem idei; Thiers w pełnym świetle ukaże im wypadki; Henri Martin zapali w ich sercu miłość Francyi i rozwinie przed niemi różnostronnie całą potęgę narodowego geniuszu; Michelet rzuci im przed oczy błyskawicę, rozjaśniającą nie jeden ciemny zakąt dziejowy; a jednak prawdziwym, wyłącznym ich mistrzem, będzie zawsze Augustyn Thierry. Czemu? bo to co zajmuje, obudzi w nich także zajęcie, bo ma głębokie poczucie dwóch rzeczy najwyższego dla kobiet znaczenia: maluje wybornie jednostki i obyczaje.

„Ścisły jak Mignet, jasny jak Thiers, dokładny jak Michelet, do tych wszystkich zalet łączy dar właściwy sobie, umie jeszcze zabawić. Otóż koniecznym jest, aby nauka historyi zabawiała umysły młodych panien. Nauka nie straci nie przez to na powadze, dowodem tego sam Augustyn Thierry. Wielki ten historyk, jest zarówno romansopisarzem.

Jako romansopisarz rysuje każdą osobistość, czyni z niej żywą i rzeczywistą postać; jako romansopisarz podnosi każdy wypadek, bądź tragiczny, bądź rzewny, czyniąc z niego scenę dramatyczną; jako romansopisarz maluje miejsca, czasy, zwyczaje wśród których poruszają się ludzie dawni, słowem na tle zarysów pełnych życia i prawdy, kreśli wielki dziejowy obraz.

„Nie odżyła lepij starą Szkocya pod piórem Walter-Skotta, jak stara Francya odżyła w powieściach z epoki Merowingów. Tak samo jak Rob-Roy, Wawerly, Templaryusz, zarysowały się w pamięci naszej postaci Fortunatusa i Chilperyka. Trudnoby zapewne napisać i wykładać całą historyą w podobny sposób; ale do profesorów należy czerpać pobudkę w tój metodzie, to jest w wykładach swoich zastąpić życiem abstrakcyą.

Od historyi przechodzi Legouvé do literatury i zaleca podobną metodę nauczania. „Zapewne, mówi on, że Villemain ze swoim wzniosłym eklektyzmem i miłośnictwem piękna, da poznać młodym pannom arcydzieła wszystkich narodów, na tle miejsca i czasu, w którym były stworzone; Nisard skreśli im niezatartemi rysy, oblicze geniusza francuskiego; Cousin, pełen wytwornego smaku, rozwinie przed niemi niezrównane bogactwo stylu XVII stulecia. A jednak ci wszyscy profe-



sorowie wystarczyć tu nie mogą; trzeba dołączyć do nich Sainte-Beuva. Dlaczego? bo talent jego głównie psychologiczny, w ścisłym zostaje związku z ciekawością kobiecą i przenikliwym ich instynktem, bo żaden krytyk literatury nie czytał głębiej w sercach; jednem słowem, ten krytyk jest niemniej romansopisarzem—a co więcej poetą. Nie myślę ja bynajmniej wyłączać dogmatycznego nauczania, ale powtarzam wszelka edukacja kobieca, w której wyobraźnia nie wżmie udziału, będzie niewątpliwie chybioną. Dawniej nieuctwo groziło niebezpieczeństwem, dziś zagraża pedantyzm.

Kończy Legouvé przytoczeniem piosenki Berangera: śpiewak żartuje z uczonego, który w lampie widzi jedynie materyał, z którego zrobiona, jój dno i poruszające nią sprężyny: „ja, dodaje, widzę światło i dosyć mi na tém!”

„Światła! światła! powtarza wymowny akademik, bo światło to życie, to urok, to sztuka. Światło ogrzewa, oczyszcza i rozprasza ciemności. Przy prawdziwem świetle nie obawiamy się pedantyzmu, bo pedantyzm ciemny jak noc, nie ma związku ze słońcem.

Jeszcze nie przebrzmiał głos Legouvégo, nastający tak silnie na pedantyzm, a oto w sferach wychowawczych przystąpiono do egzaminu panien, ubiegających się o stopień naukowy. Upadło mnóstwo kandydatek, a między niemi córka p. Bert, jednego z czynnych organizatorów szkół we Francyi. Powód tak ogólnego niepowodzenia zaciekał dziennikarzy. Wyśledzili wreszcie program i ogłosili go w kolumnach swoich. Dla osobliwości przytaczamy tu problemat matematyczny, zadany do rozwiązania młodemu kandydatkom: „Przyjąwszy, że równa co do wagi bryła złota ma wartość o 15 razy i pół wyższą niż bryła srebra, wiedząc zresztą, że kubiczny centimetr złota, waży 19 gram—26 centigramów, a kubiczny centimetr srebra waży gram 10—51 centigramów, że kilogram złota wart 3437 fr. 50 cent., zachodzi pytanie, jaka będzie wartość kuli srebrnej, której promień wynosi 3 centymetry, pokrytej warstwą złota grubości  $\frac{1}{10}$  milimetra?”

Łamigłówa ta, jak słusznie powiedziano, właściwsza do pomieszczenia między rebusami niż w programie egzaminowym.

Panienki, które popełniły najmniejszy błąd w obliczeniu, pod okiem sędziów, usunięte zostały od konkursu, choćby miały celujące stopnie w innych przedmiotach.

Co do kompozycyi literackiej, tak się wyraża programat:

„Wykazać w bajkach Lafontaine kilku przykładami współczucie bajkopisarza dla słabych i uciśnionych.“

Program to całkiem niewłaściwy. Ktokolwiek czytał Lafontaine wie, że był pisarzem czysto przedmiotowym. Głęboki psycholog maluje doskonale charaktery zwierząt, a raczej ludzi ukrytych pod ich postacią, z niezrównanym talentem dramatyzuje sytuacje; dialogi jego pełne życia i ruchu, dykcya prześliczna, styl mistrzowski, ależ doprawdy nie znamy bajki, w którejby rozrzewniał się nad losem nieszczęśliwych ofiar. Nie żałuje on wcale tego konika polnego, co prze-

śpiewał lato nie pomny, że przyjdzie twarda zima; nie żałuje owego kruka, któremu lis wyłudził ser pochlebstwem. Pokazuje w nich tylko, jak w tylu innych typach, ofiary próżności, lenistwa, samolubstwa i niezliczonych błędów, ciągnących za sobą nieuniknioną karę.

Niesłusznie byłoby zarzucać Lafontainowi, że nie rozrzewniał się nad losem uciśnionych. Biegły dostrzegacz malował charaktery, z zetknięcia ich wyprowadzał to krwawy dramat, to śmieszna komedia, alboż nie dosyć na tém? Sam nie wychodząc poza obręb analizy, dał innym pobudkę do wyprowadzania z niej skutecznych wniosków. Ależ ta filozoficzna synteza niedostępna dla młodych kandydatek, była dla nich trudniejszą do rozwiązania łamigłówką aniżeli przytoczony powyżej problemat matematyczny.

Sądźmy, że pan Legouvé korzystać będzie z okoliczności i przygotowuje nową rozprawkę przeciw pedantycznym wykładom.

Sprawa Egiptu, jak wiadomo, żywo dziś zajmuje Francją. W tych właśnie czasach, na doroczném zebraniu towarzystwa młodzieży (Union française de la jeunesse), Gustaw Ollendorf w obecności prezydującego Lessepsa wystąpił z konferencją o Egipcie. W krótkim, ale pełnym życia zarysie historycznym, wykazał bezustanny wpływ, jaki Francja wywierała na ten kraj od czasów najdawniejszych, to jest od epoki Karola Wielkiego.

Później Ludwik Świąty prowadził układy z Egiptem. Franciszek I, na mocy traktatu zawiązanego z Solimanem Wspaniałym, wyjednał przywileje nie dla saméj tylko Francji, ale dla wszystkich państw europejskich, prowadzących z Egiptem handlowe interesa.

Od téj epoki zaczyna się rzeczywista przewaga Francji na Wschodzie. Historia monarchii francuzkiej ukazuje nam pięć traktatów, zawiązanych od czasów Karola IX do Ludwika XV-go. Rzecz godna uwagi, że zmiany jakie zaszły w rządach państwa, nie zmieniły nigdy polityki francuzkiej względem Egiptu, była to polityka tak ściśle narodowa, iż zarówno rzeczpospolita jak cesarstwo wzięły ją spadkiem po dawnéj monarchii. Konwencya utrzymała traktaty ze Wschodem, subwencyonowała w Egipcie kongregacye religijne, które upowszechniały na równinach Syrii, w górach Libanu i nad Nilem język francuzki, a z nim tradycją dawnéj przewagi Francji.

Rzeczpospolita nie poprzestała na tém; powzięła wielki zamiar i wykonała go z pośpiechem, godnym bohaterskiej epoki. Było to w roku 1798, Magelon był w Kairze postem francuzkim. W raportach do dyrektoryatu wykrywał niesłychane gwałty mameluków, ucisk wywierany przez nich na tubylcach i zapory tamujące handel z Francją, wbrew odwiecznym traktatom. Zdaniem Magelona rzeczpospolita powinna podbić Egipt, zamienić go w żyzną i kwitnącą kolonią.

Piękny to kraj, dodaje prelegent, oddawna zwracał na siebie uwagę najgenialniejszych mężów stanu. Albuquerque, wielki portugalczyk, zakreślił plan olbrzymi, pragnął odwrócić bieg Nilu i skierować

wać go do morza Czerwonego. Leibnitz radził Ludwikowi XIV-emu, podczas nieszczęśliwej wojny holenderskiej, aby podniósł cześć upokorzonej Francji wielką wyprawą do Egiptu.

Z kolei rzeczy Ollendorf wylicza znakomite prace komisji, którą Bonaparte zabrał z sobą i utworzył z niej instytut egipski. Należeli do niej wielcy uczeni, jak Say, Geoffroy, St. Hilaire, Monge, Dubois, Larrey, Desgenettes. Prace ich zapełniają dwadzieścia dwa wolumina in folio. Odczytał je pilnie Lesseps, nim rozpoczął prace około kanału Suezkiego.

Myśl olbrzymiego dzieła kiełkowała oddawna w umysłach wyższych, zanim stała się czynem. Dwanaście wieków temu, uczony Amru nalegał na Kalifa Omara, by rozkopał pas ziemi rozdzielający dwa morza. Bossuet w historii powszechniej czyni uwagę, że połączenie obu mórz byłoby wielkiem dobrodziejstwem dla cywilizacji i dla świata. Fourrier, jeden z członków instytutu egipskiego, nastaje silnie na urzeczywistnienie tak wielkiego pomysłu. Bonaparte badał zblizka, od czegoby wypadało zacząć olbrzymią pracę. Porwany wirem wypadków w inną stronę, nie miał czasu spełnić wielkiego dzieła, którem Lesseps tak znakomicie zasłużył się cywilizacji.

Pod tytułem „Wieczory Paryzkie,“ Wolf sprawozdawca z Figara wydał kronikę teatralną z ciągu upłynionego roku. O książce samej mówić nie będziemy, repertuar tegoroczny nie wiele przedstawia zajęcia. Zasługuje przecież na pilną uwagę przedmowa do tej publikacji skreślona przez słynnego kompozytora Gounoda. Znajdujemy tu nadzwyczaj trafny pogląd na sztukę muzyczną, zastosować go można zarówno do malarstwa jak i do literatury, wszystkie bowiem działy artyzmu łączą się ściśle z sobą, ulegając jednemu prądowi.

Gounod powstaje przeciw dwóm dążnościom, które dziś narażają sztukę na niebezpieczeństwo: jedną z nich pogoń za efektem, drugą zbyteczne systematyzowanie.

Efekt może imponować, mówi znakomity mistrz idealista, ale nie zapewnia rzeczywistej wartości utworom, jest to rzecz mody, a moda przemija, gdy tymczasem prawda jest wieczną. Kto goni za efektem, ten nie ma wiary w prawdę. Ten artysta jest więcej samolubem, niż miłośnikiem sztuki swojej. Pogoń za efektem przypomina ową śmieszoną pretensją żaby, usiłującej przybrać rozmiary wołu. Piękno nie objawia się szeregiem efektów, ale od początku do końca sprawia wrażenie spokojne, a zarazem potężne przez doskonałe zrównoważenie wszystkich warunków sztuki, ta właśnie równowaga jest cechą geniuszu.

Artysta, mówi dalej Gounod, powinien przedewszystkiem mieć na uwadze dwie rzeczy, których krytyka dać nie może, jeśli ich sam nie posiada, ani też nie zdoła ich odebrać, jeśli je otrzymał w udziale. Naprzód powinien słuchać wiernie poszeptu własnego uczucia; powtóre obowiązany jest pilną i wytrwałą nauką zdobyć techniczną wiedzę.

W uczuciu odbijają się osobiste wrażenia, w niem leży indywidualność artysty, wiedza techniczna zaś czyni nas panami języka, którym doznane wrażenia wypowiadamy. Uczucie to prawo osobiste, wiedza techniczna to obowiązek powszechny. W tém zawarte całe prawo, poza tém nic i nic!... ani moda, ani krytyka nie tu poradzić nie zdołają.

Dowcipnie żartuje Gounod z artystów, goniących bądź co bądź za efektem. Do nich-to stosuje zabawną parabolę.

Jedni państwo, mówi, utracili żonatego przyjaciela; na wieść o tém postanawiają odwiedzić wdowę. W drodze naradzają się w jaki sposób okazać jej współczucie. „Strzeż się tylko, rzeczce mąż do żony, byś nie okazała więcej żalu niż wdowa.“

W taki to błąd, dodaje Gounod, wpadają artyści dzisiejsi; przesadzają prawdę. Kto chce zbyt wiele dowieść, nie dowiedzie niczego.

Przesadę w tworzeniu systematów określa kompozytor jednym słowem: to istna herczyza. Twórca systematu mniema, że posiadał całą prawdę, chce wszystko zreformować. Nie wspominajmy mu o wczorajszych arcydziełach, te nie u niego nie znaczą, nowa metoda wszystko przeistoczyła. Nie wolno już czuć się wzruszonym doraźnie, po prostu: trzeba być poruszonym systematycznie. Nie należy śmiać się ani płakać, bez pozwolenia systematu. Wypada żyć, cierpieć i umierać według systematycznych prawideł, tak jak czynili pacjenci molierowskich lekarzy.

„Przekonany jestem najsilniej, kończy Gounod, że w sztuce nie trzeba należeć bądź co bądź do jednego stronnictwa, każde bowiem jest tylko jedną stroną prawdy, nie zaś całkowitą i zupełną prawdą. Jeżeli mnie porusza Mozart albo Rossini, Mejerbeer lub Mendelson, Verdi albo też Wagner, przyjmuję wrażenie bez oporu, zachowując większe upodobanie w tych mistrzach, których uczucie i forma więcej odpowiadają potrzebie mego serca i rozumu, co należy już do osobistej sympatii, a nie do przesądu bynajmniej rzeczywiście wartości ich utworów.“

Gounod powstaje energicznie na tę sekte, która usiłuje skrepować sztukę prawidłami swemi i kierować opinią stosownie do głoszonych przez siebie zasad.

„Sztuka, mówi bardzo trafnie, liczy dziś za wiele słońc, abyśmy ją mieli zwrócić ku drogom mlecznym. Te zajmują większą przestrzeń niżeli słońce, ale słabsze wydają światło.“

W dniu 10 sierpnia, najskwarniejszym z dni tegorocznych, upał bowiem przechodził 30 stopni, w mieście La Chatre odbyło się uroczyste odkrycie pomnika Georges Sand, dłuta Aimé Milleta. Piękny ten pomnik przedstawia autorkę w siedzącej postawie, poważną, zamyśloną, z piórem w ręku. Inną zapewne widziały ją te miejsca, kiedy w męzkim stroju, na rączym biegunie, z płomienistym okiem, przebiegała okoliczne lasy i pola, tworząc w wyobraźni fantastyczne typy Indyanny albo Lelii.

Do tysiąca osób zasiadło na honorowej estradzie: prezydował Lesseps, otoczony gronem delegatów od różnych towarzystw literackich i dramatycznych. Akademia francuzka tylko, najpoważniejsza z ciał naukowych, odmówiła udziału swego w uroczystym obchodzie. Korzystał z tego nieprzebragany wróg Akademii Arsene Houssaye. Jako prezes Towarzystwa literatów, zabrał głos w bardzo oryginalny sposób. Oto krótki ustęp z jego mowy:

„Geniusz nie należy do męzkiego ani żeńskiego rodu. Są mężczyźni, piszący po niewieściemu, jak są kobiety, piszące po męzku. Utrzymywano, że żadne arcydzieło nie wyszło z rąk niewieścich: to wierutna bajka. A naprzód kobiety są matkami, wychowują ludzi; nie dosyć na tém, tworzą dzieła, nawet i arcydzieła.

Akademia francuzka wyrządziła zatem krzywdę kobietom. Rozumiemy, że kobieta nie wchodzi na trybunę, rodzina woli widzieć ją pod dachem domowym, ale nie rozumiemy, dla czego kobiety wykluczone z Akademii francuzkiej. Bo i czémże jest sama Akademia? Niekiedy starą matroną, to znów przymilającą się zalotnicą, lub też pedantyczną sawantką. Dom jej nie jestże wytwornym salonem i czemuż drzwi jego zamknięte przed kobietami? Nie zapuszczając się w dalekie czasy, któż z nas nie żałuje, że panie de Staël, Delfina Girardin, genialna Rachel i Georges Sand, nie znalazły miejsca w Akademii francuzkiej? Szczęśliwsze od niej Towarzystwa literatów, uświetniły się imieniem Georges Sand, tej nieśmiertelnej acz bez Akademii.”

Albert Delpit, w imię Towarzystwa autorów dramatycznych, podniósł zasługi autorki na tém polu. Zatrzymał się szczególniej na tych utworach, w których Georges Sand wyprowadza na scenę lud roboczy: „Tyś sama jedna — rzekł — umiała zarzucić płaszcz purpurowy poezyi na ramiona wieśniaka i wyrobnika. Twoje sceny wiejskie, spokojem i prostotą, przypominają arcydzieła, jakie Millet wykonał twórczym pędzlem: też same wizye przedstawiały się oczom waszym; zculiście oboje, że artysta powinien patrzeć w górę i tam ucześcić kołowitę swojej.”

W parę dni po inauguracji pomnika, Calman Levy wydał szósty tom korespondencji Georges Sand. Owe listy, pisane w ostatnich latach życia, odnoszą się po wielkiej części do czasu wojny pruskiej i komuny. Bolesć z każdego tryska słowa. Gorąca patriotka ostro wyrzuca tym, którzy wypuścili z rąk władzę i oddali ją na łup ślepych szaleńcom.

„Biedny lud! — pisze na wieść o zawiązaniu komuny — biedny lud! popełni mnóstwo gwałtów i zbrodni, i stanie się w końcu ofiarą krwawej pomsty.

„Na prowincyi utrzymują, że to stronictwo zaprzędane prusakom: oto cała korzyść jego ulicznych tryumfów. Wywołać musi straszny odwet. A prusacy? oni może zakończą bratnią walkę. Jakaż to hańba dla Francyi!”

Wkrótce potem Georges Sand pisze znów do Flauberta.

„Nikczemne próby, jakich Paryż dopuszcza się lub jakie znosi, nie zmieniają poglądu mego na wiekuiste prawa postępu. Od dawna już pogodziłam się z cierpliwością; przyjął ją, jak przyjmuję niepodogę, zimę, starość, słowem wszelkie niepowodzenia.

„Nie to mnie zasmuca. Kiedy uschnie drzewo, trzeba w jego miejsce posadzić nowe. Przyczyną smutku mego słabość serca, której pokonać nie umiem. Cierpienie, a nawet złość drugich, odgania sen z mych powiek. Żal mi tych, co źle czynią; ich stan moralny przenika mnie boleścią. Bierze nas litość na widok spadłej z gniazdka ptaszyny, a jakże nie żałować tylu sumień zagrzebanych w kałuży? Mniej cierpiałam podczas pruskiego oblężenia. Kochaliśmy ten nieszczęśliwy Paryż, wystawiony na klęski; témwięcej cierpimy, że go już kochać niepodobna! Inni znenawidzili go śmiertelnie. Cóż na to odpowiedzieć? Nie!... Pogarda Francyi dla Paryża jest może słuszną karą!”

W liście do Dumasa, Georges Sand surowo potępia ówczesną przemowę Wiktora Hugo: „Piękną miał Hugo sposobność do milczenia, czemuż nie umiał z niej korzystać? Chciwi popularności, którzy kochają tylko lud dla poklasku i wotów, nie mają odwagi powiedzieć mu wręcz: „dziś kochanku jesteś bezczelnym!“ W takich-to chwilach potępienie zbrodni i gwałtów, daje miarę szczeroci republikańskiej.“

Większa część tych listów pisana do Flauberta. Żywa przyjaźń łączyła Georges Sand z tym głośnym powieściopisarzem, który niejako tworzy ogniwo między ogładnym (!) realizmem Balzaka, a naturalizmem Zoli i całej jego szkoły. Jak tu zrozumieć przyjaźń, gdzie taka przepaść dzieli pojęcia i charaktery? Flaubert zimny pesymista, z sarkastycznym uśmiechem na ustach, dyskuje serca anatomicznym nożem; Georges Sand, zapatrzona optymistka, błąka się po bezdrożach, ale goni wiecznie za ideałem zrodzonym w jej własnej wyobraźni. Ale co tu rozprawać o uczuciach? serce ludzkie niewytłomaczoną jest zagadką. Słowem, między zagorzałą autorką Lelii, a zimnym jak lód autorem pani Bovary, zawiązała się żywa przyjaźń: dowodem na to obszerna korespondencya. Oto parę wyjątków bardzo oryginalnych:

„Biedny mój przyjacielu, kocham cię tém więcej, że coraz widzę cię nieszczęśliwszym. Jak się ty dręczysz! jak ci dolega życie! Skarżysz się bezustanku, a dla kogoż kiedykolwiek życie bywało lepszym? Czujemy je mniejwięcej, rozumiemy mniejwięcej, ztąd mniej lub więcej cierpimy nad niem, a im dłużej żyjemy, témwięcej sprawia nam udreczeń. Przesuwamy się jak cienie na tle chmury, przez którą czasem przebija promyk słońca i wołamy wiecznie o to słońce; ależ do nas należy rozpedzić chmury nasze.

„Zanadto ukochałeś literaturę, ona cię zabija, a ty nie zabijesz głupstwa ludzkiego. Biedne, kochane głupstwo! ja nie gardzę niem wcale, patrzę na nie po macierzyńsku, bo i czémże jest głupstwo, jeśli

nie dzieciństwem, a wszelkie dzieciństwo święte dla mnie. Z jakąż ty ścigasz je nienawiścią, jak zawzięcie z nim walczyłeś!“

A oto inny list, pisany po śmierci poety Ludwika Bouillet, którego dzieła wydał Flaubert wraz z krytyczną rozprawą.

„Twój wstęp wspaniały, książka cudna — pisze Georges Sand. Tak jest, masz słuszość, nie stał on w drugim rzędzie, wbrew temu, co wyrzekła krytyka, która dziś wszystko niszczy, a nic nie tworzy sama. W ten prosty życiorys przelałeś serce twoje. Rozumiem teraz, czemu umarł tak młodo: umarł, bo zanadto żył duchem. Proszę cię, nie zatapiaj się tak w literaturze i erudycyi. Ruszaj się, przenoś z miejsca na miejsce, ożeń się lub zakochaj, rób co chcesz, a przynajmniej nie pracuj z taką zawziętością!

„W starych moich latach, rzucam się jeszcze niekiedy na potok miłego far niente. Zabawy najdziecinniejsze, najgłupsze wystarczają mi; wracam z tych wybryków krzepka i uspokojona.

Ta przedwczesna śmierć Bouilleta wielką jest klęską dla literatury. Za lat dziesięć nie zostanie nam ani jeden poeta.

Twój język piękny i dobry. Są tam mistrzowskie karty, a jednak gawieź przeczyta je i nie znajdzie w nich nic szczególnego.

Ach! gdybyśmy nie mieli w sobie tej małej wewnętrznej pagody, dokąd uciekamy potajemnie, by rozmyślać nad prawdą i nad pięknem, trzeba by nieraz spytać: i na co się to przyda?“

W dzień urodzin swoich pisze do Flauberta list nadzwyczaj wesoły: „Skończyłam lat 68, zdrowie mam doskonałe, mimo kaszlu, który daje mi przecież spać, odkąd zanurzam go codzień w małej, ale bystrzej rzeczulce, zimnej jak lód, co pieni się i rozpryska wśród kamieni, kwiatów i wielkiej trawy, pod rozkosznym drzew cieniem. To kąpiel idealna.

„Mielśmy tu okropne burze: piorun uderzył w ogrodzie naszym, a rzeczka Indra wezbrała jak potok pirenejski. Cóż to za pyszne lato! Zboża wyrosły na sedm stóp; wśród kłosów błyszczą kwiaty; wieśniacy utrzymują, że ich zanadto; niech sobie mówią co chcą, lecz to pięknie. Chodzę do rzeczki pieszo; zmęczona wchodzę w zimną wodę. Doktor nazywa to szaleństwem; niech mówi co chce, ja tymczasem leczę się, kiedy jego chorzy umierają. Mam naturę trawy polnej: woda i słońce, oto wszystko, czego mi potrzeba!“

Miłość dla ludu wiejskiego odbija w tych listach i szczególny nada je im urok. Nazajutrz, po krwawej klęsce pod Forbach i Wörth, po długiej suszy, która groziła głodem, Georges Sand pisze do przyjaciela: „Deszcz pada nakoniec; okropna burza podruzgotowała wszystko. Wieśniak orze zagon, przewraca zmokłe siano, grzebie w ziemi, czy smutny, czy wesoły. On głupi — mówią ludzie: to bajka! on umie być dzieckiem w pomysłowości, mężem w nieszczęściu, stokroć lepiej niż my, którzy skarżym się bezustannie. On nie wyrzeczę słowa, a podczas, kiedy drugich zabijają, sioje, zbiera, pracuje, naprawia z jednej strony to, co niszczy po drugiej.“

W innych znów listach, kochająca babka z upodobaniem powtarza dowcipne słowa wnuczki: „Moja Aurora zdrowsza, pisze w jednym z nich, ale grymasi jak ją czeszą. Dziś rano rzekła do mnie: Jakbym ja chciała mieć taką łysą głowę jak Charles Edmond (Chojecki); dałabyś mi pokój babuniu.“ Po chwili zapytała mnie znowu, dla czego włosy prędzej wypadają mężczyznom niż kobietom? Odpowiedziałam, że kobiety daleko rozsądniejsze, dla tego nie łysieją. Dziewczynka jednak nie uwierzyła temu. Żartujesz babuniu, rzecze po krótkim namyśle: kobietom nie brak włosów, bo się stroją w cudze, kiedy nie mają swoich.“

Z La Chatre Ferdynand Lesseps udał się na wschód Francji do miasta Besançon, gdzie przydował inauguracyi innego pomnika, poświęconego wynalazcy żeglugi parowej, Klaudyuszowi Jouffroy. Postać to nadzwyczaj zajmująca. Jouffroy należał do tych fanatyków nauki, którzy, odkrywszy wielką prawdę, poświęcili życie całe jej rozpowszechnieniu, a których mozolna praca staje się dla drugich piedestalem do chwasty, gdy tymczasem sami umierają w nędzy i zapomnieniu, wystawieni częstokroć na szyderstwa i złą wolę współczesnych.

Urodzony w r. 1751 w Franche Comté, w starożytnym gnieździe rodzinnym, Klaudyusz okazywał od lat dziecinnych szczególne zamiłowanie w mechanice. Bezustannie wybiegał z domu do kuźni lub stolarskiego warsztatu, chwycił z rozkoszą za hebel, piłę, lub młot kowalski, z wielkim zgorzeniem rodziców, którzy pojąć nie mogli, aby dziedzic wielkiego rodu mógł mieć takie upodobania.

Z woli ojca wstąpił do pułku Burbonów. Ale samowolny młodzian, nie mógł nagiąć się pod prawa karności wojskowej. Po gwałtownym zajściu z hr. d'Artois, późniejszym Karolem X, wygnany został na wyspę św. Małgorzaty. Tam, przyglądając się galerom w przepływie ich po morzu, począł rozmyślać, czyby nie można ułatwić mozołu biednym majtkom i zastąpić wiosła siłą pary. Na tych poszukiwaniach szybko zbiegły dwa lata. Wróciwszy do Paryża, pracował wytrwale w tym kierunku, ale napotkał szaleńcem opór w ówczesnych inżynierach. Wyśmiany, okrzyczany szaleńcem, młody Jouffroy, zagrzebał się we wsi rodzinnej. Tam, przy pomocy wiejskiego kotlarza, Pourchot, wykonał machinę parową, arcydzieło geniuszu i cierpliwości. Poruszany nią statek, ukazał się na rzece Doubs w roku 1776.

Spostrzegając niedostatki pierwszej próby, młody Jouffroy zbudował ulepszony parostatek na kołach. Wobec 10,000 widzów, puścił go na Saonę w Lyonie w r. 1783. Akt urzędowy poświadczył ważność wynalazku. Przez rok cały parowiec przepływał rzekę w poprzecz. Mimo to minister Calonne odmówił przywileju wynalazcy: żądał nowych prób na Sekwanie.



Jouffroy nie miał na to dostatecznych funduszków. Przerwała wreszcie prace jego burza rewolucyjna.

W r. 1803, po śmierci rodziców, objął w posiadanie wieś Aubans. Majątek był zniszczony, zamek rozsypywał się w gruzy. Czegoż jednak nie pokona dzielna wola? W braku pieniędzy Jouffroy przy pomocy synów, rozwała jedno skrzydło feudalnego zamczyska; belki i żelastwa poświęca na budowę nowych modeli.

Jakim sposobem Napoleon nie odgadł geniuszem swoim nieobliczonych następstw tak wielkiego wynalazku? należy to do tajemnic, których nie przeniknie rozum ludzki!

W r. 1816, Jouffroy znalazł protektora w tymże hrabi d'Artois, z którym zajście w młodych latach naraziło go na wygnanie. Parowiec jego ukazał się na wodach Sekwany, ale kompanie angielskie pochwytyły już pomysł, wystąpiły do konkursu i odniosły zwycięstwo.

Jouffroy, zrujnowany do reszty, opuścił wieś rodzinną i przeniósł się do Paryża wraz z żoną, która dzieliła jego prace, pociechy i zawody. Podczas gdy mąż bił młotem, biedna kobieta sprzedawała drobne robótki na utrzymanie domu.

Śmierć wiernej towarzyszki, ostatnim była ciosem dla genialnego mechanika. Pozbawiony środków do życia i opieki, schronił się do domu inwalidów.

W r. 1827, Franciszek Arago odkrył przypadkiem w dokumentach niezbite dowody, jako Jouffroy był prawdziwym wynalazcą parostatków. Pisma naukowe uznały jego prawa. Niestety! było to za późno! Starzec, złamany wiekiem i zawodami, dogorywał w cichy ustroni. Umarł w r. 1832.

W lat dwanaście potem, na mocy królewskiego wyroku, imieniem jego nazwano jedną z celniejszych ulic paryżskich. Odtąd imię Klaudyusza Jouffroy zasłynęło w świecie naukowym. W roku 1860 spopularyzował je Ludwik Figuier w dziele p. t.: „Cuda nauki.”

Mimo to jednak głos powszechny przyznawał Dyonizemu Papi nowi pierwszy wynalazek parowców. W owacych jubileuszowych na cześć jego, w r. 1880 Jouffroy nie był nawet wymieniony. Dobodło to do żywego rodziną wnuczkę Martę Jouffroy. Zaprotestowała silnie przeciw popełnionej niesprawiedliwości, w obec senatorów i deputowanych z Franche Comté, co więc znalazła w Lessepsie gorliwego opiekuna. Dzięki ję zabiegom, w roku 1881 Akademia nauk wskazała imię Klaudyusza Jouffroy, jako zasługujące na wdzięczność narodową. Pobudzone tém miasto Besançon zapragnęło uczcić go pomnikiem. Posypały się hojnie składki.

Ten to właśnie pomnik odkryto w dniu 17-ym sierpnia. Zdobi on wodotrysk na wielkim placu miejskim. Posąg wykonany dłutem rzeźbiarza Gauthier, w szlachetnej postawie wynalazcy ukazuje zarazem wielkiego pana i prostego robotnika w chwili wielkiego tryumfu, gdy rozwiązał problemat. Po trzech bokach piedestału piękne płaskorzeźby, przedstawiają trzy najważniejsze chwile z życia Klaudyusza

Jouffroy. W pierwszej z nich dorodny młodzian wydaje polecenia wiejskiemu kotlarzowi. Druga ukazuje pierwszy parostatek, podobny do arki Noego, płynący po Saonie wzdłuż wybrzeży Lyonu, przy poklasku niezliczonych tłumów. W trzeciej zmarły starzec leży na łożu śmiertelném w ubogiej celi domu inwalidów, stary wiarus płacze u wezgłowa, wkoło rozrzucone księgi i plany. Na frontowej płycie wypisane imię i nazwisko, data urodzenia i śmierci.

Lesseps w krótkiej, ale gorącej przemowie, skreślił rys życia wielkiego wynalazcy, poczem złożył publiczny hołd obecnej wnuczce, której zabiegi wywołały wielką manifestacyą. Towarzystwa muzyczne z okolicznych miast defilowały następnie przed pomnikiem, wygrywając melodye narodowe. Z kolei wystąpiło Towarzystwo alzackie ze Strasburga ze zwiniętym sztandarem, pokrytym czarną krepą. Dreszcz przebiegł po całym zgromadzeniu, głucha cisza zapanowała w tłumie, ale milczenie to wymowniejszém było nad wszelkie niewczesne okrzyki. Niejedna łza upadła na sztandar, niejedna potoczyła się po licu zgromadzonych.

---

Pisma tutejsze powtórzyły ciekawą konferencyą profesora Jett z Glasgowa, o wpływie dziennikarstwa na opinię publiczną. Udowodnił prelegent, że w starożytności podobny wpływ bynajmniej nie istniał. Wówczas-to monarchowie sami kierowali opinią publiczną; proklamacye ich obejmowały wiadomości bieżące, a zarazem wskazywały jak się wypada na nie zapatrywać. Kilka linii wystarczało na oznajmienie i osądzenie wypadku, jaki za dni naszych wywołałby setki artykułów i tysiące depezy. Jako wzór dziennikarstwa w starożytności, przytoczył profesor następującą proklamacyą króla Artakhshatra, zwanego popolicie Artakserksesem.

„Przyciągnął z wozami. Mienił się stryjecznym bratem moim. Skłamał. Wbiłem go na pal. Jam Artakhshatra. Odarłem ze skóry jego braci i krewnych. Jam król, syn Daryawuska. Ukrzyżowałem dwa tysiące przedniejszych mieszkańców. Jam sławny, jam wielki i dobry!”

---

Atheneum angielskie podaje nieznanne szczegóły o śmierci słynnego podróżnika Cooka i o stosunkach jego z tubylcami wyspy Sandwich. Tradycye miejscowe zebrane przez misyonarzy opowiadają, że Cook czczony był jako bóstwo, według zwyczajnych w kraju rytuałów. Pomieszczony między dwoma wykutemi z kamienia bałwanami, uwieńczony w kwiaty, przyjmował hołdy i czołobitność ludu. Krajowcy dotąd nie mogą przebaczyć sobie jego śmierci. Dnia jednego gdy żołnierze angielscy złupili świątynią w obecności Cooka, czemu on nie stawiał oporu, jeden z tubylców uderzył go w kark maczugą, chcąc się przekonać, czy był rzeczywiście bogiem. Cook jęknął boleśnie. Słyszac to lud zamordował go z gniewem. Gdyby był bogiem, mó-

wiono, nie uczułyby pocisku. Drogo biedny Cook przypłacił swoje bóstwo!

---

Samuel Longfellow, brat słynnego amerykańskiego poety, wykończył obszerny jego życiorys wraz z poglądem na literackie prace. Będzie to niewątpliwie znakomite dzieło, Longfellow bowiem, sposobiąc się na profesora literatury powszechnej w Haward-College, przebywał długi czas w różnych ogniskach europejskich: Paryżu, Londynie, Rzymie, Florencji i Wiedniu. Znał przytem wiele nowożytnych języków i utrzymywał korespondencją z uczonymi różnych narodowości. Spisywał codziennie wypadki i wrażenia, brakło mu tylko czasu, by uporządkować te zapiski i zamienić je w pamiętnik. Z tak bogatych materyałów łatwo przyjdzie ułożyć, nietylko zajmujący życiorys, ale co więcej obszerny zarys literatury współczesnej.

---

Podczas gdy w Europie odbywają się coroczne kongresa w celu zabezpieczenia własności literackiej, Stany Zjednoczone niechęć słyszeć o żadnych międzynarodowych układach. Silne stronnictwo występuje przeciw nim z całą zaciętością. Interes ludu amerykańskiego, mówią antagoniści, powinien iść przed innemi względami. Owóż lud amerykański pragnie mieć dobre i tanie książki, rząd zatem nie powinien zapominać o tém w układach o własność literacką.

---

# KOCHANOWSKI W PARYŻU.

## WSPOMNIENIE JEDNÉJ CHWILI Z ŻYCIA POETY.

(PRZYCZYNEK DO CHARAKTERYSTYKI OBYCZAJÓW WIEKU  
ODRODZENIA) <sup>1)</sup>.

PRZEZ

*Adama Rządewskiego* <sup>2)</sup>.

Kochanowski przez czas studyów swoich paryzkich, zamieszkiwał w tak nazwaném „Collegium Lombardarum,” przy rue des Carmes, założoném jeszcze na początku XIV wieku przez wspólne siły ludzi bogatych, pragnących przyjść z pomocą uczącój się młodzieży. Do tego kolegium ciągnęty go dwa względy: najprzód, że wykładali tu słynni profesorowie, powtóre, że tu osiedlili się towarzysze jego, Andrzej Patrycy Nidecki, znakomity klasyk, późniejszy biskup wendeński, oraz za polaka już całkowicie uznawany, Andreas Dudicius z Horehovicy <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> Dokończenie.—Patrz zeszyt wrześnieowy, 1884.

<sup>2)</sup> Podług tego należy sprostować omyłkę, jaką popełniono w zeszycie wrześnieowym drukując nazwisko autora mylnie St. Rz. *Red.*

<sup>3)</sup> Wobec gołosłownych twierdzeń autora, piszącego literacki utwór fantazyi bez uwzględnienia dokumentów historycznych, zaznaczyć tu wypadła, iż równém prawem możnaby przypuścić, że Kochanowski uczęszczał do Collège des trois langues, czyli dziś t. zw. Collège de France, założonego przez Franciszka I na wzór Akademii włoskich, gdzie obok filozofii, matematyki i medycyny, wykładano język hebrajski, grecki i łaciński. Kolegium to założone w celach czysto humanistycznych, by studentom Sorbony, trzymającój się scholastycznój metody, ułatwić dokładne poznanie literatury starożytnej, zdobyło sobie w w. XVI szeroki rozgłos w świecie wykładami Vatable'a, Danès'a, a następnie Turneba. Wątpić jednak należy, czy Kochanowski po gruntownych studyach, odbytych w ognisku humanizmu w Padwie, mógł szukać jeszcze uzupełnienia wiedzy klasycznój w Paryżu. Prawdopo-

Młodzież, studując naprzód we Włoszech, nabyła już przez to samo prawa zapisywania się we włoskim konwikkie, a lubo nadsyłane naszemu Janowi środki przez brata Kacpra z kraju, pozwalały mu na wygodniejsze aniżeli w kolegium życie, wszakże młódź ówczesna, nie rozpieszczona wcale, wielkich nie miała wymagań, a w kolegium takiem był zawsze dach pewny nad głową, było łożo, acz nie puchami zastane, ale dla młodego wieku aż nadto wygodne, były i n t r a m u r o s wykłady i siaka taka księżnica, a przedewszystkiem mili towarzysze. Zewnętrznie nie wyglądała taka kolonia studencka zbyt bogato. Mieszkanie na trzecim piąterku, wysunięte na facyatce, gdzie się nasi rodacy miescili, składało się z dwóch nierówniej wielkości komnat, wyłożonych ceglaną posadzką. Pierwsza izba duża była i światła i w niej w guście obozowych legowisk urządzili sobie łoża Patrycy i Dudycz, tudzież do wspólnych studyów znajdował się tu stół wielki, koloru naturalnego dębu, żadną farbą nie powleczoney, świecący, kilka krzesel wyplatanych trzcina, szafa z pułkami na skrypta i książki, z biblioteki królewskiej wypożyczane.

Kochanowski nie ze względu na elegancją, gdyż téj wielkim zwolennikiem nie był, ale ze względu na samotność, jakiej potrzebę często Apolinowe dzieci uczuwać zwykły, urządził sobie przytułek w ciasnój, do owój wielkiej izby przytykającej alkowie, gdzie nieład prawdziwie poetyczny panował. Na malenkim stoliku kartelusze papieru, zapisane drobnem pismem. Tam kupiony u jakiegoś włocho handlarza gipsowy medalion Apolina, ówdzie zardzewiała szpada. Księgi lub pergaminowe wzorzysto malowane rękopisy, rozwarte bądź na stoliku, bądź na krzesłach.

Cały ten kącik przypominał wyraźnie artystę i poetę, ale nie brak tu było także i czystopolskiego narodowego piętna. Nad łożem mianowicie, w złote ramki oprawny, wisiał mały obrazek Częstochowskiej Paniénki <sup>1)</sup>, a pod konterfektem jój ciemnym i jakby zakopczone-

dobnie pociągało go tu raczej życie literackie, rozbudzone wpływem Ronsarda. Czy jednak z nim zostawał w tak bliskich, jak chce autor, stosunkach, rzecz niemniej wydaje się wątpliwą. Gdyby w istocie tak było, pewnie Kochanowski byłby o nim coś więcej napisał nad to: że go widział (Ronsardum vidi... ks. III. El. VIII). Tak się wyrażamy o osobach, którym zdaleka tylko, lub téż w ciągu krótkiego, osobistego spotkania, mogliśmy się przypatrzeć. Że zaś dla niego miał słowa podziwu, to jeszcze nie dowodzi niezego; inaczej należałoby przypuścić, że i z Henrykiem II utrzymywał przyjacielskie stosunki, gdyż w téjże samej Elegii i jemu dłuższy ustęp poświęca. Wreszcie autor myli się, gdy do przyjaciół paryzkich Kochanowskiego i Andrzeja Patrycego zalicza. Gruntowne studjum prof. K. Morawskiego o tym humaniście (Andrzej Patrycy Nidecki, jego życie i dzieła. Kraków, 1884 r.) nic nie mówi o jego pobycie w Paryżu.

*Red.*

<sup>1)</sup> Autor popełnił tu rażący anachronizm. W XVI bowiem wieku

mi farbami namalowanym, nakrzyż na dwóch gwoździach założona gałązka bylicy ze złocistą wierzbiną. Roślin tych, również na obcej jak i na naszej ziemi rosących, nie dostrzega łatwo oko obojętne, ale ten, komu wspomnienie ojczystego kraju głęboko osiadło w sercu, potrafi je dostrzedz, bo one wonią łąk ojczystych do serca jego przemawiają.

Kochanowski, nie chcąc współmieszkańcom swoim snu przerywać, wymykał się przeto bardzo rychło do swojej alkowy, gdzie zażegł kaganek i zrzuciwszy ze stołka nagromadzone tam szaty, siadł i białe swe czoło podparłszy dłonią, w głęboką zapadał zadumę.

Czy myślą po wspomnieniach ubiegłego dnia krążył, czy ku hipokreńskim zwracał się źródłom, trudno to wiedzieć. Wnet jednak mimowolnie przysunął do siebie leżącą na stoliku białą kartę papieru i zaczęła szybko coś pisać. Czy kreślił list do rodziny, gdzie myśl z formą, jaką przybiera, nie rachuje się wcale i płynie jak fala szybkiego potoku? Bynajmniej.

Kochanowski pisał bowiem wiersz i to wiersz łaciński, jeden z najpiękniejszych pod względem formy. Jeśli rzymska mowa była do tego stopnia posłuszną woli poety, to o ileż wdzięczniejszymi tony on się odezwie, jeżeli w polski, rodzinny swój bardon uderzy?

Dwie ćwiartki papieru drobnem zapełniwszy pismem, gdy już jutrzienka do komnaty zaglądać poczęła, przeczytał sobie półgłosem co był napisał.

Musiał snąć utwór ten przypaść mu do gustu, bo się czuł zadowolonym i rzekł cicho:

— To mu przecież podobać się powinno. — I głośno odczytał po raz wtóry ustęp następujący:

Tutaj dał mi się widzieć ów Ronsard wślawiony,  
Co do mowy ojczystej nawiązuje struny,  
Słyszac go, ledwom nie rzekł, że to Orfej wtóry  
Lub Amfion układa siedmiobrane mury,  
Że rzeki zachwyczone pęd swój zatrzymały  
I na głos niesłyszany ruszyły się skały...

— Tak — wyszeptał — to mu przecież podobać się powinno, boć talent każdy o tyle, o ile na nim współczesni poznać się umieją, dostaje nowych sił i nowych skrzydeł do lotu.

Jak pomyślał tak uczynił.

Ronsard otrzymał około południa kopią epistoły do Sygoniusza, jedną z najpiękniejszych co do języka i co do formy elegii łacińskiej

część dla „Częstochowskiej Paniutki” nie była jeszcze zbyt upowszechnioną w narodzie. Stało się to dopiero od połowy XVII wieku, t. j. od najazdu szwedzkiego i bohaterskiej obrony Częstochowy przez Kordeckiego w roku 1655.

Red.

Kochanowskiego, która zachwycała go do tego stopnia, że lubo wieszca polskiego z próbek, jakie słyssał, cenił wysoko, to teraz wielki powiązał dla jego talentu poetyckiego szacunek.

Zaraz więc, po odebraniu listu, nawiedził Jana w owęj szkolnej kwaterze i nie tylko na nim, ale i na towarzyszach jego wymógł słowo, że po upływie tygodnia, wraz z Ossolińskim w jego zamku rodzinnym, zwanym Poissonière nawiedzić go raczą.

Polacy dali słowo, boć zaproszenie było niezmiernie serdeczne, a ten, który je czynił, do pospolitych ludzi nie należał.

\* \* \*

Z Paryża do kraju zwanego Vendôme, droga niezbyt długa, a urozmaicona bujną roślinnością okolicznych łąk. W naszym zimnym i często przez sześć miesięcy mrozącym lub śnieżącym klimacie lato, jakby chcąc kompensaty za chłody dać ludziskom, praży gorącemi słońca promieniami; we Francyi zaś zimy prawda są lekkie, ale też i lata wcale nieupalne: miesiąc lipiec miłém ciepłem tchnąc po kraju, ognistym żarem nie nuży, sił człowiekowi nie odbiera i w żywionej naturze rozkoszować się dozwala.

Wycieczka taka o tyle zresztą miłą bywa, o ile droga przez rozkoszniejsze miejsca prowadzi, a już dolina, nazwana Naux du Loir, ciągnąca się blisko na sześć mil, jest nieustającym ogrodem, naprzemiany z owocowych sadów, z sianożęci i małych poletek ziemi, zbożem obsianych złożona. W dali widnieją murowane wieżyczki małomiasteczkowych kościołków, wioski białemi świecą ścianami, rzeka z zieloną barwą płynie w pośrodku, a ponad tēm wszystkiém niby namiot wspaniały, zawisło niebo błękitne bez chmurki, które atoli zachowuje tę uroczą wiosenną barwę, nie nabierając nigdy koloru opalowego, który suszą matce ziemi grozi.

W samęj głębi i w najbardziej zacisznym kącie rozkosznej owęj doliny wznosiło się rodzinne gniazdo Ronsardów, zamek, zwany la Poissonière.

Ponieważ poeta, Piotr Ronsard, najmłodszym był z sześciu braci, przeto posiadłość ziemską w działach mu się nie dostała, a gdy dwóch braci zmarło jeszcze w niemowlęctwie, a dwóch służbę duchowną przyjęło, przeto zamek stał się własnością Klaudyusza, który się rycerskiem zatrudniał rzemiosłem.

Klaudyusz de Ronsard, w epoce o której mowa, miał już małżonkę ze szlacheckiego domu de Tierreclin i doczekał się z nią potomstwa; ale że usługi przy Henryku II często obecności jego na dworze wymagały, przeto na miesiące całe z żoną, dziećmi i całym taborem gospodarskim przenosił się do Paryża lub Fontainebleau. Jeśli w chwilach takich młodszemu bratu, Piotrowi, przyszła wtedy ochota użyć wiejskiego czasu, w zamku rozporządzał się już wtedy jak gospodarz, a pobożna i w obyczajach swych skromna żona Klaudyusza, Katarzyna, rada była jeśli honor podejmowania szwagra na nią nie

spadał, gdyż szwagier słynął z dosyć swawolnego życia i przyjeżdżając w odwiedziny, przybywał w towarzystwie młodzieży i niewiast, które chociaż z zacnego pochodziły rodu, próżnością powodowane, w poglądach swoich i w trybie życia towarzyskiego, rade przypominały epokę Peryklesa. Piotr Ronsard nie harmonizował też bardzo z bratową i najczęściej rodzinne gniazdo nawiedzał, kiedy był pewny, że tam nikogo nie zastanie.

Zamek Ronsardów nie przedstawiał obronnego kasztelu feudalnego, pozory twierdzy mającego; ale był rozkoszną wiejską siedzibą, otoczoną zielenią i kwiatami, niepozbawioną atoli wieżyc kolczastych i mostu zwodzonego i kaplicy z podziemiami, w których kryły się prochy przodków, tudzież owój majestatyczności poważnej, która świadczy nietylę o zamożności, ile o szlachetnej i dawniej prozapii władców.

Towarzystwo polskie, zdążające do zamku, składało się z czterech młodzieńców: mianowicie Kochanowskiego, przyjaciela jego Ossolińskiego, Patrycego Nideckiego i Dudycza. Wszyscy obyczajem wieku młodego byli weseli i swobodni, w rozmowie ich krzyżowały się dowcipy jak race, a jeden tylko poeta wpadał od czasu do czasu w zadumę, wysokie czoło pod hiszpańskiem o m b r e r o dłonią sobie gładził i nie zważając na gorąco, jakby to było w jesienne chłody, włoski swój płaszcz na piersiach składał i połamami się otulał.

— Ten, który za nas wszystkich czuć i płonać powinien — ozwał się jowialnie Nidecki — podróż jakby ku biegunowi północnemu odbywa, bo lękając się przeziębienia lub kataru, milczy a tylko poły płaszczu ustawicznie na pierś swoją ciągnie.

— Nie znacze zagadki — zawołał, śmiejąc się swobodnie Dudycz — Jan nasz nowe hiszpańskie szaty dzisiaj przywdział i kłopotce się, by żaden pył na drogocenny jedwab nie upadł. A czy wiecie dlaczego?

— No, dlaczegoż? — pytał Ossoliński, który wbrew rozmownemu swemu humorowi, był dzisiaj jakiś zamyślony i milczący.

— Juścić — odpowiedział Dudycz — lubo znakomitego francuzkiego poetę wysoko ceni i szanuje, niemniej przeto, nie sędzę, żeby do niego tak się wystroił. Liczy, że w zamku tym spotka kogoś, kto oczy ma czarne jak ciarki, margrafską pieczętuje się koroną a używa imienia starożytnego, z którym prawodawca nasz niedościgniony Horacy, to igrał swawolnie, to czołem bił przed niem, wszystkie cechy niewolnika biorąc na siebie.

— Mój Andrzeju — ozwał się cierpko Kochanowski — proszę cię też, abyś z imienia, czy ono starożytne jest, czy współczesne, czy mu Horacy czy Tibullus hołdował, igraszki sobie nie robił. Wiem, że masz na myśli Lidyą i mam honor ci oświadczyć, że jeżeli wdział strój nowy, nie stało się to dla nięj, ale dla sławnego poety, który nas cudzoziemców i obcych, w gnieździe swém łaskawie podejmować pragnął.



— Aż i Lidy tam będzie? — spytał zdziwiony Ossoliński.

— Podług wszelkiego prawdopodobieństwa — odpowiedział sucho poeta, jegomość Ronsardus bowiem oświadczał mi, że z damami na wiejski wypoczynek wyjeżdża.

Ossoliński uśmiechnął się jakoś cierpko i zapewne byłby niezbyt pochlebną, co do obyczajów francuskiego wieszczka wzmiankę uczynił; ale na uwagi czasu było już mało; gdyż ze strażnicy wieżowej zbliżających się gości dostrzegł herold czy odźwierny i w róg myśliwski czy wojskowy uderzył. Most zwodzony z trzaskiem i brzękiem łańcuchów spadł na fosę i odkryta kolasa przybyszów, zatoczyła się na wybrukowany zamkowy dziedziniec.

Front siedziby stanowiła czworokątna, małemi, jak gniazda jaskółcze na rogach zdobna wieżyczkami, czteropiętrowa baszta, której odrzwia bogato marmurami i gipsową sztukaterią wykładane, wznosiły się na wysokości dwunastu z ciosowego kamienia stopni i tworząc głęboką niszę, formowały rodzaj ganku, na którym francuski poeta z odkrytą głową przybycia przyjezdnych czekał. Skoro ich zobczył, z niekłamana zawołał radością:

— A bywajcie-że mi, bywajcie, wy postokroć mili i potysiąckroć oczekiwani. Dzięki wam, żeście danego słowa dotrzyмали i że do owiej wiejskiej głuszy przybywacie.

A zątem Ossoliński, jako to był już człek u dworu wypróbowany i w komplementach biegły, pierwszy z kolasy wyskoczył i w grzeczności nie dając się wyprzedzić zaraz odpowiedział:

— Zaproszenie największego z francuzów jest dla nas prawdziwym honorem; przypuszczać więc nawet nie można było, że na tej ziemi obcy i cudzoziemcy zaproszenia jego nie chybiny.

Ronsard ściskając ręce przybyłych, w miarę ich dobywania się z telegi, mówił:

— Cudzoziemcami a obcymi przecież nie jesteście, wy, którzy ze szlachetnego polskiego pochodzicie narodu.

— A toż jakim sposobem? — zapytał rezolutny i zawsze do głębi rzeczy pragnący najpierw dotrzeć Patrycy Nidecki.

— A no, zuchu mój, w sposób bardzo prosty. Może bowiem nie wiecie o tém, że ród mój właśnie z krwi słowiańskiej czerpie swój początek.

— W łaskowości swój — wtrącił Kochanowski — Mitość Wasza schlebiać nam raczy, aby tém wygodniej skłonność wspaniałego serca swojego ku nam wytłómaczyć.

— Ależ, bynajmniej — odpowiedział poeta — i ponieważ śniadanie zapewne nie zaraz nam podadzą, a damy prawdopodobnie zupełnie gotowe jeszcze nie są, przeto pokażę wam główne ciekawości siedziby tej, gdiem ujrzał światło dzienne, aby wam tém wymowniej prawdę słów moich stwierdzić.

— O jakichże damach mówi Mitość Wasza? — zapytał ciekawie Ossoliński, a Kochanowski żywym splotnął rumieńcem.

Ronsard spostrzegłszy szkarłat wykwitający na policzkach poety odrzekł:

— Spójrz na ową barwę róż i na ów rumieniec wieszczą waszego, a dopytywać się szczegółówiędz nie będziesz!

— Owóż, może wam, drodzy moi goście nie wiadomo, że jeśli plemię wasze pokrewieństwo uczuwa z temi ludami, które mieszkają nad Dunajem, na pograniczu między Węgrami a Bułgarią, tam ojcowie i przodkowie moi mieli dawniej swoje posiadłości i tam się rozrodzili. Zwali się oni wtenczas Rossart, czy jednak w papierach starych i w odczytywaniu tego nazwiska nie ma omyłki, utrzymywać nie śmiem. Wiadomo tylko, że w czasie wojen Filipa VI, króla francuskiego z Edwardem III angielskim, jeden z członków téj rodziny przyszedł tu z gronem dzielnych słowiańskich rycerzy i na usługi kraju wycieńczonego wojnami się zaciągnął.

Zagłębiwszy się w owo wspomnienie rodzinne, dał się już unieść zamięłowaniu swemu do rymów:

Il s'employe si bien au service de France,  
Que le Roy lui donne des biens à suffisance  
Sur les rives du Loir; puis, du tout oubliant  
Frères, pères et pays, Français se mariant  
Engendra les ayeux dont est sorti le père  
Par qui je vy ceste belle lumière.

Kochanowski podszedł do niego i ścisnął mu rękę z uczuciem i serdecznością.

Ronsard, biorąc pod rękę Kochanowskiego, prosił gości dalej z sobą dla pokazania im swego rodzinnego gniazda. Postępując zatrzymał się przy bramie wjazdowej, gdzie mistrnie w gipsie wyrobione były herby rodziny i objaśniał:

— Te trzy ryby, które rzędem jedna pod drugą na tle błękitnym widzicie, od niepamiętnych czasów herb rodziny naszej stanowią, a poławiają się podobno jedynie w Dunaju i w języku tamtejszym ross się zowią.

— Płocice po polsku — zawołał z radością Kochanowski i zaraz dodał dalej po francuzku:

— Znam je dobrze, gdyż nieraz za lat mych pacholących pełne ich zanadza z rzeki do kuchni macierzyńskiej nosiłem.

— Napis na herbie w otoku, mówił Ronsard dalej: „Non fallunt futura merentem,“ oby był dobrą wróżbą dla jednego z potomków tego rodu i oby na nim przynajmniej w dziesiątej części jego gorliwych chęci sprawdzić się raczył!

— Mistrzu, zawołał z zapałem Kochanowski — dziś cię współczesni zowią „le roy des poètes,“ czyż więc może być cześć od narodu większa?

— Lubo dalekie wędrówki w młodych swych latach robiłem —

rzekł na to Ronsard — niestety jednak los mi nie pozwolił dotrzeć aż do kraju waszego. Słyszałem atoli, że wy wolność ponad wszystko ceniąc, do znaczenia majestatu królewskiego wielkiej nie przywiązujecie wagi. Jeżeli więc znaczenie wyrazu książę, princeps, jako najpierwszego i najprzedniejszego może być uważanem, ty więc, mój Kochanowski, księciem poetów winienesz być nazwany w swojej ojczyźnie.

— Oby proroctwo wasze, mistrzu, ozwali się na to Dudyecz i Nidecki jak najprędzej się spełniło. A Ossoliński nie dwornym już tonem, jak to u niego w częstym obyczaju bywało, ale z całą szczerością i zupełnym zapalem zawołał:

— Stanie się, boć nikt chyba w takim stopniu, jak nasz Jan ukochany, ulubieńcem Pieryjskich panienek nie jest.

— Nietylko Pieryjskich bo i ziemskich — wtrącił rubasznie Ronsard i zaśmiał się głośno, a widząc, że Kochanowski jak dziewczeczka się płoni, dodał w guście nauki i tonem starszego brata:

— I ja nie wątpię, że to, co nasz kochany hrabia powiada, niebawem się spełni, jedną tylko, młodzieńcze, przyjm od starszego przestrożę, przestrożę, którą już raz przy pierwszym poznaniu miałem odwagę ci zrobić. Ukochaj nadewszystko język swój rodzinny a o łacinie zapomnij.

— Oh, drodzy moi, — rzekł Kochanowski rozczulony i na wsze strony przyjaciołom ręce ściskając — azaż ponad mowę ojczystą jest co dla mnie droższego? Ależ trudno, będąc między ludźmi, którzy języka naszego nie rozumieją, trzeba się do powszechniej uciekać łacinę

— Ależ kończmy te oględziiny, tam bowiem na nas i towarzysze i damy czekają.

— Jacyż towarzysze? — zapytał Ossoliński.

— W charakterze sąsiada jeden tylko Du Bellay u mnie od kilku dni bawi — odpowiedział gospodarz.

— A tenże młodzian De Baif? zapytał Kochanowski.

— Czy radbyś, Wasza Miłość — rzekł Ronsard, żeby spór między wami, dzięki niegrzecznej jego inicjatywie i tutaj jeszcze się odnowił?

I nie czekając już na odpowiedź, dalsze osobliwości zamku pokazywał.

A było tam rzeczywiście wiele do widzenia, pomijając bowiem dwie czteropiętrowe baszty, herbami i sentencyami łacińskimi ozdobione, zastanawiała kaplica, przybrana bogato w złocenia i płaskorzeźby, dalej napisy nad oknami, gdzie rozmaite się spotykały sentencje, a najczęściej powtarzała się „Veritas filia temporis.“ Ponad oknami sali zabaw: „Valuptati et gratiis,“ a nad kuchnią „Vulcano et diligentiae.“ Obok kuchni szła zaraz śpizaranja z napisem „Custodia dapum,“ oraz dwie piwnice: jedna ze słowami „Vina barbara,“ druga zaopatrzona przestrożą dla amatorów wiu krajowych: „Sustine et ab-

stine.“ Do głównego korpusu pałacowego dotykały prawie stajnie, składy paszy dla koni, bażantarnia, kurniki i wszystkie te maszyny, które życie wiejskiego szlachcica w ruch wprawiać zwykły.

Kiedy minawszy gospodarskie to obejście do ogrodu wkroczyli i kiedy od starych buków świeżość i chłód parku na nich powiały, z ciemnego gaju wiązów z leszczyną splełanych wyszła do nich postać niewieścia, której ani Ossoliński ani nawet Ronsard nie poznał, ale którą odgadł Kochanowski, rękę bowiem z pod ramienia gospodarza wysunął, mimowolnie zdjął z głowy hiszpański kapelusz i z fantazją albo może niewytłomaczoném jakimś nerwowém drżeniem, czupryny swojej poprawiał.

Była to Lydya, a czy przez kokieterią, wiedząc że jój to do twarzy, czy téż dla zastosowania się do miejscowości, w której gościnę chwilową przyjęła, ubrała się w strój wieśniaczek tutejszych. Bujna więc jój kosa rozpleciona i składkami warkocza skarbowana spadała na plecy, spódniczka biała, kolorowemi wstęgami obszyta sięgała za ledwie niżej kolan, odkrywając nóżki jak utoczone, ubrane w ponsowe pończoszki i w drewniane lekkie saboty, które po wyschniętej uliczce ciągnąc, brząkała niemi jakby grzechotnik. Na rozpuszczonych jój czarnych jak kruk włosach w olbrzymią kokardę uwiązana była purpurowa, świetnie odbijająca wstęga, a śnieżystej białości koszulka, kłócąca się barwami z alabastrową matowością jój szyjki, gubiła naturalne swe draperye w przetykanym złotemi nitkami gorsecie.

— Witajcie zacni przedstawiciele szlachetnego narodu, wołała zdala i podawszy im wszystkim do uściśnienia po kolei drobną rączkę, sięgnęła po kwiaty do koszyczka, jaki zawieszony na lewej ręce miała.

Ronsard tymczasem, obowiązki gospodarza pełniąc, Nideckiego i Dudycza margrabiance przedstawiał, a ona śmiejąc się i szczerząc drobne swe ząbki, mówiła.

— Nazwiska wasze dziwnie brzmią i do spamiętania są trudne, dlatego téż o nic nie stoję i cieszę się tém, że wszyscy jesteście signori polacchi i ziomkowie tego muz ulubieńca, który przy pierwszym poznaniu tak nas oczarował. — A gdy przedstawieni się kłaniali, ona tymczasem przebierając w koszyczku szczebiotowała dalej:

— Za łaskawe i posłuszne przybycie wasze do wiejskiej pustelni na nagrodę zastugujecie, a cóż wam innego wieś jak kwiaty ofiarować może? Wam więc panowie, którzy mądrości żywot swój ślubowaliście, rzekła do Nideckiego i Dudycza, najwłaściwiej purpurowa róża przystoi, boć kolor czerwony jest kolorem mądrości. Wam zaśię słodki poeta, ofiarowałabym chyba jedynie bluszcz, dla czoła waszego najwłaściwszy, lub za to żeście tak pięknie na cześć Bacha nucili, winną latorośl. Gdy atoli w koszu moim roślin bez kwiecia niema, przyjmijcie więc tę oto liliję, której aromat jest równie silny i upajający jak wasze rytmy.

Obdarowani kłaniali się głęboko i każdy radby był otrzymany kwiat na najwidoczniejszym miejscu na piersi swój umieścić, że jednak

przy stroju włoskim i hiszpańskim nie było wielkich petli do guzów, a tylko haftki i knaflę, przeto Lidya, aby kłopotowi temu zaradzić, wyjęła z gorsetu kilka śpilek i kiedy niemi różę Nideckiemu i Dudy czowi przypięła, zbliżyła się następnie do Kochanowskiego.

— Jeśli łaska Waszój Miłości — szepnął Kochanowski — przypinajcie ją, Mościa margrabianko jaknajbliżej serca.

— I dlaczegóż to? — zapytała z uśmieżkiem figlarnym, a kiedy Kochanowski, zamiast odpowiedzi westchnął tylko zlekka, ona w ciężką, grubą lamę z trudnością śpilkę wbijając, dodała:

— U nas powiadają, że ten, kogo przy stroju ukoła, niezawodnie podobać się musi. Czy Waszmość tegoby pragnał?...

— Z warunkiem atoli, żeby to odnosiło się do tój, która ranę zadała.

— Ale rana każda boli, a w serce zadana cale już jest śmiertelną?

— Oh! serce to biedne nie lęka się dzisiaj delikatnej śpilki, bo już je na wylot strzała synka Cyteryjskiej bogini przeszyła.

— No proszę, i od jakże to dawna?

— Czyż potrzebujesz pani pytać o to? Czyż nie wiesz, czyje to piękne oczy przed niedawnym czasem Amor za siedlisko wybrał, żeby na mnie biednego i obcego tutaj zasadzkę uczyniły?

Dziewczyna zapłoniła się nieco, ale nie tracąc zwykłej takim czarnobrewym paryżankom rezolucności, dodała:

— Czyż obcym zowiąc się między nami, nie wyświadczasz nam Waszmość krzywdy?

Kochanowski, wstąpiwszy już raz na odwagę wyznań, byłby niezawodnie daleko otwarciej afekt swój wyznał, ale podszedł do nich Rousard z Ossolińskim. Ossoliński, widząc jak uprzejma Lidya gości przybrała, nie chciał pozostać upośledzonym i zawołał:

— A mnież to z pięknych rączek żaden dar nie spotka? Aż na nagrody zasługują ci tylko, którzy Minerwie a Apollinowi służby swoje oddają?

— Owszem i dla was, Mości hrabio — odpowiedziała Lidya, w koszyczku swym przebierając — jest tu także podarek odpowiedni. Oto ten, szkarłatem świecący irys — rzekła, kwiat odpowiedni z koszyczka dobywając — dla Was, jako dla tego, który zapewne na polu walki liczne tryumfy otrzymywać będzie i jako mąż stanu nawą państwową kierować, symbol to najodpowiedniejszy.

— Ależ łodyga jego szorstka, oścista i niemal raniąca, dla czegoż raczej równie miękki, delikatny, a wonny dar nie spotkał mnie jak tego szczęśliwego poetę?

— *Suum cuique* — odpowiedziała śmiejąc się dziewczyna i do przyśpiania Ossolińskiemu grubój łodygi irysu się zabrała.

Rousard tymczasem naglił, aby koniec zabawom tym sielskim położyć i przypominał, że goście zdrożeni więcj jadła anizeli kwiatów się domagają.

— Ach! mój Boże! — zawołała zgorszona Lidya — taki przedni poeta i tak ustawicznie ze słodkiego kastalskiego źródła pojoży, o marnych ziemskich potrzebach ustawicznie myśli. Fe! wstyd i zły przykład dla tego, kto w takim zachwycie lilią swą się pieści.

I przy tych słowach wskazała na Kochanowskiego, który ginął w pewnej zadumie i w nieokryślonym bliżej zachwycie.

Ronsard się zaśmiał, a gdy ten śmiech poetę polskiego z zadumy rozbudził, figlarka z uciechą klasnęła w dłonie i poleciwszy mężczyznom iść do jadalnej sali, sama w gęsto drzewami ocienioną uliczkę jak lekki ptaszek fruwała.

Gościna w zamku la Poissonière trwała całych dni cztery, a dzięki uprzejmości gospodarza, dzięki pięknym paniom, które do wysokości wykształcenia i pojęć zebranego towarzystwa się dostrajały, dzięki wybornym winom starzej piwnicy i umiejętności zamkowego kucharza, była jedną rozkoszną chwilką. Wdzięku przedewszystkiem dodawał jej wiek młodzieńczy zebranych, ich skłonność do bujania w sferach prawdziwej poezji i sztuki i cudowna natura, jaka ich otaczała dokoła.

Do swobody studentów na wakacjach, łączyli oni swą poufałość z Pierydami i Apollinem, a dwie niewiasty, jakie w uciechach ich brały udział, zdawały się im ziemskiem muz ucieleśnieniem.

Jadalna sala, zdobna przepyszny kominem, jaki się jeszcze do dnia dzisiejszego w Poissonière, jako jeden z najpiękniejszych zabytków renesansu dochował, słyszała nie tylko wznoszone przez nich wiaty, nie tylko woń potraw korzennych, ale jeszcze wspaniałe wiersze Ronsarda, co przedniejsze łacińskie Kochanowskiego elegie oraz deklamacye dwóch sióstr, które chętnie zamiłowaniem swem w starożytnych poetach z gośćmi się dzieliły i kiedy Kassandra szczególniejszą predylekcyą miała dla Homera i z pamięci po całych godzinach zdolna była groźbami imienniczkimi swój miotać lub płakać z Andromachą i Pryamem; Lidya natomiast wobec Kochanowskiego na Dydonę pozowała, lub ze swawolnym Horacym na cześć miłostek i wina słodko brzmiące strofy nuciła.

Wieczorem następowała przechadzka do sąsiedniego lasu, obcowanie z naturą uroczą, a wonną i zdobienie sobie świata wszystkiemi ułudami, jakie dawały wspomnienia wieszczów starzej Hellady lub Rzymu i własny duch ustawicznie ku wyżynom sięgający.

Oprócz tego, jeśli inni goście w wiejskiej tej zaciszności i w uprzywilejowanym muz przybytku, mimowoli nawet rozkoszować się musieli, dla Kochanowskiego istniał tu czar jeszcze większy. Czuł on bowiem coraz więcej, jak z każdym dniem miłość bierze go w swoje kręgi, a lubo uczucie to mieści w sobie także pewne przykre strony, jednakże w boleściach swoich nawet jest rozkosznie i zdaje się jakoby podlegając mu człowiek, poraz drugi na świat się rodził i żywot jego nowymi barwami się wdziękami.

To zaś uczucie tęp przyjemniejsze wywołać musiało sensacye,

że od chwili wstąpienia w gościnne progi, zgadywał Kochanowski, że przedmiot jego westchnień krzyw mu nie jest, a z dniem każdym prawie odradzające się jego wdzięki, unosiły go w sfery rozkoszne, naziemskie, gdzie tylko bezwzględna piękność i bezwzględna miłość panują; lubo więc po ziemi stąpał, zdawało mu się, że jest w niebie.

Zaraz pierwszego dnia pobytu miłych owych gości, Dudycz a Nidecki wygadali się, że Jan często zwykł po nocach siadywać i że wtedy, kiedy inni śmiertelnicy snem błogosławionym chrapią, on zwykł kuć rytmy i niepomy na pokrzykiwania koguta, czuwa aż Faeton wozem swym złocistym na stropy niebieskie wjedzie.

Opowiadania podobne, mające na celu przyjacielskie zadrwienia z poety, podsunęły Lidyi myśl, za którą niezawodnie wieszcz nasz musiał być wdzięczny. Zastępując gospodynią domu, przeznaczyła dla poety pokoik oddzielny, w którym mógł tworzyć, mógł marzyć, a nawet, skoro uczucie piersi mu nader podnosiło, mógł wyjść do ogrodu i tu w chłodzie nocy i w świeżości natury szukać uspokojenia i ochłody.

Za prawdziwie niewieścią troskliwość, pieczołowitość i domysłność, nie tylko Kochanowski ale i polska potomność wdzięczność wyznawać jej musi, gdyż wśród tych samotnych a bezsennych nocy powstały najpiękniejsze jego łacińskie utwory, a mistrz nasz żył podówczas życiem przyspieszonym i niemal podwójnym. Źródło natchnienia przez swą ekscytującą i twórczą siłę na uznanie zasługuje i dla nas pamięć figlarniej Paryzauki wdzięczną być nie przestanie.

Wśród takiego nastroju umysłu wykończył Kochanowski utwór, zaczynający się od słów: „Quid causa esse putem nullum quod lumina somnum admittunt“ i przypuszczając, że utwór ten męki jego zdolen jest odwzorować, postanowił go przedmiotowi uczuć swych do rozpatrzenia wręczyć.

Szczególniej podobał mu się ten ustęp:

Zkąd ta bezsenność nad memi oczyma?  
 Zkąd te dni długie, nocy niespożyte?  
 Dlaczego nigdy wypoczynku nie ma  
 Ciało znękanе i serce rozbite?  
 Toć nie jest febra, ni insze niezdrowie,  
 Toć się nie dzieje ni skwarem, ni chłodem,  
 Cierpienie moje miłością się zowie.  
 Tyś krasawico tych bólów powodem!  
 O tobie mówię, ujęty tęsknotą,  
 O tobie marzę, dla ciebie to znoszę,  
 Przebacz mi, przebacz, zaklinam cię o to  
 Na łuk Kupidów, na serca rozkosze!  
 Zżał się nademną a osłodź gorycze,  
 Nie daj mnie w pastwę dla marnych kłopotów,  
 Może jak Orfej łańcicj leśną dziecę,  
 Niż twoje serce ugłaskaćbym gotów...

Po przeczytaniu wynurzenia te trafiły do przekonania poety, przepisał więc je charakterem czytelnym i na drugi dzień, kiedy się przy ranném spotkał śniadaniu, wręczył skrypt w ćwiartkę złożony Lidy, z prośbą, aby to przejrzeć raczyła i po przejrzeniu, na podstawie wysokiego swego znanstwa poezyi, powiedzieć zechciała, co o nieudanej tój próbie trzyma.

Figlarna i sprzecznna natura dziewczyny domyślić się musiała, że zapewne tam zupełne wyznanie, które jak deszcz w wezbranój chmurze na ustach poety, od chwili przybycia jego tutaj zawisło, musi być zawarte i za swoją zdolnością do przekomarzania się idąc, chciała się jeszcze podrożyć i dlatego rzekła:

— Miłościwy panie mój, o talencie waszym tak wysokie mam rozumienie, że gdzież ja biedna i słaba białogłowa na sędzię w takich sprawach podawaćbym się miała? sądziłabym, że raczej powierzyć to należy naszemu Ronsardowi, którego wyrok przecież stanowczy już będzie.

W sąsiedniej komnacie słyhać już było kroki gości schodzących się na śniadanie, Kochanowski więc drżał cały, a podając papier do rąk nielitościwiej piękności, szeptał:

— Nie przeczę, że Ronsard byłby tu sędzią całę kompetentnym a nawet może nie bardzo surowym, wszelako... pragnąłbym, aby twoje piękne oczy, pani, najpierw na tym karteluszu spoczęły.

Wzięła więc karteluszu ów szybko z rąk Kochanowskiego, szepcząc w cichości:

— Nie wiem, czy zdanie moje waszmości na co się przyda, wszakże, z całą szczerością dzisiaj wieczorem je objawię.

Dzień przeszedł zwykłym trybem i lubo Lidya jak zawsze grzeczną i uprzejmą dla niego była, rozmowy jednak z nią unikała, a natomiast chętniej się do Ossolińskiego zwracała.

Pocziwy Hieronim zdziwił się niepomału, że zapytania margrabianki są mniej więcej tój samój natury, jakie do niego zwracał niedawno de Baif a głównie do stosunków Kochanowskiego, do jego zamożności i majątkowych środków się odnoszące. Ze Kochanowski dla pięknej dziewczeczki płonie strzelistym upałem, to oczu Ossolińskiego nie uszło bynajmniej, a ponieważ miłość tę uważał za fantazją przelotną, nie obowiązującą do niczego, a mogącą umilić pobyt na obczyźnie, z wrodzonego nadto samochwalstwa polaków, naturalnie o przyjacielu swym wydał jak najlepsze świadectwo; zrobił go magnatem z dziada pradziada i napomknął o wielkich dostojenstwach i godnościach, jakie go za powrotem do kraju czekają.

Lidya upajała się tym hymnem tryumfalnym i od czasu do czasu zpod oka rzucała pełne zadowolenia spojrzenia na piękną a ożywioną twarz Jana, który tymczasem o czémś z Ronsardem z przejęciem się rozprawił. Czy wieści te jój były potrzebne dlatego, że stosunek swój do wieszczki polskiego hymnem chciała uwieńczyć, czy już ogólnie bogactwo a zaszczyty młodą jój główkę przewróciły i do uję-



cia mar znikomych pchały, trudno wiedzieć. Dość, że po tój z Ossolińskim rozmowie, afekt, który i tak już istniał w zarodku a na wzajemnej sympatyj i uznaniu wielkiego poetycznego talentu, wyraźnego w młodzieńcu polegał, teraz zaczął zamieniać się na silny, a istotę jój trawiący płomień. Wśród innych towarzyszków jego tylko okiem ściagała, a kiedy zmierzch nocny w polnej ich przechadzce zapadł i las cieniasty jeszcze więcej tajemniczości wyrazowi ich twarzy i nawet i postaciom nadał, niby niechęć znalazła się obok Kochanowskiego i drobną swą rączkę pod jego ramię wsunęła.

Kochanowski drżał z rozkoszy i szczęścia i słowy równie lekkimi jak ów wonny zefirek, co wiał wśród dąbrowy, wyszeptał:

— A więc słowa me u Miłościwej Pani łaskę znalazły? a więc śmiałości mój za złe nie bierzesz? a więc ukoić zechcesz rany, które pod wpływem spojrzenia twego w sercu mojem się otworzyły i pozwolisz mieć nadzieję, że gojącego balsamu na nie się doczekam?

Czy mam między najszczęśliwszych się liczyć, czy też czarnej rozpaczy, a za nią i śmierci dostępu do duszy swojej dozwolić?

— Lidy! — zawołała Cassandra z drugiego końca szeregu spacerujących, a wezwana natychmiast do siostry pobiegła.

Zbytecznym byłoby dodawać, że reszta wieczoru: wspólna z przyjaciółmi wieszera, twórczość Ronsarda, rozwinięta dziś wspaniałej aniżeli dni innych, deklamacya Kassandry, nie wywierały na Kochanowskiego owego błędnego zachwyty, jakim zawsze przy fetach podobnych zwykł się być przejmować. Milczał, myślą gdzieindziej gonił!

Ponieważ Ossoliński do powrotu do stolicy naglił, ułożono tedy, że jutro o swicie goście w drogę ruszą, z damami przeto dzisiaj już należało się pożegnać, Ronsard bowiem sam postanowił odprowadzić gości do granicy posiadłości swoich.

Stosunek, jaki się podczas tój wycieczki wytworzył między Kochanowskim a Lidyą, oddziaływał bardzo szkodliwie na poetę naszego, który, stanawszy w Paryżu, wyczekiwał powrotu swojego bóstwa, a gdy je powitał, zaprzął się w najlepszej wierze do jego rydwanu jako najpowolniejszy sługa, gotów do wszystkich ofiar nietylko materialnych — o ile go stać było na nie, — ale i umysłowych, które w najpiękniejszych elegiach do rąk przebiegłej, więcej błyskotek aniżeli uczuć chciwej damy swojego serca składał.

Fortuna jego nie mogła jednak sprostać nie milkącym żądanom kapryśnej humanistki, która, rozbierając przedstawione jój elegie w sposób najzimniejszy, pożądała złota — złota — i złota; gotowa przenieść nad naszego poetę każdego, kto by jój fantazye mógł i chciał zadawalniać.

Te okoliczności nietylko utrudniły naszemu poccie położenie materialne, ale trapiły go i moralnie, tak, że towarzysze jego, widząc tak zatrwającą w nim zmianę, a nie mogąc przy największej usilności wpłynąć na niego, aby się z tych więzów oswobodził, zamyślali już napisać do matki, którą Jan z nadzwyczajną tkliwością ko-

chał, czczył i szanował, aby przez nakazanie mu powrotu do Polski wyrwała go z tej przepaści, w której z każdym dniem głębiej tonął.

\*  
\*  
\*

Pewnego dnia wpada Ossoliński do kwatery, którą zajmował nasz poeta, wielce zakłopotany i poruszony. — Zastał tu Nideckiego i Dudycza, a z nieobecności Jana może i rad był, gdyż wśród największego wzruszenia zapytał:

— No i jakże Jan się miewa?

— Żle, bardzo źle — odpowiedział ramiona podnosząc Nidecki — wychudł jak szczapa, a melancholik stał się już taki, że ani słowa z niego nie wydusić.

— Nie lękajcie się — wtrącił zawsze pewny swego Dudycz — kryzys przechodzi, gorączka minęła i ospa zda się przejdzie niebawem.

— Oh! bo mu też siły dziś więcej aniżeli kiedyindziej potrzeba — szepnął tajemniczym jakimś głosem Ossoliński.

— I dla czegoż to? Czyżby mu jakie groziło nieszczęście? — zapytali obadwaj przerażeni.

— Nieszczęście i wielkie — była odpowiedź — matka jego rozstała się z tym światem.

— Nie może być?! — zawołał przestraszony Nidecki.

— Tak ci jest — odpowiedział Ossoliński. — Dziś z dworu polskiego przybył kuryer, przywiózł mi list i tam wiadomość ta właśnie jest wypisana.

— Biedny Jan — rzekł głową potrząsając Nidecki — a on właśnie tak macierz swą miłował, jakby jaką świętą, jakżeż mu to będzie do zniesienia trudnym.

— Hm, klin klinem szepnął na wszystko z praktycznej strony zapatrujący się Dudycz — najlepsza to pono lekarska metoda.

— Ale, przez Bóg żywy — mówił Ossoliński — luboby mu teraz do kraju coprędzej pospieszać należało, boć to i w działach rodzinnych dopilnować się trzeba; wszelako należy ciężką tę wieść przez pewien czas w tajemnicy zatrzymać i powoli do smutnej nowiny go przygotować.

Kiedy tak rozmawiali ze sobą nadszedł Kochanowski, blady jak ściana, a z pod hiszpańskiego kapelusza oczy świeciły mu jak karbunkuły gorączkowym jakimś blaskiem.

— A i Wasza Miłość przecie tu zajrzeć raczyłeś? — przemówił Kochanowski szyderczym tonem do Ossolińskiego, przypuszczać muszę, że to zapewne wyłącznie tylko dla towarzyszków moich; jam bowiem rozpustnik, marnotrawnik, koster, dawno miłość jego straciłem.

— Mylisz się mój Janie, przemówił postępując krok ku niemu Ossoliński i rękę jego ujmując. Jeżeliś był kiedykolwiek dla ciebie surowy, to wierzaj mi było to dla własnego twojego dobra. Gniewało mnie, że bawiąca się tobą swywolna dama humanistka ze szkodą

naszą wyłącznie cię zajęła i chciałem wszelkimi siłami przed tém niebezpieczeństwem, przed tą przepaścią cię ostrzedz.

— Nie mówmy o tém — rzekł na to, machnąwszy ręką Kochanowski—pogardzono czystym moim i szczerym sentymentem, na złoto, na nędzny kruszec go wymieniano. Oh! teraz coprędzj tylko do siebie, do kraju, do Polski!

— Jakiż zacny duch przez ciebie, Janie mój, przemówił—zawołał uszczęśliwiony Ossoliński—a więc pakuj manatki, ja także wydania swoich credentials zażadam i za kilka dni najdalej będziemy obaj w drodze ku naszym granicom.

— Tak, łatwo to powiedzieć—rzekł poeta tonem gorzkim—wracać, ale jak?

— Jakto jak?

— Tutaj na uwięzi długi mnie trzymają i choćbym nawet nie liczył tego, co tobie winienem, przypuszczam bowiem, że co do tego za powrotem z ojcowizny się swojej uiszczę; ale tu mam długów kilka tysięcy liwrów i póki ich nie wypłacę ruszyć mi się z miejsca nie wolno. Kiedy to zaś nastąpi, ja nie wiem, a takbym prędko chciał uciec z miejsc tych przeklętych...

— Wszakżeż nie wątpisz o tém, mój Janie, że fortuna Ossolińskich starczy, aby należności podobne pospłacać. Daj więc rachunki a wszystko ureguluje się uczciwie i po Bożemu...

— Jakto? — Wszakżeście mi mówili, że bez grosza jesteście?

— Bez grosza zapewne, jeżeliż on miał iść na fatałaszkę dla francuzkiej jakiejś damy, jeżeliż zaś chodzi o to, żeby poetę polskiego Polsce powrócić, na to jeszcze dostatku dowoli się znajdzie.

Kochanowski spojrział na niego dziwnie, gdyż we wzroku jego był wyrzut i żal. Wszakże umitygował się prędko, w oku jego łza rozrzewnienia się zakręciła i ścisnąwszy mocno Ossolińskiego prawicę, wyszeptał tylko:

— Dzięki ci, dzięki — tyś praw...

— A więc pozwól—mówił Ossoliński rozrzewniony również—że dzisiaj z wami przez resztę wieczora pozostanę.

I szukając kapelusza, miał się już ku wyjściu, Kochanowski atoli zatrzymał go i mówił:

— Pozostać możesz i owszem będę ci za to nieskończenie obowiązany. Co zaś do rozrywki towarzyskiej, to ja wam dzisiaj służyć nie mogę; ja tak się czuję z nóg ścietym i niezdrowym, że na chwilę na łożu mém spocznię i wczasu, którego dawno nie zażywałem, poszukam.

Że ta żelazna i młodzieńcza organizacya pod wpływem jakiejś niemocy się uginała, to było widoczném.

Kochanowski zaledwie do wczgłowia się przyłożył, zaraz snem twardym i ciężkim zasnął. Jak długo w nim przebywał, sprawy z tego zdać nie umiał, kiedy się jednak obudził, ciasną komnatkę jego zupełna zalegała ciemność, przez drzwi tylko przymknięte wpadała

struga światła jasnego, oraz dolatywały głosy towarzyszków, które jakkolwiek przyciszone ze względu na jego chorobę i spoczynek, czasami jednak strzelały w głośniejszym jakimś wykrzykniku, którego w wieku młodzieńczym jest tak trudno uniknąć.

Gwary te jednak poety nie raziły wcale, bodaj z tego względu, że w polskiej odzywały się mowie, a ta mowa tak cudnie łączyła się z widzeniem, jakie co tylko nawiedziło go we śnie głębokim. Śniło mu się bowiem, że jako duch lekki unosi się nad krajem, w którym nie widzisz murów, nie widzisz olbrzymich budowli z kunsztownie ciosanych kamieni układanych, ale pszenica na bujnym łanie się złoci, z łąki jak kobierzec wzorzysto tkanéj, ulatuje woń odurzająca, a nad kielichami kwiatów zwieszają się brzęczące pszczołki miodnej słodyczy chciwe. W dali ciemny bór sosnowy, poważnemi konary się kołysze i w szmerze gałęzi szle jakieś przejmujące do głębi żywiczne wonie, a zdala z horyzontu wystrzela kopułka drewnianego kościółka i sygnaturka z niej również jakby pszczołka brzęczy. Ponad tém zaawisto niebo lazuruwe lekkimi siwemi przetykané chmurkami i zdala dolatuje napoły tęskna, napoły skoczna nuta małopolska. W atmosferze téj pierśmi swobodno, ramionom lekko, duchowi błogo i radby zawieszony tak jak skowronek w powietrzu, w jednym punkcie zawisnąć i niwom polskim kwilić wdzięczną nutę. Niewidzialna jednak siła ciągnie go ku dołowi. Zbliża się doń, zbliża i kiedy stopami téj błogostawionéj ziemi miał dotykać, dłoń jego ujęła ręka ciepła i miękka. Obejrzał się i oto widzi niewiastę w czarnej powłoczystéj szacie, w ręce wolnéj z czarnych paciorków różaniec trzyma, a na twarzy jéj powaga i świętość. Spojrzał w te dobrocią nacechowane lica i duch jego się upokorzył, kolana do pokłonu ugięły, bo ta niewiasta, to zająca macierz jego. Głowę synowską z utęsknieniem a uczuciem przycisnęła do swego łona, długo ją na niem piastowała, aż, jakby zmuszając się, oderwała ją od swoich piersi, na czole jego pocałunek złożyła i wzięwszy go za rękę, po owych wzorzysto dzianych łąki kobierzcach, po owych żytem wysrebrzanych i bławatkami przetykanych niwach go wiodła. On milczał, bo uroczyste jakieś uczucie serce jego przepełniało i tylko w oblicze matki od chwili do chwili się wpatrywał. Ona miękka a białą dłonią od czasu do czasu przecierała mu oczy, jakby chcąc mu dokładniejsze przyjrzenie się tym wszystkim wdziękom ułatwić i ręką wolną wskazywała na wszystkie strony horyzontu. Wtém widzenie jako mgła się rozplynęło, a obudziwszy się, usłyszał dźwięk polskiej mowy.

Był jeszcze pod tém wrażeniem, kiedy towarzysze jego, również wspomnieniami ku dalekiemu krajowi uniesieni, zgodnym chórem, lubo przyciszonym głosem zanucili hymn:

Bogarodzico, Dziewico,  
Bogiem sławiona Maryo...

Pieśń ta wywołała takie rozrzewnienie w naszym poccie, że go-

ręciami łzami się zalał, ale te łzy jako balsam łagodząco na niego oddziały i uspokojenie mu niosły. Później wstał, a czując się zdrowszym, podszedł do stołu, woskowy stoczek zażegł i do pisania zasiadł.

Pisał długo i kiedy skończywszy pisać, ułożone wiersze oczami przebiegał, lice jego rozjaśniło się, rozpogodziło i z papierem w ręku wszedł do swych towarzyszków i począł im czytać to, co napisał. Głos jego był drżący ale zarazem metaliczny i silny, a cudne, polskie rymy, jakie się z ust jego wrywały, obijały się jak czarodziejskie zaklęcia o uszy słuchaczy. Był to wiersz, zaczynający się od uroczystej strofy:

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?  
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?  
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,  
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi i w niebie.

# Z EKONOMIKI.

## I.

Kwestyonaryusz Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. — Brak organizacji handlowej rzemiosł u nas. — Skargi warsztatów i kupców z Cesarstwa. — Czy u nas istnieje nadprodukcya wyrobów rękodzielniczych? — Ogniska produkcyi rzemieślniczej jednorodnej. — Czy Warszawa może i powinna być centrum produkcyi rzemieślniczej? — Podniesienie miast i miasteczek polskich przez skierowanie do nich ludności wiejskiej bezrolnej, — i rozwój rzemiosł. — Tworzenie oddzielnych osad szewców, krawców, stolarzy, koszykarzy, ślusarzy, zdunów i t. p. — Cechy. — Niedola rzemieślnika. — Książeczki rachunkowo-służbowe i wspólne kuchnie. — Konieczność obowiązkowej oszczędności dla rzemieślników. — O kasach oszczędności. — Początek ich powstania w Niemczech, Anglii, Francyi, w Cesarstwie i Królestwie Polskiem. — Oszczędność angielska i japońska. — Porównanie oszczędności u nas, w Galicyi i Czechach. — Czy słuszne są utyskiwania na zbytne formalności u nas. — Porównanie formalności w angielskich kasach oszczędności z naszymi. — Wyższość kas angielskich i co u nas uczynić należy. — Zamierzone reformy ministerjum skarbu. — Interwencya Banku Polskiego. — Utworzenie 70 agentur Banku Polskiego i zakres ich działalności. — Spodziewane ztąd korzyści dla Banku i dla pomyślności narodowej. — Czy uzasadnione są narzekania na wzrost cen przedmiotów pierwszej potrzeby. — Zdania Giffena, Laveleye, Leroy-Beaulieu, Soëtbeera. — Indyę wschodnie w roli groźnego konkurenta na rynkach zbożowych. — Gorzelnictwo w Królestwie Polskiem. — Produkcyja w kampanii 1882/3 r. — Ulgi skarbowe w wywozie spirytusu zagranicę. — Zakończenie. — Bibliografia ekonomiki.

Z powodu pewnej stagnacyi w rozwoju rzemiosł, warszawskie Towarzystwo popierania przemysłu i handlu rozesało kwestyonaryusz (wydrukowany także w Bibliotece Warszawskiej za miesiąc sierpień r. b. str. 319 i nn.), z prośbą o wskazanie środków zaradczych i wszelkich uwag, mogących się przyczynić do wyjaśnienia tej kwestyi. Sądzę, że sz. redakcyja zamieści kilka uwag i myśli w tym przedmiocie

skreślonych, w chęci jaknajwyższej dla pomyślnego rozwoju spraw ekonomicznych i handlowych kraju naszego.

Rzemiosła nasze skoncentrowane są przeważnie w Warszawie i zaledwie w kilku innych miastach. Wprawdzie i w innych miastach, miasteczkach i wsiach spotykamy rzemieślników, lecz ci wytwarzają prawie wyłącznie przedmioty dla użytku miejscowego i najbliższej okolicy. Nawet w głównym ognisku, w Warszawie, rzemiosła nie są należycie zorganizowane i dla tego wytwory ich nie mogą służyć za podstawę rozleglejszego handlu zewnętrznego. Nie mamy dotąd większych warsztatów, większych składów, gdzieby w każdym czasie można nabyć potrzebnej ilości odpowiedniego towaru. Wprawdzie istnieje kilka spółek, np. zjednoczonych stolarzy, krawców, szewców, ślusarzy, lecz te są jeszcze zbyt ubogie i zbyt prymitywnie urządzone, ażeby mogły zadosyć uczynić większemu popytowi.

Warsztaty rzemieślnicze, rozrzucone po całym mieście, działające wprawdzie samodzielnie, ale też bez żadnej organizacyi, bez myśli przewodniej, nawet w Warszawie zaspakają przedewszystkiem potrzeby miejscowe, a jeżeli wytwarzają więcej nad potrzebę, to jako rozstrzelone i niezorganizowane należycie, nie wiedzą, gdzie się obrócić, gdzie zbyć tę nadprodukcją.

Wprawdzie wiele warsztatów próbuje handlu na zewnątrz Warszawy, głównie z Cesarstwem, ale przemysł a handel, to dwie różne rzeczy, jakkolwiek wzajemnie się dopełniające. Można wyrabiać przedmioty doskonałe i tanie, a mimoto stracić, jeżeli się bierze do handlu bez należytej znajomości handlu, jego potrzeb i dróg zbytu. Zamężniejsi rzemieślnicy próbowali handlu wywozowego, mianowicie z Cesarstwem, ale po większej części ponieśli dotkliwie straty, — stracili zaś głównie dla tego, że działali rozstrzeleni, każdy na własną rękę, należycie nie zorganizowani, nie znający dróg zbytu, ani też rynków, na które się udawali.

Naodwrot, analogiczne słyszymy utyskiwania drugiej strony, mianowicie kupców z Cesarstwa. I oni też często stali się ofiarą niesumiennosci i podstępu i również często dotkliwie ponoszą straty. I oni bowiem, nie znajdując należycie zorganizowanych ognisk, gdzieby swoje potrzeby zaspakajać mogli, również dorywczo zawiązują stosunki, bądź przy pomocy niesumiennych pośredników, bądź też wprost z warsztatami, ale niższej kategorii. Słowem dobrzy rzemieślnicy nie wiedzą, gdzie i komu zbyć swój dobry towar, a wyplatni kupcy nie znają, u kogo nabyć dobry towar w dostatecznej ilości.

Rozstrzelenie i brak dobrej organizacyi warsztatów: oto pierwsze z gravaminów naszych rzemiosł, odnośnie do handlu zewnętrznego z Cesarstwem.

W obec niezmiernych prawie obszarów Cesarstwa ze stumilionową ludnością, w obec faktów codziennych, że wyroby rękodzielnicze Cesarstwa często niemal prymitywne, znajdują zbyt w olbrzymich ilościach w większej połowie Azji, sięgają Persyi, Afganistau, Buchary,

a nawet Chin zachodnich; w obec, mówię, tego wszystkiego, śmiesz-  
ném byłoby twierdzeniem, że produkujemy nad potrzebę, a skutkiem  
tego i sprowadzamy zastój w rzemiosłach, będący zwykle zapowie-  
dzą małych krachów a wielkiej niedoli świata rzemieślniczego.

Nie. Wytwarzamy mało, mikroskopijnie mało, lecz i tego zbyt  
nie umiemy. Dajmy tylko możność np. Czechom, lub jakiemu państewko  
niemieckiemu korzystania z tak olbrzymich obszarów, jakie leżą przed  
nami, a zobaczymy, że te Czechy, lub to księstwo stanie się wkrótce  
najbogatszym krajem na świecie. Ani Belgia, ani Holendry, ani na-  
wet Anglia sprostaćby mu nie mogły. Przed nami przebiegają żyły,  
nie już rudy złotonośnej, ale złota rodzimego, a my ich odkryć i wy-  
zyskać nie możemy.

Powiedzieliśmy wyżej, że nie posiadamy odpowiednich centr roz-  
maitych gałęzi rzemiosł, należycie zorganizowanych i znanych wielkim  
rynkom Cesarstwa. W samej rzeczy, tak jest istotnie. Wpra-  
wdzie w Warszawie pracują dziesiątki tysięcy różnorodnych rzemie-  
ślników, ale podzielonych pomiędzy niewielkie warsztaty, warsztaciki,  
a nawet pojedyncze rodziny, bez odpowiednich zasobów materyalnych,  
nie mówię już bez znajomości dróg zbytu. Uboga rodzina rzemieślni-  
cza, kółko, warsztacik, lub nawet warsztat, nie ma zwykle dostatecz-  
nego kapitału na zakupienie surowych materyałów, zostaje więc w ręk-  
kach pośredników, którzy za drogie pieniądze dostarczają im liche su-  
rowy materyał, który następnie przetworzony, wyrobiony w odpowie-  
dni przedmiot napowrót odkupują. Ci mniejsi pośrednicy odprzedają  
wyroby większym hurtownikom, a ostatni zwykle prowadzą temi przed-  
miotami rozleglejszy handel. Widzimy więc, przez ile to szczebli  
przechodzi dzieło rąk rzemieślnika, zanim stanie się przedmiotem han-  
dlu wywozowego. Wielu tu pośredników wyzyskuje nieświadomość  
i brak solidarności świata rzemieślniczego. Gdyby to chociaż ci po-  
średnicy prowadzili handel prawidłowy, obliczony na dłuższy przeciąg  
czasu, ale niestety! handel nielicznemi dotąd przedmiotami wywozu  
na rynki Cesarstwa, znajduje się przeważnie w rękach ludzi, mających  
jedynie na celu wyciągnięcie jaknajwiększego zysku, w jaknajkrót-  
szym czasie. O handlu prawidłowym, sumiennym, mowy tu nie ma,  
bo też i być nie może, dopóki ten handel znajduje się w rękach nie-  
kompetentnych, niesumiennych.

Trzeba więc przedewszystkiem wytworzyć centra produkcji ręk-  
kodzielniczej — rzemieślniczej, a gdy te powstaną, to siłą rzeczy i roz-  
winie się handel prawidłowy.

Czy Warszawa może i powinna być ogniskiem produkcji  
rzemieślniczej i czy powinna być miejscem wyłącznym wytwarzania  
przedmiotów rękodzielniczych? Oto pytanie, które jako jedno z głów-  
nych i zasadniczych przedstawiamy Towarzystwu popierania przemy-  
słu i handlu do rozwiązania.

Dotąd rzemiosła nasze koncentrują się prawie wyłącznie w War-  
szawie, lecz ażeby mogły rozwinąć się szeroko i być podstawą han-



dlu zewnętrznego, to, naszym zdaniem, Warszawa nie może i nie powinna być ogniskiem produkcyi rzemieślniczéj (podznaczam produkcyi a nie handlu), a tém mniej, nie powinna być ogniskiem wyłączeniém.

Ojcowie nasi byli przezorniejsi! Wytwarzając przemysł fabryczny, wznosili fabryki bynajmniej nie w Warszawie, lub na jéj przedmieściach, ale wyszukiwali odpowiednich miejsc pośród pól i lasów, lub téż w małych miasteczkach, znajdujących się w odpowiednich warunkach pod względem opału, wody, położenia, dróg komunikacyjnych i t. p. W rozwinięciu téj myśli powstała Łódź, Tomaszów, Ozorków, Pabianice, Żyrardów, Zgierz, Jeziorna, Zawiercie i wiele innych. A przecież po większej części fabryki tych miejscowości mogłyby być dzwignięte w Warszawie, w stolicy kraju. Dlaczego jednak tego ojcowie nasi nie uczynili? oto, że chcieli właśnie wytworzyć owe centra produkcyi jednorodnéj, o jakich wyżej nadmieniam, chcieli, ażeby Łódź była ogniskiem przemysłu bawełnianego, Tomaszów wełnianego, Żyrardów lnianego, i t. d. Rozumieli bowiem, że gdyby założyli fabryki w Warszawie, to one niejako by się rozdrobiły, rozstrzeliły, nie zorganizowały odpowiednio i nie wytworzyły tych silnych jednorodnych ognisk przemysłowych, jakimi są właśnie Łódź, Tomaszów, Zgierz, Żyrardów i inne. W miejscowościach tych ludność prawie wyłącznie fabryczna, lub związek z fabrykacją mająca, związana zatem wspólnością interesów, tworzy niejako organizm silny, sprężysty i rzutki, daleko swój wpływ rozpościerający. Nic więc téż dziwnego, że miasta te znane są dalekim krainom nie tylko Cesarstwa, ale i zagranicą. Jakżeż tu i handel zewnętrzny jest silnie zorganizowany i prawidłowo rozwinięty.

Ojcowie nasi brali co do fabryk wzór z Anglii (Manchester, Birmingham, Sheffield), Saksonii i Szwajcaryi, czemużbyśmy my, ich synowie nie mogli się zapatrzeć choćby i na te tylko państwa odnośnie do rzemiosł?

Czy nie możnaby więc wytworzyć poza Warszawą ognisk rzemieślniczych, jednorodnych np. osad szewckich, krawieckich, stolarskich, kwaciarskich, koronkarskich, koszykarskich, ślusarskich, zduńskich i t. p. Gdzie obfitość różnorodnego drzewa, dlaczego nie mogłaby powstać osada stolarska, gdzie znowu gleba odpowiednia dla wikliny — koszykarska; gdzie poddostatkim dobrej gliny i glinki — osada zduńska; gdzie obfitość rudy i odpowiednich fabryk żelaznych — ślusarska i t. p.

Osady podobne wytworzyłyby wkrótce przemysł rękodzielniczy, jednorodny, jakich mnóstwo spotykamy w Szwajcaryi, Saksonii, nad Renem, w Belgii. Ludność tych osad związana wspólnością interesów, niewątpliwie nie byłaby tak rozstrzeloną i nie zsolidaryzowaną, bezsilną, jak w Warszawie; ale zsolidaryzowałaby się, niejako skryształizowała i powołała potrzebne jéj do życia instytucye, jak kasy rzemieślnicze, zaliczkowe, związki handlowe i t. p. Takie jednorodne

ogniska rzemieślnicze, byłyby znane nietylko w kraju, ale i w Cesarstwie i wtedy-to kupcy wiedzieliby gdzie się udawać za kupnem odpowiednich towarów i byłiby pewni, że przyjechawszy, zastaną towar w dostatecznej ilości i dobroci.

I dla samej ludności rzemieślniczej lepiej, że takie ogniska powstaną poza Warszawą. Przedewszystkiem warunki sanitarne bez porównania lepsze w pośród bliskiego sąsiedztwa pól i lasów aniżeli w Warszawie. Wiadomo nam w jakich-to lokalach mieszczą się warsztaty rzemieślnicze w Warszawie i w jakich-to okropnych warunkach sanitarnych pędzi nędzny żywot większość naszych rzemieślników. Wysokie ceny lokali, sklepów i warsztatów, oraz przedmiotów życia, główną tego przyczyną, gdy tymczasem stwarzając osady rzemieślnicze na prowincyi, gdzie jeszcze ziemi poddostatkiem, możnaby warsztaty pomieszczać w oddzielnych domkach, pośród sadów, na stokach wzgórzy, lub też na brzegu rzek lub strumyków.

Zakładając ogniska producyi rzemieślniczej jednorodnej, w nowych osadach, lub też małych miasteczkach, podniesiemy te ostatnie z upadku, w jakim się one od czasu Jagiellonów, a raczej od czasu napływu ludności semickiej znajdują. Dobrobyt tych ognisk, pociągnie do nich ludność wiejską, a raczej jej proletaryat.

Ludności bezrolnej wiejskiej, znajduje się obecnie około miliona, która w znacznej części jest ciężarem gmin, a która szybko wzrastając, niewątpliwie z czasem wytworzy taki stan rzeczy, że nowa interwencya państwa będzie prawdopodobną. Trzeba więc tej ludności bezrolnej, temu proletaryatowi wiejskiemu utworzyć upust, ułatwić emigracyą; ale emigracyą nie do Ameryki lub innych zamorskich krain, lecz do naszych małych miasteczek <sup>1)</sup>. Ci to przybysze, znalazwszy odpowiednią zachętę i ułatwienia, wytworzą po miasteczkach krajowy, swojski przemysł rękodzielniczy. Przesną z jednej strony być ciężarem i grozą wsi, a staną się pionierami rzemiosł i nadadzą naszym miasteczkom barwę więcj swojską — narodową.

Tylko jeśli moje myśli, mają się choć w małej części urzeczywistnić, to pierwsze kroki szczególną należy otoczyć opieką. Towa-

<sup>1)</sup> Wieś nasza nie choruje jeszcze bynajmniej na przeludnienie, a proletaryat, jaki autor spostrzega, nie pójdzie do miasteczek dla zwiększenia zastępu rzemieślników, bo są to przeważnie włościanie małorolni, z dawniej służby dworskiej pochodzący, obdarowani zbyt małemi działkami roli. Są to prawdziwi *glebae adscripti* XIX stulecia, bo na kilku swoich zagonach nie mogą żyć z rodziną, a drażnieni zazdrością względem lepiej uposażonych, wiecznie niezadowoleni, nienawidzą tych co więcj mają. Nieprzygotowani jednak zupełnie, nie będą szukali zaspokojenia swoich potrzeb w pracy rzemieślniczej w miasteczku. Dzisiaj uciekają ze wsi do miasta przeważnie ci, którzy stroniąc od pracy ciągłej a trzeźwój na wsi, szukają w wielkich miastach (jak u nas znowu wyłącznie w Warszawie) łatwego, choćby gnuśnego sposobu życia stróżów, stangretów, dawniej dorożkarzy i t. p.

rzystwo popierania przemysłu i handlu miałoby tu piękną, cywilizacyjną misją do spełnienia. Potrzebaby ludność napływową, przyszłych rękodzielników i rzemieślników, ochronić przed dzisiejszą ludnością małomiasteczkową, tak pochopną do wyzyskiwania i ujarzmiania nieświadomych.

Kwestyonaryusz Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, pomimo widocznej pieczołowitości o rozwój rzemiosł na ojczystej glebie, budzi w czytelniku poniekąd uwagi pewnej obawy co do swobodnego rozwoju naszych rzemiosł. Bo czyż nie doznaje się tego uczucia, przeczytawszy pytanie, czy nie byłoby pożytecznym, znieśnienie majstrów tak zwanych konsensowych... i aby każdy, kto chce otworzyć warsztat, zgłosił się do urzędu starszych i tam po odbyciu egzaminu i odrobieniu sztuki, otrzymał świadectwo na majstra. A więc nowe powijaki, nakładane na rozwój drobnego przemysłu. Zdaje mi się, że nie należałoby Towarzystwu popierania przemysłu i handlu stawiać pytań znamionujących, na schyłku XIX wieku, cofanie się (!? Red.) do wieków średnich. Cechy były niegdyś potrzebne i pożyteczne; ale téż one spełniły już swoje misję — przeżyły swój wiek. Przynajemny konieczność przepisów zabraniających np. ludziom nieposiadającym dowodów świadczących o zdolności przygotowywania lekarstw; ale ażeby podobna procedura była dziś potrzebną dla szycia obuwia, ubrania, robienia mebli, lepienia garnków i t. p., nie zdaje nam się właściwem. Czyż i tak już w swoim życiu mało mamy powijków i tak już przywykliśmy do środków ochronnych — państwowych, że kroku dalej zrobić nie potrafimy bez interwencji odpowiednich magistratur? Naszém zdaniem, nie nowych ścieśnień i ograniczeń pracy ludzkiej tu potrzeba; ale więcej światła. Gdy powstaną odpowiednie szkoły fachowe, gdy powstaną silne ogniska produkcji rzemieślniczej, to i tém samém i wyrobione przedmioty będą coraz doskonalsze. Nikt wtedy nie będzie szył złych butów, gdyż nie znajdzie na nich zbytu. Niechby np. Łódź produkowała liche perkaliki i perkaliki, niższej dobroci od moskiewskich, to zobaczylibyśmy jak w ciągu paru lat, to kwitnące i bogate dziś miasto, przybrałoby pozór miasta nawiedzzonego silną epidemią <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> *Uwaga Redakcyi.* Pogląd autora na kwestyę cechów, tak przezornie podniesioną przez kwestyonaryusz Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, uważamy za bardzo jednostronny, z rzeczywistymi warunkami rozwoju pracy ludzkiej wcale się nie rachujący. Pogląd ten nie przypomina wyrozumowanych opinii, ale jaskrawe frazesy zbyt głośnych teoretyków, którzy w abstrakcyi swojej budują zamki na lodzie, a uparcie odwracają wzrok swój od wszystkiego, co stare, dlatego tylko, że stare, bez głębszego wnikięcia w istotę rzeczy i bez wszechstronnego zbadania przedmiotu. Ze stanowiska ogólnego pojęcia wolności i swobody, możnaby uważać powrót do urządzeń cechowych za pewien rodzaj cofania się, gdybyśmy chcieli dzisiaj stosować dawne

Prawda, że dziś często majstrowie doznają zawodu ze strony czeladzi, lekceważącej swoje obowiązki i zobowiązania, lecz może ta czeladź jest jeszcze częściej krzywdzoną przez swoich majstrów. Po części czeladnicy, a bardzo często terminatorzy, to prawdziwi iloci XIX wieku. Źle karmieni, nie mówię już o przyodziewku, pracujący i śpiący w izbach ciasnych, zateęchłych i bez należytego światła i przewietrzania, są bardzo często prawdziwym obrazem nędzy i rozpacz.

Dwa są tu środki złagodzenia niedoli rzemieślnika: po pierwsze potrzebnym byłby prawodawczy przepis (jeżeli takowy nie istnieje), zobowiązujący majstra, ażeby tenże każdemu czeladnikowi lub terminatorowi, najpóźniej trzeciego dnia po przyjęciu do warsztatu, dorę-

przepisy cechowe bez żadnych zmian i ulepszeń; lecz w naszych dość nieprzyjaznych okolicznościach zniesienie cechów stałoby się ciosem bardzo szkodliwym dla rękodzielnictwa krajowego. Idea wolności i swobody staje się dopiero wtedy niezwykłą potęgą moralną, gdy jest w pewien ład i w pewien system ujęta, inaczej prowadzi do rozluźnienia wszelkiej spójni stosunków społecznych i państwowych, prowadzi do zamieszania pojęć i anarchii, wojującej swywołą, jakby jaką bronią zaszczytną. Nie może być mowy o pożądanym owocach jakiegokolwiek pracy zbiorowej, jeżeli jej do pewnego stopnia nie uporządkujemy w zakresie sfery jej działalności. Urządzenia cechowe i pływające za nimi normy i przepisy co do działalności rękodzielnictwa można uważać za pewne ograniczenie nie swobody wprawdzie, ale lekko-myślności i swawoli pracujących, za ograniczenie złej woli i złej wiary, broniące od nadużywania zaufania kupujących. Horoskop autora stawiony Łodzi, gdyby produkowała liche perkale, powinien był samego autora przekonać o tém, że teoria jego byłaby zabójczą dla naszego rozwoju. Autor, nie rozbiegając znaczenia dziejowego i praktycznego cechów, jako instytucji, która istniała od dawnych wieków; zdaje się przenosić nad nie taką próbę, taką szkołę (!), która w skutkach swoich przewyższyć może najzjadliwszą epidemią. Czy nie lepiej zapobiedz takiej epidemii przez odpowiednie urządzenia choćby cechowe? Poteranego raz zaufania na szerokiej arenie zabiegliwości życia powszedniego nie odzyskuje się z łatwością! Kwestya urządzeń cechowych była w ostatnich czasach przedmiotem jaknajstaranniej roztrząsanym na różnych zebraniach rzemieślniczych najoświecieńszych krajów Europy i w sferach rządzących. Za rezultat tych wielostronnych badań należy uważać to przekonanie, że urządzenia te — pomijając w tej chwili kwestyę co do kierunku ich reformy — zostały ostatecznie uznane za pożyteczne i zaprowadzono je w Austrii, w Prusiech, a zdaje się że i w Rosyi w tym właśnie kierunku przygotowują nowe prawo o przemyśle rękodzielniczym. Objawiające się w ostatnich czasach kłopoty ekonomiczne w Niemczech miały swe źródło, jak powszechnie stwierdzono, w zupełnym rozluźnieniu dawnych porządków i przepisów o przemyśle rękodzielniczym.

czył ksiąteczkę rachunkowo-służbową przez siebie podpisaną.

Książeczka powyższa winna obejmować: 1) firmę warsztatu lub pracodawcy, 2) imię, nazwisko, datę i miejsce urodzenia przyjętego do warsztatu, 3) datę przyjęcia, termin trwania umowy oraz wysokość płacy, 4) odpowiedni wyciąg z przepisów prawodawczych o rzemiosłach i rzemieślnikach, 5) przepisy specjalne danego zakładu lub warsztatu i 6) szczegółowy rachunek zarobku i otrzymanej płacy rzemieślnika.

Podobne książeczki byłyby rodzajem kontraktu, i niewątpliwie usunęłyby wiele nieporozumień pomiędzy pracodawcami i pracownikami. Takie książeczki rachunkowo-służbowe, naszym zdaniem, są niezbędne także dla służby domowej i folwarcznej.

Drugim środkiem jest dążność do wyemancypowania się z pod zależności kuchni majstrowskiej; czyli pracownicy warsztatów dążyć powinni do urządzenia wspólnej kuchni, przez siebie zawiadywaną. Takie kuchnie mogłyby być oddzielne dla zakładów i warsztatów większych, i wspólne dla kilku mniejszych sąsiednich warsztatów. Za terminatorów płaciłyby warsztat umówioną kwotę. Podobne urządzenia (artiele) zbadaliśmy wpośród wojska, oraz robotników przybyłych z wewnętrznych gubernii Cesarstwa i wyznajemy, że te pewnego rodzaju spółki spożywcze w zupełności odpowiadają swemu zadaniu.

Podstawą dobrobytu pojedynczych ludów i całych społeczeństw jest praca i oszczędność, ta ostatnia jest kamieniem węgielnym wszelkich instytucji kredytowych. Przedewszystkiem dajmy ludzimi możność zarabkowania i nauczmy ich oszczędzać, gromadzić zapasy na czarną godzinę, otworzmy kasy oszczędności, a następnie dopiero wytwarzajmy instytucje więcej skomplikowane, jak kasy zaliczkowe systemu Schultze-Delitzscha, kasy przemysłowców, towarzystwa wzajemnego kredytu i t. p. Niechby warsztaty zaprowadziły u siebie obowiązkowe miesięczne np. potrącanie pewnego odsetku na rzecz oszczędności, to jest, ażeby ta oszczędność była obowiązkową, przymusową. Potrącone kwoty warsztat winien niezwłocznie przelewać do kasy oszczędności i otrzymywać książeczkę dla każdego z pracowników. Książeczki te przechowywałyby należało w warsztacie pod kluczem majstra i wybranego przez ogół pracowników rzemieślnika. Wrazie przejścia rzemieślnika do drugiego warsztatu, powyższe osoby doręczają książeczkę nowemu pracodawcy za odpowiedniemi pokwitowaniem. Oszczędności rzemieślnika pozostają nietykalne, tenże jednak w razie koniecznej potrzeby, może użyć ich części lub całkowicie; ale nie inaczej, jak za zgodą pracodawcy i wybranego przez ogół rzemieślników. Środek ten ochronny byłby tylko czasowym, dopóki pojęcie korzyści z przymusowej oszczędności nie rozpowszechniłoby się więcej w klasie pracującej. Znajduje on zresztą i dziś

faktyczne zastosowanie w wielu kasach zaliczkowo-wkładowych i w niektórych większych zakładach fabrycznych w Warszawie.

Na tém dziś kończymy nasze myśli, spowodowane kwestyonaryszem Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Wrócimy do nich jeszcze i przedstawimy kwestyą więcej wyczerpująco, gdy się przekonamy, że kilka myśli tu rzuconych, znajdują echo w miejscu właściwem i zasługują na dalsze wyjaśnienie.

Wspominając o kasach oszczędności, zwracamy uwagę na często podnoszone pytanie, czy my polacy, rozumiemy korzyść odkładania na czarną godzinę, czy rzeczywiście oszczędzamy, a jeżeli oszczędzamy, to gdzie kryją się nasze oszczędności?

Niewątpliwie, że z dawien dawna ludzie pojmowali korzyść oszczędzania, t. j. wydawania mniej niż się ma dochodu, że zatem oszczędzali, ale te pojedyncze usiłowania nie były powszechne. Odrożone pieniądze, zwykle w monecie brzęczącej, przechowywano w domu, lub też zakopywano w ziemię. Lecz te kryjówki nie były dosyć bezpieczne i nie przynosiły korzyści z przyrastania odsetków. Dopiero w nowszych czasach pomyślano o zbiornikach oszczędności i środkach skanalizowania tychże.

Temi zbiornikami są właśnie kasy oszczędności. Powstały one dopiero w końcu XVIII w. Pierwszą kasą oszczędności otwarto w r. 1765 w Brunzwicku. Następne powstały w Szwajcaryi, a w końcu tegoż stulecia w Anglii. We Francyi w r. 1817, w Cesarstwie prowincye nadbałtyckie już w r. 1824 poszły za przykładem Zachodu; w Petersburgu i Moskwie pierwsze kasy utworzono w r. 1842.

Ukaz z d. 25 czerwca 1843 r. powołał do życia kasy oszczędności w Królestwie Polskiem, oddając je pod zawiadywanie Tow. ubezpieczeń od ognia.

Wszędzie więc widzimy usiłowania skanalizowania oszczędności, lecz jakżeż one w różnych krajach różnemi poszły drogami.

Dziś angielskie kasy oszczędności służą za wzór dla innych. Zaszczepione w r. 1797, posiadały w r. 1881 800,000,000 rubli złożonych przez 3,000,000 uczestników w 6,675 kasach. Jakżeż te cyfry są wymowne, jak potężne i niemal odurzające. W Cesarstwie w kasach oszczędności znajduje się obecnie około 14,000,000 rubli, złożonych przez 142,000 uczestników.

Nie przytaczam tu oszczędności w innych państwach europejskich, wszędzie niemal na setki milionów obliczanych, ale sięgnę myślą dalej, na krańce dalekiego Wschodu. Tamto leży morskie państwo o niewielkiej rozległości, ale z gęstą ludnością, która w ostatnich latach z zadziwiającą, iście amerykańską szybkością zaczęła przyjmować cywilizacyą europejską.

Mówię tu o Japonii. Otóż nawet w tym kraju, podług sprawozdania generalnego pocztmistrza z d. 30 czerwca r. 1882, było 1,161 kas, w których w ciągu tylko jednego roku, złożono około 4,000,000 franków.

A u nas?...

W Królestwie istnieje obecnie tylko ośmnaście kas oszczędności, posiadających razem w d. 1 stycznia 1883 r. 1,549,794 rs., złożonych przez 37,888 uczestników. Jakżeż te cyfry są małe, pogłębiająco małe! Nie będę porównywać Królestwa Polskiego z państwami drugo, ani nawet trzeciorzędniemi Europy, ale śmiało mogę porównać z sąsiednią nam Galicyą, liczącą o milion mniej ludności i każdy to przyzna, tak pod względem ekonomicznym, jak i zamożności znacznie niżej stojącą od królestwa kongresowego.

Otóż w tej - to Galicyi 1 stycznia 1883 r. było wprawdzie tylko 19 kas oszczędności, ale one posiadały 32,059,030 fl., złożonych przez 90,061 składających. W tymże dniu kasy oszczędności w Czechach, posiadały około 265,000,000 fl.

Niektórzy dziennikarze i ekonomiści przypisują mały rozwój naszych kas oszczędności z bytnim formalnościom przy składaniu i podnoszeniu pieniędzy. Zapewne, że pewne, acz małe reformy, mogłyby tu być zaprowadzone, lecz nie należy oczekiwać zmian radykalnych, bo te są niemożliwe i niepotrzebne. Formalistyka w tym względzie nie jest u nas znowu tak wielka, jakby się komu zdawało. Na dowód przytaczam niektóre przepisy z urzędzeń kas oszczędności angielskich, dotąd powszechnie uznanych za wzorowe.

W Anglii przy pierwszej wkładce, uczestnik obowiązany jest złożyć te same objaśnienia co i u nas, o imieniu, nazwisku, stanie, zajęciu i miejscu zamieszkania, ale oprócz tego winien złożyć deklaracyą, że nie należy do drugiej kasy oszczędności. Oświadczenie to winno być piśmienne, na blankiecie przez siebie podpisanym i poświadczone przez jednego z urzędników kasy, lub też przez osobę kasie znaną, księdza lub sędziego pokoju. Niepiśmienny przykład na blankiecie swojej pieczęć z zachowaniem powyższych warunków poświadczenia. Do pierwotnej deklaracji angielskie kasy oszczędności, tak wielką przywiązują wagę, że gdy się okaże niezgodność jej z prawdą, wkładki przepadają.

U nas wnioski na daną książeczkę mogą być składane przez kogokolwiek, w Anglii zaś wkładki wnosi albo sam uczestnik, albo też jego pełnomocnik, w razie zaś zwrotu kapitału, wniesionego przez tego ostatniego, wymagany jest podpis nie tylko właściciela książeczki, ale i tego, który w jego imieniu złożył wniosek.

W Anglii, panna, wychodząca za mąż, winna zmienić i książeczkę oszczędności na nowe nazwisko i dopełnić nanowo formalności pierwszego wkładu.

U nas sprawdzanie książeczki dopełnia się przy pierwszym wniosku po Nowym Roku, w Anglii zaś uczestnik zobowiązany jest przedstawić książeczkę swojej kasie przynajmniej raz w roku.

W Anglii przytém płaci uczestnik szylinga za zagubioną książeczkę.

Te są główne różnice w formalistyce urzędzeń angielskich w po-

równaniu z naszymi. Widzimy z nich, że narzekania nasze na zbyt-  
nią u nas formalność, są co najmniej przesadzone i nieusprawiedliwio-  
ne. Lecz za to u nas są innego rodzaju niedogodności, które nie ist-  
nieją w Anglii, a które znakomicie tamują skanalizowanie u nas  
oszczędności.

U nas suma wkładów nie powinna przewyższać 300 rs., gdy  
w tak bogatj Anglii, maximum wynosi 200 funtów, t. j. 1,260 rs.

O ile nam wiadomo, prawodawca, ustanawiając u nas maximum  
na 300 rs., kierował się następującemi względami. Nasza kasa oszczęd-  
ności, jak nadmieniliśmy, była otwartą w r. 1843, t. j. w epoce  
względnej do potrzeb obfitości gotowizny u nas. Złożone kapitały  
kasa oszczędności przelewała do Banku Polskiego na  $4\frac{1}{2}\%$ , t. j. na  
odsetek na owe kasy wyższy, niż bieżący w kraju. Obawiano się za-  
tém, ażeby przez zbyt wielki napływ kapitałów, Bank Polski nie był  
narażony na straty. Stało się jednak inaczej, ludność z jednej strony  
nie rozumiała jeszcze tych korzyści, jakie nietylko składający, ale  
i cały kraj odnosi, gdy jej oszczędności ściągają do jednego bezpie-  
cznego zbiornika, z drugiej zaś strony i stopa procentowa, podniosła  
się w kraju, można było znaleźć korzystniejszą, lubo mniej bezpie-  
czniejszą lokacyą niż w kasie oszczędności.

Ministerem skarbu pracuje obecnie nad reformą kas oszczędno-  
ści i bliskim jest już czas, że za inicjatywą p. Bungego i u nas zapro-  
wadzone będą pocztowe kasy oszczędności. Kierunek nad  
nimi obejmie w Cesarstwie Bank Państwa, w Królestwie zaś prawdo-  
podobnie izby skarbowe.

Pożądaném jest wielce, aby reformą kas oszczędności w Króle-  
stwie zajął się Bank Polski, który tak peryodycznie i niemal chroni-  
cznie cierpi na anemią pieniężną. W zreformowanych kasach oszczę-  
dności znalazłby silny sukurs pieniężny.

Przedewszystkiem należałoby podnieść maximum wniosków przy-  
najmniej do 2,000 rs. dla jednej osoby. Kasy oszczędności otworzyć  
początkowo we wszystkich miastach gubernialnych, powiato-  
wych i tych, które mają ludności przynajmniej 5,000. Ponieważ  
otwarcie nowych jakich 70 kas oszczędności pociągnęłoby znaczne wy-  
datki na płace, najem lokalu i t. p., możnaby ich zakres rozszerzyć  
i nadać im charakter Agentur Banku Polskiego. Takie agen-  
tury dopełniaćby mogły następujących czynności:

1) przyjmować oszczędności na zwykłych zasadach kas  
oszczędności.

2) przyjmować gotowiznę na rachunek bieżący i na prze-  
kaz dla wypłaty w Warszawie, lub tych miejscowościach, gdzie istnie-  
ją jego oddziały i nowe agentury.

3) inkasować weksle, nadesłane przez Bank Polski, lub  
jego oddziały.

4) wydawać zaliczenia na zastaw papierów publicznych,  
na zasadach przez Bank Polski przyjętych.



Czynności mogłyby być dopełniane przez kolegium, złożone z buchaltera Banku Polskiego, kasyera miejscowej kasy skarbowej lub miejskiej, oraz z delegata honorowego, wybranego z pośród obywateli miejskich.

Lokal oddzielny nie byłby potrzebny, mógłby być wspólny z kasą skarbową lub miejską, w ostatnim zaś razie miasto niewątpliwie udzieliłoby go chętnie i bezinteresownie. Pieniądze w osobnej kasie ogniotrwałej przechowywać można, również w kasie skarbowej lub miejskiej, pod trzema kluczami.

Wydatki na urządzenie każdej agentury Banku Polskiego byłyby następujące: buchalterowi płacy . . . . . 1200  
kasyerowi skarbowemu lub miejskiemu dodatku . . . . . 300  
opał, światło i materyały piśmienne . . . . . 300

Razem rs. 1800

dla projektowanych zaś 70 agentur rs. 126,000.

Cały więc kraj pokryty byłby siecią nietylko kas oszczędności, ale i pewnego rodzaju oddziałami Banku Polskiego, dopełniającymi niezbędne, codzienne czynności. Rozwojowi pomyślności narodowej danoby przez to silny popęd, lecz największą korzyść odniósłby Bank Polski.

Jeżeli w Galicyi 19 kas oszczędności posiada 32 miliony florenów (19,200,000 rubli), to nasze agentury Banku Polskiego w liczbie 70 i z większym zakresem działalności, niewątpliwie skanalizowałyby w pierwszym zaraz roku przynajmniej 4 miliony rubli, złożonych bądź na książeczki oszczędności, bądź na rachunek bieżący. Prócz tego liczyć można przynajmniej 2 miliony rubli bezprocentowo złożonych na przekaz, za inkaso weksli, na spłatę należności bankowych, i t. p. Razem w ciągu pierwszego roku liczyćby można, że kapitał obrotowy Banku Polskiego zwiększy się o jakie 6 milionów rubli, a w ciągu paru lat o 10—15 milionów rubli.

Jak błogie skutki przyniosłoby handlowi i przemysłowi takie zwiększenie kasy Banku Polskiego, tego dowodzić nie potrzeba.

U nas w kraju nie brak gotowizny dla naszych dosyć jeszcze ograniczonych potrzeb ekonomicznych, tylko te kapitały, te oszczędności są rozstrzelone, a więc i bezsilne. Jeżeli ułatwimy ich skanalizowanie i do tego w takiej poważnej i zasłużonej instytucyi jaką jest Bank Polski, to zobaczymy, że nasz rynek pieniężny rychło swobodnie odetchnie; powstaną rozmaite instytucje kredytowe, spółki i zakłady kredytowe, dla których utworzenia nie będzie już potrzeby uciekać się do pomocy pieniężnej niemieckiej lub belgijskiej.

W ostatnich czasach coraz częściej słyszemy narzekania, na wzrastające ceny artykułów pierwszej potrzeby. Skargi te w obec najnowszych badań uczonych okazują się nieuzasadnione.

Znany finansista angielski Goschen i „The Economist“ wykazują

cyfrowo, że np. 22 przedmioty żywności w ciągu ostatnich dziesięciu lat obniżyły się na 20% i równają się średnim cenom z lat 1845—1850 roku. Do tegoż wniosku dochodzą: Robert Giffen, dyrektor biura statystycznego Board of Trade, oraz znany ekonomista niemiecki Soëtber.

Co się tyczy przyczyn zniżki cen, to zdania są podzielone. Emil Lavaleye przypisuje ją zmniejszeniu bicia monety złotej, gdy tymczasem Leroy-Beaulieu słusznie upatruje upadek cen: a) w postępie cywilizacji; b) w ulepszeniu środków komunikacji i tańszych taryfach; c) w ciągłym wzroście kapitałów, w konkurencji i zniżeniu odsetków; d) w udoskonaleniu techniki.

Do tych przyczyn na które i my się piszemy, możnaby jeszcze dodać zastój i przesilenia handlowe, coraz częściej nawiedzające rynki europejskie.

Na rynkach europejskich zjawiają się od czasu do czasu groźni konkurenci, którzy znakomicie obniżają ceny jednych przedmiotów, nie dając podnosić się drugim. W ostatnich np. czasach na targu z b o z o w y m, oprócz Ameryki zjawiają się i Indye wschodnie, w handlu naftą Galicya i Kaukaz. Obydwa te przedmioty znakomicie też wskutek tego staniały.

Pszenica w Anglii sprzedawała się w latach 1838 — 1841 po 78 do 82 szylingów za kwarter i wzrastając dalej, doszła w 1847 roku do 102 szylingów 5 pensów, lecz od tego czasu ceny obniżały się, tak, że najwyższa cena pszenicy za kwarter w ciągu ostatnich lat dwudziestu była w 1867 r. po 64 szyl. 5 pensów. Obecnie zaś pszenica z Anglii sprzedaje się po 38—45 szylingów za kwarter.

Gdy więc nie ma widoków na wyżkę cen zboża, owszem z polepszeniem się wartości rubla, przewidywać można znaczny upadek cen zboża u nas, to należałoby naszym ziemianom wcześniej się przygotować i zastanowić nad środkami dla odwrócenia klęski grożącej naszemu rolnictwu.

Weźmy np. drugi przedmiot powszechnego użytku — cukier. W 1840 r. centnar cukru w Anglii (112 funtów) kosztował 68 szylingów 8 pensów, obecnie zaś, skutkiem olbrzymiej produkcji w Niemczech, ta sama ilość kosztuje 21 szylingów 9 pensów. Yard sukna w 1840 roku kosztował  $6\frac{7}{8}$  pensa, obecnie  $3\frac{1}{4}$ . Wieprzowina, którą w znacznej części karmią się Anglicy, w ciągu pół wieku prawie w jednej cenie się trzyma, podniosła się tylko wołowina na 35% i baranina 65%.

Hawkins, były skarbnik szpitala ś. Jerzego ogłasza w „Daily Nevs,” że w porównaniu z 1830 r., cena utrzymania chorego w 1870 roku obniżyła się o 1 szyling 1 pens. Lecz aby konsument korzystał ze zniżonej ceny, potrzeba aby w danej miejscowości handel był prawidłowo uorganizowany. Potrzeba, aby pomiędzy wytwórcą i spoży-

wcą było jaknajmniej pośredników, zwłaszcza drobnych przekupniów, oraz aby i gałęzie przemysłu przetwarzające produkt surowy były należycie obsłużone. Często się bowiem zdarza, że np. zboże znakomicie staniało, gdy chleb i bułki utrzymują się w jednej cenie, a nawet drożej.

W Europie, tylko w jednej Anglii, a w znacznej części i w Holandyi, handel wewnętrzny i przemysł są należycie uorganizowane i tam też bez względu na nieurodzaj, ceny zboża wielkim zmianom ulegać nie mogą. Gdy więc jest ogólne dążenie do niżki cen przedmiotów koniecznej potrzeby, to skargi na drożyznę są nieuzasadnione, pochodzą one z szerzenia się zbytku i komfortu, który dawniej był udziałem tylko bogatych, gdy dziś dążą do niego wszystkie niemal stany.

Wyżej wspomnieliśmy o groźnym konkurencie zbożowym — Indjach wschodnich. Że one są niebezpiecznym konkurentem, przyznają nietylko europejscy rolnicy, ale też i amerykańanie. Ziemia w Indjach bogata, w znacznej części sztucznie nawodniona, w obec zaś gęstości zaludnienia cena robotnika tak niską, jaką tylko w Chinach napotkać możemy; nie więc dziwnego, że w niektórych prowincjach kwarter pszenicy kosztuje 6—7 szylingów.

Pszenica produkuje się w Indjach wschodnich głównie na wywóz na targi europejskie, gdzie ludność miejscowa żywi się przeważnie ryżem i prosem. Zboże indyjskie zjawiło się poraz pierwszy na targach angielskich w 1873 r.; lecz w małej ilości z powodu trudnej komunikacji. Dopiero, gdy pobudowano liczne drogi żelazne i obniżył się fracht drogą morską, wywóz raptownie wzrastał.

I tak wywieziono zboża z Indyi wschodnich na targi europejskie:

	w 1873	395,000	centnarów	
	„ 1878	2,273,000	„	
	„ 1882	19,901,000	„	w pierwszej zaś tylko
połowie	„ 1883	15,714,000	„	

Jestto wzrost nadzwyczaj silny, stosunkowo nawet silniejszy niż z Ameryki, a jednak Indyc nie cieszą się jeszcze takimi środkami komunikacyjnymi jak Stany Zjednoczone. Dopiero obecnie Angliacy gorliwie się wzięli do budowy dróg żelaznych w Indjach, żądając od izby gmin gwarancyi kredytu na budowę tychże w ciągu 10 lat po 20 milionów funtów rocznie.

Dla naszych rolników zatem, perspektywa nie świetnie się przedstawia, tém gorzej, im bliżej nadejdzie polepszenie się wartości rubla.

Taki sam widzimy upadek w ostatnich czasach jednej z głównych gałęzi przemysłu rolniczego. Mamy tu na myśli gorzelnictwo, mianowicie w Królestwie Polskiem, prowincye bowiem wschodnie, bynajmniej nie przedstawiają nam tak znacznej zmiany.

Liczba gorzelnicy czynnych, wysokość produkcji, w Królestwie tak się przedstawia w ciągu kampanii minionej, to jest w 1882/3 roku;

w gub. Kaliskiej	gorzeln	64	z produkc.	632,002	wiad. spiryt. bezw.
„ Siedleckiej	„	64	„	396,721	„
„ Piotrkowskiej	„	58	„	344,129	„
„ Lubelskiej	„	51	„	320,562	„
„ Warszawskiej	„	52	„	291,397	„
„ Kieleckiej	„	36	„	205,082	„
„ Łomżyńskiej	„	28	„	140,482	„
„ Płockiej	„	15	„	122,886	„
„ Radomskiej	„	30	„	103,511	„
„ Suwałkowskiej	„	28	„	82,852	„

Razem gorzeln 426 z produk. 2,639,624 wiad. spiryt. bezw. w porównaniu z kampanią 1881/2 r., liczba gorzeln czynnych zmniejszyła się o 31, a produkcya o 384,303 wiader.

Dla wytworzenia powyższej ilości 2,639,624 wiader spirytusu użyto w kampanii 1882/3 roku:

kartofli	16,021,273	pudów
żyta	240,850	„
pszenicy	57,844	„
patoki	53,361	„
słodu suchego	152,462	„
„ zielonego	1,036,079	„
drożdży winnych	735	„

Na znaczny upadek produkcji gorzelnianej w Królestwie Polskiem oddziaływały dotąd dwie główne przyczyny: trudność wywozu zagranicę i kontrabanda. Przeciwno kontrabandzie obmyśla ministerjum finansów szereg środków, które w krótkim czasie mają być wprowadzone w życie, co się zaś tyczy wywozu zagranicę, to, jakkolwiek i tu konkurencya Ameryki olbrzymio się wzmacnia, jednak wskutek ostatnich rozporządzeń spodziewać się należy znacznego zwiększenia wywozu spirytusu.

Celem rozwinięcia przemysłu gorzelnianego i handlu spirytusem, w r. 1865 przyznano wywozującym pewne ulgi, zasadzające się głównie na tém, że od spirytusu tęgości nie niżej 90 stopni, odciągano 3% tytułem premii za utratę przy oczyszczaniu. Prócz tego odliczano jeszcze pewien procent na ususzkę, stosownie do czasu transportu ze składu do granicy.

Ulgi te znacznie wpłynęły na zwiększenie wywozu zagranicę, kiedy bowiem w r. 1865 wywieziono tylko 33,745 wiader, to w 1882 r. eksport podniósł się do 2,400,308 wiader spirytusu. Lecz wywóz ten w porównaniu z ogólną produkcją jest mało znacznym, wynosi bowiem niewiele więcej nad siedmnastą część i jest też mało znacznym w porównaniu z wywozem zboża i z ogólnym wywozem.

W r. 1881 wywieziono z Cesarstwa i Królestwa zboża za 241 milionów rubli, spirytusu zaś za 1,664,000 rs., zatem eksport spirytu-

su stanowi tylko  $\frac{2}{3}\%$  wywozu zboża i zaledwie  $\frac{1}{3}\%$  sumy ogólnego wywozu zagranicę.

Z uwagi na powyższe rezultaty, oraz, że gorzelnictwo stanowi nader ważną gałąź w przemyśle rolniczym, a nawet znacznie wpływa na dobrobyt ludności wiejskiej, daje bowiem jój zarobek w czasie zimy, ministerjum skarbu w roku bieżącym postąpiło krok dalej w ulgach, mających na celu podniesienie wywozu spirytusu zagranicę.

Wiadomo, że wyprodukowany u nas spirytus nie posiada w ogóle mocy wyższej nad 90 stopni i nie jest dostatecznie oczyszczony. Tymczasem na rynkach zagranicznych wymagana jest tęgość najmniej 95 stopni. Ażeby tę moc otrzymać należy spirytus powtórnie oczyszczać, co znowu pociąga za sobą utratę 5 — 6 stopni spirytusu, oraz wymaga znacznych nakładów na urządzenie rektyfikacji i aparaty. Z drugiej strony premium na oczyszczenie wynosiło zaledwie 3<sup>o</sup>, było więc niedostatecznym dla doprowadzenia spirytusu do tej mocy i czystości, jakiej wymagają na rynkach zagranicznych. Wskutek tego wywożono spirytus prawie wyłącznie do Hamburga, tam go oczyszczano i następnie wywożono dalej do Anglii, Hiszpanii, Włoch i Szwajcaryi. Ten porządek powstrzymywał szybki wzrost eksportu i pozbywał zarazem wytworów krajowych korzyści z bezpośredniego zetknięcia się ze spożywcą.

Mniemamy, że ostatnie rozporządzenia ministerjum skarbu, zasadzające się głównie na podniesieniu premii do 6<sup>o</sup> i dozwoleń eksportu kaźdój osobie, a nie tylko, jak dotąd, właścicielom lub dzierżawcom gorzelnii, znakomicie wpłynie na rozwój gorzelnictwa, zwłaszcza w Królestwie Polskiem, na Litwie i Rusi.

Na tém kończymy niniejszą kronikę ekonomiczną, uzupełniając ją wykazem bibliograficznym dzieł ważniejszych, które się na tém polu w ostatnich czasach pojawiły:

Hildebrand R.: Die Theorie des Geldes. Jena, 1884, str. 146.

Marx R.: Das Kapital. Kritik der politischen Oekonomie. Hamburg, str. XXXIII i 808.

Richter E.: Creditsystem der modernen Misswirtschaft und die Mobilisierung des Besitzes, als Hauptquelle der sozialen Gefahr. Heilbronn, 1884, str. 64.

Riehl W. H.: Die deutsche Arbeit. Stuttgart, 1884, str. X i 297.

Menger C.: Die Irrthümer des Historismus in der deutschen Nationaloekonomie. Wien, str. X i 87.

Normal-Statut f. e.: Orts-Krankenkasse. Berlin, 1884, str. 121.

Laveleye E.: La crise du libéralisme. Bruxelles, 1884, str. 16.

Cernuschi H.: Le Grand procès de l'union latine. Paris, 1884, str. 121.

Say L.: Le socialisme d'E'tat. Paris, 1884, str. 221.

Rawlinson sir C.: The Municipal Corporations Act. London, 1884, str. 1026.

Giffen R.: The progress of the Working Classes in the Last Half-Century. London, 1884, str. 16.

Marescotti A.: L'economia sociale e l'esperienza. Roma, str. X i 188.

Mangilif.: Il credito agrario. Milano, 1883, str. XV i 287.

Levi E.: Manuale per le Banche popolari cooperative italiane. Milano, str. XXIV i 588.

*F. F.*

# PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

„Slovansky Sbornik—artykuły z dziedziny etnografii, historii kultury i dziejów życia literackiego oraz towarzyskiego” Rocznik II. Redaktor Edward Jelinek. Praga, nakładem J. Otty. 1883 roku \*).

P. Józef Holeczek, którego studia, obrazki i powieści czarnogórskie pozyskały wielki rozgłos, pomieścił w „Sborniku“ szkic: Tradycje narodowe u Czarnogórców.“ Jest to kartka, karteczka tylko z dziejów literatury, szkic pobieżny, krótki ale ciekawy z powodu nowości przedmiotu. P. Holeczek mówi tutaj o pieśniach i podaniach na Czarnéj Górze; sądzi, że „słusznie serbowie zawdzięczają gęśłom, iż narodowość im zachowały.“ „Potop turecki spłukał obiecujące początki kultury... nowe pomniki piśmienne nie powstają, a stare giną... Na Czarnogórze każdy papier idzie na patrony, choćby to była stara cenna książka lub dokument historyczny. Cała historia Czarnéj Góry od r. 1520 do końca XVII wieku jest pokryta mgłą nieprzebitą, nie zachowało się nic oprócz imion władyk, choć były to niewątpliwie czasy wielkich i zaciętych bojów z Turkami. Dopiero w XVIII wieku widzimy trzy próby dziejowe, mianowicie „Latopis czarnogórski, sięgający do r. 1749, „Historię o Czarnéj Górze“ metropolity Wasila Petrowicza i „Rękopism władyki czarnogórskiego Piotra I,“ obejmujący krótką historią od początków aż do r. 1712. W XIX wieku nad historią Czarnogórze pracują Symeon Milutinowicz i Daniło Milakowicz. Ten ostatni przyznaje, że nie wystarczały mu ani te okruchy dziejowe, ani zwykłe źródła, że wiele rzeczy, nawet całe bitwy musiał malować według tradycji, a zwłaszcza według pieśni ludowych.

Pieśni owe zbierali Symeon Milutinowicz i władyka Piotr II:

---

\*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za wrzesień r. b.

pierwszy wydał pod pseudonimem Czubra Czajkowicza „Piewanija cernogorska i hercegowaczka“ (Lipsk r. 1837), drugi zbiorowi swemu dał tytuł „Ogledalo (zwierciadło) serbsko“ i drukował go w Belgradzie r. 1845. Władyka wydał rozporządzenie, aby każdego, kto dobrą pieśń na Cetyni zaśpiewa, prowadzić zaraz do pisarza, który ją niezwłocznie zapisać. Okrom tych dwóch zbiorów jest jeszcze trzeci, o którym p. Holeczek nie wspomina, mianowicie „Pieśni junackie nowszych czasów o walkach Czarnogórców“ znajdując się one w piątym tomie „Narodowych pieśni serbskich,“ zebranych przez Wuka Stefanowicza Karadzicza. a wydanych po jego śmierci przez wdowę Annę Karadziczową (Wiedeń 1865 r.). Zbiór ten zawiera w sobie osiemnaście długich-pieśni, opiewających najnowsze wypadki, między innymi jest dramatyzowany poemat o śmierci księcia Daniła, liczący 2256 wierszy i wyśpiewany przez Sawę Martinowicza. Wuk zapisywał sumiennie nazwiska pieśniarzy, od których daną pieśń był zasłyszał, podobnież czynił był Milutinowicz, pieśni zaś w „Ogledalu“ Piotra II są bezimiennie.

Śpiewacy ludowi starali się, o ile możności być wierni prawdzie, ciągle mieli na myśli, aby pieśń zachowała autentyczny obraz faktu. Działające osoby wyliczają się tam dokładnie, również zabici lub wzięci do niewoli i t. d. Im pieśń jest nowsza, tém bywa ściślejszą, pełniejszą i szczegółowszą, tém mniej ma ozdób poetyckich.—„Lud sam w pieśniach historycznych widzi nie utwory poetyczne, ale czystą, niezaprzeczoną prawdę, w której nic zmieniać nie można... Szczyt ambicyi męża stanowi to, aby dokonał czynu, któryby dał podniecie do pieśni i sprawcę swego wsławił. Gdyby zaszła obawa, że pieśń będzie stronna, postradałaby swoją powagę i znaczenie i wiara w nią byłaby upadła. Książę Daniło I, gdy chciał zapalić Czarnogórców, podniecał ich temi krótkimi słowy: Pamiętajcie, Czarnogórcy, co gęśle o tém powiedzia!“ A cześć Czarnogórców dla tego symbolu pieśni narodowej była tak wielką, iż wnet poczęli prześcigać się wzajem, dokonywając czynów bohaterskich i strzegąc się wszystkiego, coby na nich cień rzucić mogło.“

P. Holeczek brak pieśni z XVI i prawie całego XVII stulecia wyjaśnia tém, że, lubo niewątpliwie lud ówczesny pilniej jeszcze niż dziś pieśni układał, ale nie wtedy nie zdarzyło się tak wielkiego, aby cały naród wstrząsnęło i wywarło na nim wrażenie przez wieki trwające, drobniejsze zaś przygody padły w zapomnienie a z niemi i pieśni.

Zdrój pieśni ludowych na południu słowiańskim jeszcze nie wysechł i zasługuje na to, aby go śledzić nieustannie, lubo może dzisiejsze pieśni w poetyczności starodawnym nie wyrównyują. P. Holeczek nakłania, aby poświęcać baczną uwagę pieśniom słowian-mahometanów, bardzo licznym, bogatym w poezją, a dotąd mało znanym. Mohometanie mają także swoich bohaterów, o których przy wtórze gęśli śpiewają. Zwraca także autor uwagę na podania ustne o przed-



kach i ich czynach. „Przyniosłoby wielką zasługę, gdyby ten rodzaj tradycyi narodowej pozyskany został dla literatury, nim pocznie ginąć, a co wnet się stanie, gdy do ludu przenikną książki i ten, przestając polegać na własnej pamięci, oczekiwać będzie, że mu to książka lepiej powie... Podobną tradycyą spotykamy u każdego plemienia i rodu. Początek jęj tam, gdy przodkowie przybyli na Czarną Górę i to z różnych stron i w różnych czasach. Co mówią o czarnogórcach, że to są „uskocy z Kosowa“ do wszystkich się to nie odnosi. W każdym ple-mieniu i rodzie pamiętają, jak w Izraelu o całej swj genealogii, o tём, co znakomitego ten i ów z przodków dokonał; wszelako dat, jak się spodziewać należy, podać nie umieją i nie łatwo je oznaczają.“ P. Holeczek podaje kilka przykładów takich genealogicznych tradycyj, które na Czarnj Górze był zasłyszal.

O stanie sł o wa k ó w w ostatnich pięciu latach pisze Jarosław Wl-czek, słowak, znany już z artykułów o rodakach swoich, oraz krótkie-go rysu literatury słowackiej: wszystko to pisał po czesku. We wstę-pie Wlczek opowiada o postępowaniu obecnego rządu węgierskiego ze słowakami. R. 1875 Koloman Tisza zniósł malicę słowacką, a mają-tek jęj w ilości 95,867 zlr., zebranych z wdowiego grosza ubogiego narodu, bogatą bibliotekę, zbiór rękopismów, starożytności, monet, za-pas nowych nakładów, wszystko to drogą policyjną, bez żadnego do-chodzenia sądowego skonfiskowano, pomimo że malica była zatwier-dzona osobnym reskryptem cesarskim z r. 1862. Niezadługo potём w sejmie zostały wypowiedziane te pamiętne słowa „niema już narodu słowackiego.“ Już na rok przedtём zniesiono trzy gimnazya i jedno seminaryum pedagogiczne, utrzymywane własnymi słowaków pienię-dzmi. Język słowacki wypierano z sądów. Roje koczujących trup madziarskich rozlały po miasteczkach słowackich z cywilizacyjną mi-szą krzewienia języka Petöfięgo, potworzyły się stowarzyszenia z tym-że samym celem, miasta na łeb, na szyję otrzymywały inne nazwy, aż wreszcie r. 1879 język madziarski wprowadzono do szkół ludowych, ja-ko obowiązkowy przedmiot, na który poświęca się tygodniowo siedem godzin. W szkołach średnich stanowi on jedyny język wykładowy, co „zrodziło istną epidemią powierzchowności, ograniczoności i igno-rancji w młodszm pokoleniu renegatów. W niektórych seminaryach zakazano alumnom rozmawiać między sobą po słowacku. W kościele ewangelickim, gdzie od lat czterdziestu bojowano o niezależność, od-dzwoniono na pogrzeb autonomii słowackiej. I tego wszystkiego do-puszcza się naród, który do niedawna tak mężnie i wytrwale walczył o własną narodowość, tego dopuszcza się rząd, którego przewodniczą-cy (Tisza) r. 1880 wygłosił był w sejmie te słowa. „Tylko ten naród ma przyszłość, który nie buduje jęj na gruzach innych plemion.“

„Z pułków nietopérzy tak wychowanych, literatura madziarska nie ma żadnego a żadnego użytku; niema pisarzy, niema poetów, niema talentów, tak brzmią jeremiady poczciwszych piór krytycznych ma-dziarskich.“ Z tём łączy się upadek materyalny ludu słowackiego,

zależnego jako lud rolniczy od urodzaju; gdy żniwo nie dopisze, panuje nędza nad wszelki wyraz, a skarb rządowy pamięta tylko o czysto madziarskich okolicach, P. Wlczek przytacza cyniczne wyznanie jednego z przedniejszych madziaryzatorów: „Wielkie nasze usiłowania muszą skupiać się w tém, aby lud słowacki nie dobił się wykształcenia. Musimy usilnie madziaryzować i dojść do tego, aby każdy człowiek mówiący po słowacku, był duchowym niewolnikiem, a każdy słowak, chcący wydobyć się z téj niewoli, stał się madziarem, przynajmniej sposobem myślenia i mową, lubo etnograficznie w madziara przetworzyć się nie da. Choćbyśmy ludu nie zmadziarzyli zupełnie, nic to nie szkodzi, słowaczczyna za pługiem i na gnoju nie przyniesie nam uszczerbku. Co wszelako sięga po nad pług, po nad motykę, to nie powinno mieć charakteru słowackiego. Biada nam, gdyby lud słowacki otrzymał wykształcenie. Ma on wielkie zdolności, przez zdolności swe podniósłby się w takim stopniu, w jakim rozmnaża się przez swoją płodność. Na to pozwolić nie możemy, gdyż inaczej sławizm w Peszcie potężne zapaści korzenie, a żywiol madziarski na drugi plan zejdzie.“

„Już głębiej upaść nie możemy“ woła poeta Wajansky, „Co gorszego jeszcze stać się może!“ płacze drugi poeta Hwiedzoslaw, a p. Wlczek dodaje „słowacy nie upadła, pokonana siłą, lub przewagą duchową, ale przemocą materyalną, a nawet czysto nihilistyczną negacyą. Ta jednak nie zabija. Pomimo swoich losów Słowacy pozostała harmonijną całością: mas woję średnią szlachtę (ziemian), która wprawdzie na zewnątrz połyskuje politurą renegacyi, ale przy ognisku domowém, w chwilach niestrzeżonych, zawsze zdradzi się ze swą mową słowacką, uczuciem, charakterem; ma swe mieszczaństwo, w którem wiele jest zdrowego jądra, pomimo że po większej części zarosło chwastem renegacyi, lub niedbałstwa; ma swoich rolników, szeroką podstawę bytu narodowego, lud zdolny, dobry, śpiewny, do swéj nieurodzajnej ziemi wytrwale przywiązany; ma swą inteligencyą w kołach księży ewangelickich i katolickich, adwokatów, i lekarzy, w młodym dorostie młodzieży, prześladowanej, wypędzanej z ojczyzny.“

Drugą połowę artykułu p. Wlczek poświęcił literaturze ostatnich lat pięciu; mimo wszelkich przeszkód rozwija się ona, słaba liczebnie, ale zawsze stająca jako dowód, że „eppur si muove.“ Przedewszystkiem zaczyna od charakterystyki dziennikarstwa. „Narodniowiny“ energicznie bronią stanowiska słowaków, a w felietonie podają beletrystykę i krytykę literacką. „Obzor“ ekonomiczne czasopismo, wydawane przez Licharda, oddziaływa znakomicie przystępnemi dla ludu artykułami; dla niższych warstw niesie naukę i światło. „Narodni klasnik“, wydawany przez Pietra. Historyk Fr. Sacinek redaguje naukowy „Slovensky letopis“, pełen monografii dziejowych, a Wajanskiego „Slovenské Pokľady“ są godnym uwagi zbiorem artykułów beletrystycznych, naukowych i krytycznych. Okrom tego są jeszcze znakomicie redagowane pisma kościelne. Pomiędzy literatami najprze-

dniejsze miejsce zajmuje Swatozar Hurban, znany pod pseudonimem Wajanskiego. W „Narodnych Nowinach“ pisze on najwymowniejsze swego narodu obrony, felieton bogaci zajmującymi szkicami literackimi, „Slovenské Pohľady“ zapełnia po większej części utworami swego pióra, jest natchnionym poetą, a jeszcze znakomitszym nowelistą, przechodząc nawet poprzedników swych Janka Kalinczaka i Wilhelma Pauliniego. Po Wajanskim odznacza się jako poeta liryczny Paweł Orszagh (pseudonim jego jest Hwiedzosław), w pieśniach ubogiego ludu słowackiego. Z młodszych poetów i nowelistów okazuje piękny talent Jędrzej Bella w pieśniach swych w duchu ludowym—zresztą pojawił się cały szereg młodych wierszopisów na arenie literackiej, lecz żaden z nich dotąd nie pozyskał odrębnej indywidualności. Z młodszych w nowelistyce obiecująco występują Józef Szkultéry, Samo Bodicky i Helena Szoltésowa. Za to umilkł Milosław Dumny (właściwie Daniel Bachát), który lubo w wierszowanej poezji nie miał szczęścia, ale lekkie nowelle z ludowego życia nieźle mu się darzyły. Do grobu poszli zdobny nowelista Mikołaj Ferienczik, Jan Botto, poeta, autor Janoszika— a już po wydrukowaniu artykułu p. Włczka Samuel Chalupka, twórca rozkosznych ballad.

Praca nad literaturą ludową postępuje dalej. Paweł Dobszinsky w r. 1880 wydał znakomitą księgę „O obyczajach, zabobonach i grach słowackich,“ obecnie wydaje powieści ludowe. J. Kadawy puścił w świat jeden tom melodi p. t. „Słowackie śpiewy.“ Za to pieśni bez nut znajdują się w wydawnictwie komisji podaniowej towarzystwa „Sławia“ w Pradze. Próbkę krótkich dziejów literatury słowackiej wydał autor artykułu Jarosław Włczek. Aby zorganizować trochę ruch wydawniczy założono w Turczańskim św. Marcinie akcyjne towarzystwo drukarskie, które za roczną opłatą 1 złr. lub 4 rozmaitego rodzaju książki daje przedpłacicielom. Jednym słowem walka prowadzi się z właściwą plemieniu słowackiemu wytrwałością.

Od ubogiej niwy słowackiej przechodzimy do niemniej biednego, a pocziwie uprawianego zagona serbo-łużyckiego. Zaczynają nam dobrze znany, ksiądz Michał Hórnik w „Echach z Łużyc“ opowiada pokrótce to, co się tam w r. 1882 działo. W politycznym żywocie serbowie łużyccy mają pewne znaczenie tylko przy wyborach, przy których popierają kandydatów partyi konserwatywnej, wiedząc dobrze, iż liberałowie niemieccy, dążąc do jedności państwowej, starają się szkodzić ich narodowości. Z tego powodu napadła na nich „Schlesische Zeitung,“ oskarżając o pansławizm, tóż samo uczyniła „Norddeutsche“ w artykule wstępnym. Pretekst dały składki na cele naukowe łużyckie, płynące od innych słowian, zwłaszcza od polaków. Przeciwno tym bredniom wystąpiła nawet liberalna „National-Zeitung“ oraz katolicka „Germania.“ W sprawach kościelnych brak jeszcze wciąż księży i pastorów, gdyż w nowszych czasach mało młodzieży poświęca się teologii. Studenci serbo-łużyccy w Lipsku nakłonili słowaków, aby postarali się o pastorały w Łużycach i rzeczywiście już

dwóch słowaków, Lany i Dobrucki, otrzymali wakujące probostwa. Co do innych, rządy pruski i saski stawiają przeszkody. Dla zapobieżenia temu brakowi konferencya pastorów serbo-łużyckich napomina młodzież ewangelicką, aby w większym poczcie stanowi duchownemu się poświęcała. Założono także w Budyszynie „towarzystwo pomocy dla uczących się;“ które oprócz rocznych składek otrzymało 6000 marek z zapisu wdowy wieśniaczki Wjelowej z Trzebienic. W Chociebużu na dolnych Łużycach istnieje także podobne towarzystwo w mniejszych jednak rozmiarach. Katolicy mogą przyszyłych kapłanów swoich wychowywać w seminarjum łużyckim w Pradze, ale tym obecnie księży brakować zaczyna. W szkołach ludowych jeszcze uczą się dzieci w ojczystym języku, ale rządy saski i pruski radeby wielce wyrugować go zupełnie. Do seminarjów nauczycielskich w Prusach nie przyjmują serbów w należytem poczcie, a okrom tego niektórzy nauczyciele pruscy w kraju serbskim dostali nagrodę za to, że dzieci wyłącznie po niemiecku uczyli.

O stowarzyszeniach mówi ks. Hórnik, że tak w Budyszynie jak i na prowincyi działają należycie, wspomina przytem o koncercie śpiewackim wraz z balem, urządzonym przez towarzystwo śpiewackie w Lubiju. W piśmiennictwie pracowano wedle możności. W górno-łużyckim zaprowadzono tę zmianę, że dawniejszy „Łuziczanie“ i „Lipa serbska“ organ omladiny, połączyły się w miesięcznik „Łuzica“, redagowany przez profesora gimnazjalnego Ernesta Mukę i rozchodzący się w 700 egzemplarzach. „Serbskie nowiny“, redagowane przez Smolera, mają 2,000 prenumeratorów, tyleż ma ewangelickie czasopismo „Missionski posel“, wychodzące pod redakcją pastorów Domażki i Jakuba. „Katholski Posoł“ wychodzi w 750 egz. i ma od początku roku 1882 nowego redaktora w księdzu Skale. „Serbski Hospodar“ stanowi dwutygodniowy dodatek do „Serbskich Nowin“ i „Katholskiego Posła“, redaguje go starannie ks. Kubas, ma już 1,000 prenumeratorów. Naukowość reprezentuje „Czasopis Macicy Serbskeje“ ukazujący się co pół roku pod redakcją ks. Michała Hórnika. Bywają tam artykuły z dziejów literatury samego redaktora, Jencza, Muki, lingwistyczne rozprawy Pfula, poezye różnych osób, między innemi dolnołużyckie utalentowanego samouka, M. Kósyka—w jednym zeszytcie z r. 1882 znajdujemy bibliograficzną notatkę Alfonsa Parczewskiego. Kalendarzy ludowych w Górnych Łużycach wychodzi trzy: „Przedżenak“, „Krajan“ i „Polan a Holan“—z tych pierwszy najstarszy drukuje się w 5000 egzemplarzy. Najważniejszem wydawnictwem są „Zebranie dzieła Andrzeja Zejlera“, najlepszego i najulubieńszego z poetów łużyckich; nakład na to pomnikowe wydawnictwo dały skłładki uczącej się młodzieży serbo-łużyckiej. Z innych książek należy wymienić Jordana „Najpiękniejsze bajki ludowe“ i Jakuba Barty „Poezye z lat młodocianych.“

Literatura dolno-łużycka także robi postępy, popierana i przez górnych łużyczan. Dziennikarstwo reprezentują jedyne „Bramborske Nowiny“, wydawane w Chociebużu. Kalendarz „Pratyja“, którego

pierwsze trzy zeszyty ukazały się dzięki ofiarności Alfonsa Parczewskiego, w r. 1883 stanął na własnych nogach. Największą książką jest nowe wydanie kancyonau „Serbske duchowe kjarliže,“ obejmujące przeszło 600 pieśni—mające zastąpić dawniejsze niezdarne przekłady z niemieckiego, nieraz pozbawione rymu i rytmu. Do przeróbki tego dzieła zabrała się cała komisya pastorów i nauczycieli, mianowicie pp. Bronisz, Rocha, Temar', Swiela, Jórdan, Kósyk, Kopf, Nyczka i War'ko.

Artykuł swój ks. Hornik kończy następującemi słowy: „Dajemy więc nieustannie znaki życia narodowego i pozostajemy wiernymi słowiańszczyźnie. Niemcy nie przestają sądzić nas niesprawiedliwie i rozpowiadają po księgach uczonych i po czasopismach, że nas już nie ma. Tak w „Magazin für die Literatur des Auslandes L. Freytag (r. 1883 str. 563) pisze z okazji książki Schullenburga, tyczącej się serbów (łużyckich) „Ein exclairvirter Volkssplitter, welcher... der unaufhaltsamen Germanisirung binnen Kurzem unterliegen muss.“ My jednakże wiemy, że Niemcy tak już lat kilkaset prorokują, ale mimo wszelkich usiłowań i rozporządzeń prawnych — daremnie!“

Artykuł o krytyku rosyjskim Bielińskim jest tłumaczeniem ze wspomnień literackich Turgeniewa.

Sprawy szkolne stanowią także oddzielną rubrykę w „Sl. Sborniku.“ Znajdujemy tutaj artykuł Maryana Czeszewskiego „O szkole szląskiej.“ Autor datuje wystąpienie „kwestyi szląskiej“ od roku 1848, gdy narody austriackie zbudziły się z głębokiego snu, w który absolutyzm je był pogrążył. Chce on podać obraz szkół na Szląsku, jako komentarz do tylekroć wypowiedzianej próby o równouprawienie narodowości w szkole. Naprzód dowodzi, iż zdanie niemieckie, jakoby język der sogenannten Wasserpöhlen by platt-polnisher Dialekt, pomieszany z wyrazami niemieckimi, jest nonsensem i odwołuje się do zdania prof. Lucyana Malinowskiego, brzmiącego, że „lud szląski mówi tak czysto jak i w innych krajach naszej etnograficznej przestrzeni, a przymieszki obce nie są tam liczniejsze aniżeli w słowniku ogólnym.“ Podobnie fałszywe zdanie wytworzyli niemcy o języku czeskim w Szląsku Opawskim. Uczony prof. Faustyn Ens nazywa go „Zwittersprache“ i sądzi, że był w najdawniejszych czasach polskim, a potem dopiero pod zwierzchnictwem czeskiem nasiąknął wymową i wyrazami czeskiemi. Zdanie to świetnie obalił dziejowemi i lingwistycznemi dowodami profesor Prasek i okazał, że tanczeczka jest po prostu starożytną czeszczyzną, podobnie jak polszczyzna szląska ma wiele znamion języka z epoki Zygmunto-wskich. Statystyka, lubo stronniczo prowadzona, okazuje liczebną przewagę słowian nad niemcami, którzy w Szląsku do tego mówią jakimś barbarzyńskim, nieraz wcale niezrozumiałym dyalektem. Cytując znakomite słowa Karola Libelta o wychowaniu, p. Maryan Czeszewski utrzymuje, że „wychowanie musi mieć charakter narodowy, z czego wypływa, że wszelkie nauki winny być udziela-

ne w języku ojczystym. Ale na tém nie dosyć. Nauczyciel nie tylko powinien poprawnie mówić językiem, w którym ma nauczać, lecz jeszcze musi znać literaturę i dzieje swego narodu, musi czuć się częścią tego narodu i na uwadze mieć obowiązki swoje względem niego... A czy nauczyciele szlązcy wypełniają ten obowiązek? Czy mogą go wypełniać? Odpowiadamy z żalem w sercu: Niestety, nie! Złej woli udało się zrobić już wiele — bardzo wiele. U nas pełno wyrodków. Mamy ich wszędzie: w urzędach, w sejmie, w szkołach, na kazalnicach, w handlu, w przemyśle, a nawet w polu za pługiem! W szkołach elementarnych wprawdzie język ojczysty jest wykładowym, ale obok tego sześćoletnie dzieci już w pierwszej klasie muszą uczyć się po niemiecku. W szkole elementarnej wymagania są już bardzo znaczne.“ W następnych klasach język niemiecki ma coraz bardziej stawać się językiem wykładowym, czego inspektorowie szkolni, nadzwyczaj gorliwi germanizatorzy, bardzo ściśle pilnują. Rezultatem jest, że „nauczyciele, zamiast kształcić umysły młodociane, uszlachetniać serce, oświecać głowy, właściwie robią z dziećmi gimnastykę, wyginając język do dźwięków niemieckich i tresują ich pamięć, zmuszając do przechowywania ogromnego słów obcych zasobu.“ A mimo to dzieci po wyjściu ze szkółki ani jednego, ani drugiego języka nie umieją, Lud szlązki wielce dba o to, aby synów posyłać do „szkół,” t. j. do gimnazjów, gdzie język ojczysty jest tylko przedmiotem nadzwyczajnym, nieobowiązkowym, źle wykładanym, traktowanym niedbale — ztąd szkoły są rozsądnikiem renegatów.”

Nie możemy podawać całej treści owego artykułu, popartego nader pracowicie aparatem statystycznym, odsyłaczami do praw, dzieł specjalnych, czém wszysktem p. Maryan Czeszewski dowodzi, że istotnie Słowianom w Szlązku krzywda się dzieje pod względem szkolnym, że się praktykują rzeczy, które są sprzeczne nawet z brzmieniem praw i rozporządzeń władzy. Artykuł kończy się temi słowy: „Szlązk, będąc w nader smutném położeniu, istotnie rozpaczliwém, własnymi siłami obronić się nie zdoła. W nierównym boju o równouprawienie nie mógłby zwyciężyć. Niech więc oba bratnie narody, polacy i czesi, nie dozwolą, aby zaginał duch narodowy, który do dziś dnia w Szlązku się utrzymywał. Słowiańscy mieszkańcy Szlązka wytrwale zachowali skarb swój narodowy — język ojców swoich. Tém okazali żywotną swoją siłę i dowiedli, że godni są lepszej przyszłości. W Szlązku stykają się interesa polaków i Czechów. O tém niech nie zapominają polscy i czescy posłowie w radzie państwa. Est periculum in mora!”

K. Suzin z Petersburga pisze na kartach „Slov. Sbornika” o „wyższym kształceniu pańien i pań w Rosyi.“ Autor, stojący na stanowisku emancypacyjném, krótko, pobieżnie, ale za to w sposób ciężki opowiada o wyższych kursach, t. zw. Bestużewskich dla kobiet i o kursach lekarskich dla tychże.

Józef Holeczek opowiada pokrótce o „elementarnych szkołach

na Czarnęj Górze." Sądzi on, że „jeśli nieprzyjaciele słowian wyrzucają czarnogórców, że ci w wykształceniu w tyle pozostali, czynią im wielką i złośliwą krzywdę, zamilczając, dla czego się tak stało. Według autora, już to niemiała lubo niebezpośrednia zasługa czarnogórców dla kultury, że bronili jej przed powodzią żywiołu barbarzyńskiego. „Każda porażka, którą czarnogórcy turkom zadali, jest czynem kulturowym, a każdy junak czarnogórski bohaterem kultury." Ze i tam były dawniej wyższe tendencje, dowodzi to samo, że w ostatnim dziesiątku XV stulecia założono w Obodzie drukarnią i pierwsze druki serbskie pochodzą z Czarnęj Góry. W ciągłych walkach jednak utoneły wszelkie zarodki oświaty. Dopiero o naukę zaczęto się starać w naszym wieku. Pierwsze kroki zrobiono za władcykó w Piotra II, słynnego poety i Daniła I, ale brakowało środków materyalnych. Obecny książę Mikołaj założył drukarnię na Cetyni, postarał się o wydawanie książek i czasopism, a dla pozyskania funduszu szkolnego, wymyślił środek dość radykalny, zarządził obcięcie dochodów klasztornych. Roku 1868 oddał zarząd kościoła i szkoły w ręce metropolity pod nadzorem senatu i księcia. Komisya z władzyką na czele, spisała cały majątek ruchomy i nieruchomy klasztorów. Zostawiono tym ostatnim tyle ziemi, ile potrzeba było na ich kuchnię i dla bydła, resztę oddano w dzierżawę. Duchownym naznaczono płace roczne, a po odciążeniu sumy na utrzymanie i reparacyą budowli klasztornych, pozostało jeszcze 10,000 złr., z czego wyznaczono pensye metropolicie i nauczycielom, pierwotnie było ich coś koło trzydziestu. Mnichów tych nie było wielu, bo czarnogórcy wolą nosić karabin, aniżeli siedzieć w zaciszu klasztorném. W skutek lepszej administracyi dóbr duchownych, przewyżka dochodu wzrosła w r. 1872 do 56,650 złr. Z tego utrzymuje się 40 szkół elementarnych, sześciu mnichów, dwaj archimandryci, protopop cetyński, protodyakon i władzyka (metropolita), a krom tego dają się wsparcia ubogim uczniom. Gmina, która chce mieć u siebie szkołę, musi dać budynek i utrzymać go, reszta należy do rządu; nawet opłaty szkolnej rodzice nie wnoszą. Ks. Mikołaj bardzo gorliwie zajmował się szkołami. Przed wojną roku 1874 było ich już 74, z tych 29 na terytoryum tureckim, czego rząd turecki nie bronił. Szkoły te stanowiły wyborny środek propagandy politycznej. Po wojnie szkoła upadła; w roku szkolnym 1880 i 1881 szkół było tylko 22, a uczniów 1,180; — 1,069 chłopców i 111 dziewcząt; według wyznania 1,119 prawosławnych, 25 katolików i 36 mahometan. Procent uczących się w stosunku do 200,000 ludności 0,5 — najsmutniejszy stosunek, jaki tylko być może. Upadek ten był rezultatem pięcioletniej wojny, gdyż w walce wszyscy mieszkańcy biorą udział; nie ma w tym czasie ani zabaw, ani odpustów, ani wesel, a nauczyciele i starsi uczniowie biorą karabin.

W roku szkolnym 1881/2 poczet szkół wzrósł do 24, są to szkoły mieszane, z nich dwie tylko urządzone osobno dla dziewcząt. Uczniów było 1733 — chłopców 1628, dziewcząt 109; według wyznania

było 1667 dzieci prawosławnych, 44 mahometan i 26 katolików. Nauczycieli było 41, nauczycielek 2. Płaca nauczyciela wynosi od 150 do 200 talarów, nauczyciele wychodzą albo ze szkoły duchownej w Cetyni, albo ze szkół w Rosyi, Serbii lub Dalmacyi, skutkiem czego nie są oni jednakowo przygotowani. „Naczelnicy, którzy sprawowali urząd nadzorców miejscowych, w ogóle okazywali dosyć gorliwości, aby szkoły się podniosły, ale byli i tacy, co wcale o to nie dbali. Nawet niektórzy z ministrów dopuścili się względem szkół nadużyć, które dowodzą, że mają oni mało wykształcenia i nie rozumieją korzyści, jaka z porządných szkół wypływa.“ P. Holeczek przytacza kilka przykładów, między innemi, jak minister wojny, pop Ilija Plamenac, kazał r. 1881 część szkolnej budowy w Rijece użyć na skład broni, a dolne piętro kramarzom wynajął, a znowu w Nieguszach naczelnicy część budowy wynajęli na karcznię, a karczmarz znowu pod samą izbą szkolną oborę urządził. Ciekawą anegdotkę podaje autor na końcu „O jednym z nauczycieli, kolega jego, jako zastępca nadzorcy szkolnego, dał następującą opinią: Powiadają, że prowadzenie się jego jest dobre, a ponieważ w tych dniach wyprawiono go do Cetynia do więzienia, będziesz pan miał sposobność sam jego postępowanie ocenić.“

(d. n.).

„Liebsch Georg, Syntax der wendischen Sprache in der Oberlausitz.“ Bautzen 1884.

Rzecz niniejsza, chociaż opracowana w duchu lingwistyki deduktywnej, stanowi jednak ze względu na niektóre spostrzeżenia autora, tudzież ze względu na powołane tu wyniki nowszych badań, u nas jeszcze nieznaných, ważny i pożądany dla każdego uczonego słowiańskiego nabytek.

Wbrew Miklosiłowowi, uważającemu składnię za część gramatyki czyli nauki o formach, traktującą o znaczeniu części mowy (Wortclassen) i form wyrazowych (Wortformen), p. Liebsch utrzymuje, że składnia jest nauką o zdaniu, która jest myślą słowy wyrażoną. Opierając się na tej zasadzie autor przystępuje do właściwego podziału zdania na pojedyncze, gołe i rozwinięte, tudzież złożone. „Zdanie gołe, pojedyncze możnaby porównać, mówi autor, z najniższym zwierzęt rodzajem, obdarzonym z przyrodzenia najpotrzebniejszymi tylko do życia członkami. Jako w przyrodzie jest mnóstwo innych zwierząt z mniej albo więcej rozwiniętymi organami, podobnież i w języku obok zdania gołego mamy wiele innych, odznaczających się nader różnolitą formą (str. 61).“ W narzeczu łuzycykiem jak w innych pobratymczych, a nawet klasycznych t. j. greckiem i łacińskim jest nierównie większa ilość słów (verbów), stanowiących zdanie całkowite niż w niemieckim albo francuzkim, jako w językach, które z roz-



kładu dawnych pierwotnych powstały. Słowo np. riecz-i-my zawiera podmiot (my), orzeczenie czyli praedicatum (riecz) i spójkę t. j. copula (i), łączącą podmiot (my) z orzeczeniem (riecz). Orzeczenie w zwyczajnym szyku łużyckim pod wpływem niemieckiego, ostatnie w zdaniu zajmuje miejsce, lubo porządek odwrotny onych części, istniejący w słowach, dowodzi, że szyk w przyrodzie języków słowiańskich jest swobodny, albowiem obfitość form aryjskich zachowanych w żyjącej mowie słowian, tudzież życie na łonie przyrody przodków naszych były przyczynami, żeśmy nie uciekali się dla ubóstwa językowego do onych środków sztucznych, jakich właśnie chwyciły się plemiona, powstałe z mieszaniny rasy romańsko-celtycko-germańskiej; przyznać nam atoli należy, że analiza, będąca charakterem języków rozkładowych, od wielu wieków i w słowiańszczyźnie panowanie swoje rozpościera. Skutki tego widzimy w organizmie słowa w stosunku do starostwoiańskiego. Utraciliśmy np. imperfectum i aoryst, zachowany jeszcze w łużyckim; imiesłowy niegdyś rodzajowane przeszły w służbę przysłówków; liczba podwójna coraz to bardziej zamiera, a deklinacja artykułowana znana czytelnikom we francuzkim i niemieckim języku zawładnęła już zupełnie w bułgarskim.

Odpowiednio niemieckiemu „es“ w zdaniach nieosobistych, używa się w dawnych pomnikach łużyckich szczególnie w biblii zapomnianej, które okrom starostwoiańskiego znikło już w innych narzeczach pobratymczych; np. To je je (das ist est); Ty sy kowarj, ja je hisze sym (byłeś kowalem, ja nim jestem jeszcze).

Orzeczenie w przypadku 6-ym czyli narzędniku (on był kowalem) zachowane w litewszczyźnie i wielu narzeczach słowiańskich, zaginęło jednak w serbo-łużyckim; dziś zastępuje się przypadkiem 4-ym z przyimkiem za, np. Jan bie za wotrocza (sługą, parobkiem). W mowie ludowej zachowały się zaledwie szczątki orzeczenia w narzędniku i to jeszcze z przyimkiem z; np. to je z hrzechem.

Lubo wiadomo specjalistom, że tak zwany tryb rozkazujący zaginął w narzeczach słowiańskich, wyrażając się natomiast formą optatiwu (tr. życzącego), istniejącego w greckim, odpowiednią potentialisowi (t. j. trybu możności) w sanskrycie, jednak zwrócenie uwagi przez autora na to zjawisko, ukryte przed oczyma wielu dzisiejszych nawet gramatyków, uważać mu należy za zastugę. Nie sądzimy atoli, aby, jak p. L. twierdzi, przyczyną tego była ludzkość i łagodność słowian, nieznosząca szorstkości, widniejącej w trybie rozkazującym. Czyż utratę innych form np. aorystu, imperfectum i t. d. także przymiotami albo wadami narodowymi tłumaczyć sobie należy? Wpływ jednych narzeczy na drugie, stosunki bądź wojenne bądź pokojowe ludów, zmieszanie się ras i zmiany siedlisk, stanowią widoczne takich zjawisk przyczyny.

Pr. dr. Pful, twórca nowoczesnej pisowni łużyckiej, w słowniku swoim utrzymuje, że forma strow (zdrów) w wyrażeniu: Boh

daj strow (Bóg daj, abyś zdrów był) jest skróceniem rzeczownika strow je (zdrowie), co zdaniem p. Liebscha być nie może, gdyż w językach słowiańskich jest, był etc. często się wyrzuca; rzecz więc prosta jako wyrażenie: Boh daj strow jest zdaniem ściągniętym względem: Boh daj, zo by strow był (Bóg daj, żebyś zdrów był).

Łużycanie potwierdzając albo zaprzeczając jakiemuś zapytaniu h a j t. j. h a je, niekiedy ju zam. j ó, j o. Ono h a je znaczy właściwie a jest i wskazuje na łączność odpowiedzi z zapytaniem w jedno zdanie. Dolnołużyckie jo jest tylko przemianą je (jest).

Kończąc to sprawozdanie nadmieniamy, że narzeczce łużyckie, jako będące zabytkiem dawniej mowy słowian połabskich, przedstawia dla badacza polszczyzny ważny do studyów przyczynek. Przejście joty na h należy do cech dyalektu łużyckiego np. hinak=jinak, hiż=jiti=ić); zamiast naszego ch istnieje pierwotne kh, którego jednak nienależy mieszać z sankryckim kh (bo tutaj h wymawia się oddzielnie), spółgł. w bywa przydechową (wona zamiast), a nawet i h (hacz zam. acz). Okrom tego w łużyckim zachowało się wiele form prastarych, zachowanych tylko w starosłowiańskim jak np. imperfectum i a o r y s t.

Praca p. Liebscha jest tylko jakby zarysem obszerniejszego dzieła, które z czasem skreślić zamierza. Mając na uwadze uczonych rozmaitych narodów słowiańskich, książkę swoją napisał w języku niemieckim.

Spodziewać się należy, że składnia p. Liebscha zwróci uwagę specjalistów naszych, pracujących na niwie językoznawczej.

*Justyn Feliks Gajsler.*

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

### WARSZAWA.

*Wrzesień, 1884.* — Zarząd Towarzystwa popierania przemysłu i handlu odzywa się ponownie do pośrednictwa prasy w piśmie następującem:

Przemysł drobny wiejski zagranicą a nawet w Galicyi, w Poznaniu i na Szlązku coraz bardziej zwraca na siebie uwagę ekonomistów. Mieszkańcy wsi lub miasteczek rolnych w miesiącach zimowych znajdują bardzo wiele czasu wolnego od zajęć gospodarskich. Zając go korzystnie, jest to zwiększyć dochody ogólne roczne, które znowu wobec ciągłego drobnienia osad włościańskich, zdołałyby pokryć wiele najbardziej niezbędnych wydatków. Wszędzie jednakże rozwój tego drobnego przemysłu zależy od odpowiedniego zaopiekowania się nim bądźto władz rządowych, bądź też instytucji prywatnych. Towarzystwo nasze radoby się tą kwestyją zając i w tym celu utworzyło w gronie swoim oddzielną sekcją przemysłu drobnego wiejskiego i miejskiego, która sądzi, że zanim obmyślą się sposoby podniesienia przemysłu ludowego, potrzeba poprzednio zbadać, jaki jest stan obecny pomienionego przemysłu w kraju.

Zarząd Towarzystwa odniósł się już do członków Towarzystwa i do osób, specjalnie ze stosunkami drobnego przemysłu ludowego obznajmionych z prośbą o nadsyłanie odnośnych uwag, wskazówek i wiadomości. Gdy jednak znaleźć się mogą jeszcze inne osoby chętne i dokładnie obznajmione z tą sprawą, przeto zarząd za pośrednictwem prasy udaje się do nich z prośbą o nadsyłanie mu wszelkich uwag, myśli i wiadomości, jakie tylko mogą mieć związek z podniesieniem u nas przemysłu domowego ludowego. Potrzebne są mianowicie wiadomości o stanie obecnym następujących działów przemysłu ludowego:

- 1) z działu wyrobów tkackich ręcznych: o wyrobach wełnianych, płótnach, koronkach, czapkach, powrozach i t. p.
- 2) z działu wyrobów ze skóry: o kozuchach, pasach, zaprzęgach, obuwiu i t. p.
- 3) z działu wyrobów z drzewa: o wyrobach bednarskich, koszy-

karskich, rzeźbiarskich, sprzętach domowych i gospodarskich; gontach, zabawkach dzieciennych, cybuchach, tabakierkach, nożykach i t. p.

4) z działu wyrobów z gliny: o miskach, garnkach, fajkach, zabawkach, doniczkach i t. p.

5) z działu wyrobów metalowych, jak: kłódki, zamki, zasuwki, noże, osie, siekiery, łyżki blaszane i t. d.

6) z działu wyrobów z kamienia, np.: kamienie młyńskie, nagrobki, przyciski, popielniczki, figury gipsowe i t. p.

7) z działu wyrobów nabiału, np.: sery w większym zakresie produkowane — i nakoniec:

8) Kaszarstwo, pszczelnictwo, jedwabnictwo i hodowla ryb po wsiach i w miasteczkach.

O przemysłach powyższych potrzebne są następujące szczegóły: w jakim powiecie, wsi lub osadzie zajmują się danymi przemysłami, co mianowicie wyrabiają, ile tém zajmuje się osób, w razie, jeżeli przemysł potrzebuje warsztatów, to ile owych warsztatów jest w ruchu, następnie przybliżona wartość produkcji w danej wsi lub osadzie, wiadomośc jak dawno mniej więcej istnieje w danej miejscowości drobny przemysł i nakoniec, czy produkcja się zwiększa lub zmniejsza, biorąc pod uwagę ostatnich lat kilka.

Oprócz tych wiadomości pożądanymi byłyby odpowiedzi na pytania następujące:

1) Jakie są przyczyny, iż w pewnej wsi lub osadzie rozwinął się tego rodzaju przemysł? czy powodem tego jest obfitość materiału surowego, jak: len, wiklina, glina, marmur, odpowiedni rodzaj drzewa i t. p.? czy potrzeby mieszkańców? czy jest odbył do fabryk większych, a sprzedaż na zewnątrz powiatu na jarmarkach i jakich mianowicie? czy materiał surowy producenci kupują i gdzie? czy też go sami sobie przygotowują, jak np.: skóry; jaka jest historia rozwoju tego przemysłu w danych okolicach?

2) czy przemysłem drobnym zajmują się mieszkańcy przez rok cały, czy tylko przez jego część?

3) czy osoby, trudniące się danym przemysłem, wyrabiają całe przedmioty tak, jak idą na sprzedaż, czy też tylko części danego przedmiotu, a jeżeli tylko części, to jakie i gdzie je kupić można?

4) czy pracownicy ograniczają się tylko na pomocy rodziny, czy też utrzymują robotników, bądź stałych bądź przychodnych; jaką rolę odgrywa w tém praca kobięca?

5) jakim sposobem osoby, trudniące się przemysłem wiejskim, dochodzą do wykształcenia fachowego: czy przez terminowanie, czy przez szkoły i czy nie ma w danej miejscowości wyróżniających się samouczków?

6) czy sprzedają produktów zajmują się wprost sami wytwórcy (pracownicy), czy też sprzedaż odbywa się za pomocą pośredników handlowych, a także, czy towary wyrabiane są na zamówienia, czy też na ryzyko producenta?

7) dlaczego przemysł drobny przestał się rozwijać lub upada, czy wskutek wyczerpania materiału surowego, czy z powodu dowozu odnośnych wyrobów z fabryk lub z zagranicy, czy dla obniżenia się wartości wyrobu, czy wskutek tego, że przestano żądać danego wyrobu, czy z powodu braku kapitału obrotowego i kredytu, czy też dla innych przyczyn?

8) jakie rodzaje przemysłu drobnego wiejskiego mogłyby się w powiecie (wsi, osadzie, lub miasteczku) rozwinąć i dla czego, t. j., czy dla zapewnionego odbytu, czy z powodu obfitości materiału surowego, czy na mocy wyłącznej zdatności mieszkańców do pewnego zajęcia, lub też dla innych przyczyn?

9) coby należało zrobić, aby podnieść lub wprowadzić przemysł wiejski w powiecie i czy znajdują się w okolicy osoby, które nawet z pewną ofiarnością w naturze (dom, ogród i t. d.) zechciałyby przyjść w pomoc wytworzeniu się lub rozwojowi drobnego przemysłu?

10) czy w danej miejscowości pomiędzy ludnością, zajmującą się drobnym przemysłem wiejskim, nie objawiają się dążności do stowarzyszenia się, bądź w celu zapewnienia sobie kapitału obrotowego, bądź do zakupu materiałów, bądź dla udogodnienia sprzedaży towarów i t. d.?

Nadto oprócz szczegółowych odpowiedzi na powyższe pytanie, byłoby do życzenia, iżby ujawnione być mogły inne szczegóły lub rady, mogące wpłynąć na rozwój przemysłu ludowego.

O nadsyłanie uwag, o ile można w najkrótszym czasie, uprasza Zarząd pod adresem: „Zarząd oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu w Warszawie, ulica Ordynacka, nr. 2.”

— Dnia 10 września zakończył swoje posiedzenia w Odesie „VI zjazd archeologiczny rosyjski,” który obradował tu od dnia 27 sierpnia. Z pomiędzy referatów, jakie rozbierano, spotykamy i takie, które dotyczą wprost naszych dziejów. Mówili pp. Antonowicz (o pieczarach skalistych nad Dniestrem), Putiatin (o szkieletach w kurhanach nad Dniestrem i Bohem i o ich stosunku do wykopalisk w Galicyi), Matwiejew (o pomnikach sztuki średniowiecznej w Polsce); Lebedincew (o drukach w kijowsko-peczerskiej „ławrze” w w. XVII i XVIII), Markiewicz (o dziełach polskich, jako źródłach lub wzorach dla historii południowo-zachodnich prowincyi Cesarstwa (Rusi) w w. XVI i XVII, Ewarnickiego (o danych archeologicznych z Zaporozża); Gotfryd Ossowski z Krakowa (o próbie klasyfikacyi chronologicznej dla wieku kamiennego, opartej na wykopaliskach jaskiń w okręgu krakowskim i gub. kieleckiej); hr. Bobriński (o kurhanach śmilańskich i. i. Zjazd Odesski, jakkolwiek z oczekiwanój liczby 500, tylko 200 członków przybyło, nie pozostanie bez korzyści dla postępu archeologii, tój nader ważnej nauki pomocniczej historii. Z polaków brali udział w zjeździe Gotfryd Ossowski z Krakowa i prof. Mierzyński z Warszawy.

— W dniach 19, 20 i 21 września, odbywała się w Kijowie uro-

czystość jubileuszowa z powodu 50 letniej rocznicy założenia uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie. Przez dość długi przeciąg czasu, gdy ani w Warszawie ani w Odessie nie było uniwersytetu, a warunki kształcenia się zagranicą były utrudnione, kształciło się tu wiele młodzieży polskiej, która równie w życiu obywatelskiem jako i naukowym i literackim chlubnie się odznaczyła. 50 lat istnienia dla uniwersytetu to za mała wprawdzie przestrzeń czasu dla jubileuszu poważnego; ale w każdym razie jest to miłe przypomnienie nadziei, zamiarów i wspólnych trudów dla tych, którzy się tu kształcili. Pierwiastkowy projekt tego zakładu powstał wprawdzie daleko wcześniej, bo jeszcze 1805 r.; lecz z rozmaitych przyczyn nie przyszedł do skutku. Dopiero wypadki lat 1830—31 nastąpiły rządowi sposobność do zmiany dotychczasowego wychowania publicznego w guberniach zachodnich, z którą połączono zwinięcie dwóch wyższych zakładów naukowych w kraju, mianowicie akademii wileńskiej i liceum krzemienieckiego. Ukaz cesarza Mikołaja z dn. 8 listopada 1833 r. poleca utworzenie z liceum krzemienieckiego szkoły wyższej z dwoma wydziałami: prawniczym i filozoficznym; w kilka lat później szkołę tę uzupełniono spuścizną po uniwersytecie wileńskim, zamkniętym w r. 1832 i akademii lekarskiej wileńskiej, która istniała lat kilka za ledwie. Po liceum krzemienieckim odziedziczył uniwersytet kijowski większą część swych środków materyalnych i naukowych pomocniczych, jak bibliotekę złożoną z 34,378 tomów, laboratoria, gabinety: mierniczy, numizmatyczny, astronomiczny, muzeum starożytności, zbiory budownicze, przyrządy fizyczne i mechaniczne, 30,000 okazów zoologicznych, ogród botaniczny liczący 15,538 przedmiotów; wreszcie gotowy fundusz zakładowy w sumie 523,627 rs. Z Wilna otrzymał tenże uniwersytet: bibliotekę uniwersytecką liczącą 7,524 tomów, bibliotekę wileńskiej akademii katolickiej i bibliotekę akademii lekarskiej. Większą część profesorów uniwersytet kijowski także po liceum krzemienieckim otrzymał w spadku; w r. 1834 na ogólną liczbę 20 profesorów było z Krzemieńca 16; w r. 1835 na 29 było 20 krzemienieckich. Żywioł polski atoli z biegiem czasu począł słabnąć tak wśród ciała nauczycielskiego jak i wśród studentów, skutkiem tych samych co i w Wilnie i w Krzemieńcu okoliczności. „Kijowska Staryna“ wspomina o bytności cesarza Mikołaja w r. 1837 w murach uniwersyteckich, kiedy poczęły się ujawniać pierwsze wśród akademickiej młodzieży ślady agitacji. W auli uniwersyteckiej oczekiwali go profesorowie i studenci, pierwsi po prawej, drudzy po lewej stronie. Cesarz wszedł i nie powitawszy nikogo zwrócił się z surowym upomnieniem najprzód do młodzieży, potem do profesorów. Niebawem z uniwersytetu zostało wydalonych i wysłanych kilku studentów polaków (Bohdanowicz, Bujalski, Gordon, Rutkowski) za rozpowszechnianie wierszy zabronionych. Położenie atoli uniwersytetu kijowskiego, położonego w okolicy zaludnionej przez małorusów i polaków, stawiało go w warunkach nader wyjątkowych ze względu na wymagania. W ro-

ku zatem 1838, podczas agitacji w guberniach zachodnich, uniwersytet kijowski znowu nie pozostał obojętnym spektatorem. Tym razem uniwersytet został zamknięty na jeden rok, 192 studentów wydalono, 22 oddano pod sąd wojenny. Z tej liczby dziesięciu skazano na służbę na Kaukazie bez awansu; pięciu z pozbawieniem szlachectwa (Milewski, Pietruszkiewicz, Sosnowski, Winnicki, Źródłowski), pięciu bez pozbawienia szlachectwa (Czerny, Jurkowski, Lubowidzki, Osiecimski, Szymanowski); wreszcie ośmiu oddano do wojska z prawem awansu (Augustynowicz, Boczkowski, Korsak, Niemira, Perczyński, Strzelnicki, Wysiekiewski, Zawadzki). Uniwersytet jednak nie był przez rok zamknięty; na wstawienie się przez generał-gubernatora Bibikowa, wykłady zaczęły się w nim we wrześniu 1839 r. zamiast w styczniu 1840. W dalszym ciągu w r. 1846 uniwersytet kijowski stał się widownią znanych epizodów z ukrajinofilskim zabarwieniem. Do liczby zamieszanych w tę sprawę należeli między innymi Taras Szewczenko, poeta i głośny historyk Kostomarow; przypłacili to obadwaj w sposób dotkliwy. Pierwszy został zesłany, drugi aresztowany i osadzony w twierdzy Petropawłowskiéj w Petersburgu. Wreszcie w epoce późniejszej przed i po roku 1870 były w uniwersytecie kijowskim jak i w innych rosyjskich mniej ważne rozruchy. Podajemy dla uzupełnienia tej notatki listę kolejną rektorów uniwersytetu kijowskiego od chwili jego założenia. Pierwszym był M. Maksymowicz, drugim od 1836 do końca 1837 W. Ziech; dalej szli: K. A. Niewolin (1837—1843), W. F. Fiedorow do 1847; R. E. Trautvetter do 1859, N. Ch. Bunge (obecny minister skarbu) do 1862; N. D. Iwanyszew do 1865; K. A. Metjukow przez kilka miesięcy 1865, A. P. Matwiejew do 1871, Bunge (powtórnie) do 1875, Matwiejew (powtórnie) do 1878, Bunge (poraz trzeci) do 1880, K. M. Feofliaktow do 1881, J. J. Ruchmaninow do 1883 i N. K. Rennenkampf do dnia dzisiejszego.

— Dnia 23 sierpnia (4 września) 1884 r. zatwierdzoną została „Ogólna ustawa cesarskich uniwersytetów rosyjskich“ (ogłoszona w nr. 92-im „Zbioru praw i postanowień rządu“). Zakres działania tej nowej ustawy nie rozciąga się w myśl Ukazu Najwyższego ani do uniwersytetu dorpckiego, ani do uniwersytetu warszawskiego, zajmującego pod względem organizacji zupełnie odrębne, wyjątkowe stanowisko. Ze względu jednak na to, że znaczna część młodzieży polskiej kształci się na pozostałych 6-ciu uniwersytetach w Cesarstwie, przedstawia Ustawa najnowsza i dla społeczeństwa naszego interes bezpośredni. Zresztą z biegiem czasu znajdą zapewne te nowe przepisy i u nas zastosowanie. W dziejach uniwersytetów rosyjskich stanowią dotychczas 3 ustawy niejako punkta graniczne epok, które najwyższa instytucja oświecenia publicznego w Rosyi przeżyła, mianowicie ustawy z r. 1804, 1835 i 1863. Ostatnia z nich z dn. 18 (30) czerwca 1863 rozpoczęła i na tém polu liberalną zasadę samorządu, wykonywanego przez radę profesorów z rektorami na czele. Władza kuratora miała tylko pośrednie znaczenie. Wcale nie pożądane dążenia społecznej i polity-

cznej natury w ostatnich latach nastęrczały powód do sarkania i do krytyki urzędów uniwersyteckich, które nie popierały postępu nauki. Nowa ustawa wprowadza zmiany w 2-ch kierunkach: jedne dotyczą kwestyi administracyjnej czyli organizacyi wewnętrznej władz uniwersyteckich i ich stosunku do kuratora i ministra, drugie odnoszą się do systematu wykładów i egzaminów. W pierwszym kierunku zasada wyboru ustępuje miejsca nominacyi. Co do wykładów, to profesorowie oprócz przedmiotu należącego do zajmowanej katedry, mogą wykładać osobno i inny kurs, a słuchacze mogą dowolnie obrać sobie tego z profesorów, którego kurs najwięcej przedstawia im pożytku. Do wykładu może minister dopuścić osoby posiadające kwalifikacyą naukową w charakterze docentów. Zmieniono także systemat opłaty. Każdy student opłacać będzie na początku semestru oprócz 5 rs. wpisowego t. zw. „czesne“ na rzecz profesora wykładającego, w stosunku 1 rs. od każdej godziny tygodniowo, co wyniesie rocznie około rs. 50. Egzamina są trojaki: 1) częściowe (semestralne i repetycyjne); 2) naukowe (na stopnie magistra lub doktora już po otrzymaniu dyplomu) i 3) egzaminy na dyplom. Pierwsza kategoria egzaminów sypcha uniwersytet na stanowisko zwykłej szkoły średniej, przyspasabiającej do studyów uniwersyteckich i pochłania nadzwyczaj wiele czasu bez żadnego pożytku dla nauki, ponieważ ciągłe egzamina zmuszają młodzież do mechanicznego, pamięciowego uczenia się kursów niby lekcyi i nie pozwalają zająć się studyami samodzielnymi.

— Wydział historyczno-literacki Tow. Przyjaciół nauk w Poznaniu odbył dnia 15 września pierwsze po letnich feryach posiedzenie. Złożonego chorobą prezesa, p. Stanisława Koźmiana, zastępował p. Władysław Bentkowski. Przez balotowanie przyjęto na członka pana rzecznika Wolińskiego z Poznania. Pan przewodniczący wznowił przez mecenasa Medejskiego ze Lwowa towarzystwu przyjaciół nauk do wiadomości udzieloną sprawę współpracownictwa w ułożeniu słownika polskiego prawniczego. — Po krótkiej dyskusyi nad przedmiotem tym, po razy już kilka w wydziale historyczno-literackim rozważanym, poruczono ostatecznie komisyi ku temu wybranej, ażeby pomogła w wydawnictwie zamierzonym przez p. Madejskiego przez zebranie terminów prawnych polskich, zachodzących w sądownictwie pruskiem według zmian formalnych tegoż sądownictwa, zaprowadzonych od 1 października 1879 r.

Dr. K. Szulc zdawał następnie sprawę z Kongresu antropologiczno-archeologicznego, który się b. r. na początku sierpnia odbył we Wrocławiu, jak to czytelnikom Biblioteki wiadomo z zeszytu poprzedniego.

— „Istoryczeskij Wiestnik“ w ostatnim zeszytcie zamieścił korespondencyą posła włoskiego w Petersburgu, margrabiego Pepoli, który w r. 1863 informował swój rząd o przebiegu sprawy polskiej, w chwili gdy Francya, Anglia i Rosya wystąpiły ze znanymi no-



tami dyplomatycznymi. Czytelnikom Biblioteki nie będzie obojętną treść téj korespondencji, stanowiącej między innymi przyczynek do źródeł historyi współczesnej. dla tego zamieszczamy ją na tém miejscu według tłómaczenia ogłoszonego w gazecie warszawskiej „Słowo“ w Nr. 217. z r. b. z dnia 22-go września.

„Wyprawilem dziś—pisze Pepoli 17 kwietnia 1863 r. do ministra spraw zagranicznych włoskiego, — do waszój ekscelencyi depe-szę, zawiadamiającą, że posłowie angielski i francuski, jak również minister austriacki, przedstawiają p. Gorczakowowi trzy noty i pismo zbiorowe od trzech poselstw. Noty rzeczzone różnią się bardzo pomiędzy sobą i pod względem treści i pod względem formy. Nota angielska jest nader jadowita. Francuska nota nie powołuje się na traktaty wiedeńskie, ale stawia ewentualną możliwość naruszenia pokoju europejskiego, ton jój jest wyrozumiały i dla Rosyi życzliwy. Nota austriacka mówi o Galicyi, o niebezpieczeństwach mogących wypłynąć z polskich zaburzeń i zaklina Rosyą, aby unikała politycznych waśni.

„Taka jest, o ile pomnę treść tych trzech dokumentów. Byłem wczoraj u posła angielskiego i rozmowa nasza zasługuje na uwagę z strony pańskiej. Lord Napier zaczął od tego, że winienem znać treść noty angielskiej, bo z uwagi na to, co zostało napisane do margrabiego d'Azeglio, powinienem jakoby popierać poglądy Anglii. Przeczytał mi więc notę i zapytał, co o nię myślę. Nie mogłem nie powiedzieć mu, że uważam ją za jadowitą i że wedle mego zdania nie przyczyni się ona do utrwalenia pokoju. Powiedział mi wtedy, że nota francuska jest bardziej umiarkowana; że jednak angielska jest otwart-sza i podyktowana przez uczucie przyjaźni ku Rosyi. Uśmiechnąłem się i zapytałem lorda, jakiej téż odpowiedzi na tę notę się spodziewa?

„— Myślę—odrzekł,—że zostanie przyjęta przychylnie. A pan jak myśli?

„— Coby powiedział, odrzekłem znowu ja, minister spraw zagranicznych w Londynie, gdyby otrzymał podobną notę?

„Zapytanie to wprawiło w zamyślenie lorda i przyznał, że minister przyjąłby ją z wielkiem niezadowoleniem. Zawsze jednak zakonkludował, że jego zdaniem, rząd rosyjski okaże się skłonny do umiarkowania.

„Na to i ja nie mogłem nic odpowiedzieć, bo wedle porannych wiadomości, jakie miałem, Cesarz był istotnie pojednawczo usposobiony, ministrowie jednak i wyższe sfery urzędowe podniecały go, a prasa wypowiadała poglądy, które nie mogły być miłymi zwolennikom pokoju.“

Nazajutrz Pepoli zdaje w następujący sposób sprawę z audyencyi u ks. Gorczakowa:

„Widząc, że ks. unika rozmowy o Polsce, postanowiłem sam zacząć i odczwałem się nawpół żartem, że księciu zapewne łatwiej jest

udzielić odpowiedź na moje notę dzisiejszą, aniżeli na te, które otrzymał wczoraj. Książę odrzekł, że my włosi jesteśmy zbyt roztropni, iżbyśmy mieszały się do tej smutnej sprawy i wyraził nadzieję, że ja nie otrzymałem zapewne polecenia podtrzymywania przedstawionych Rosyi wymagań. Odrzekłem, że dotąd nie otrzymałem żadnych instrukcyi, oprócz tych, które mu już komunikowałem i zaznaczyłem przy sposobności, jak mi przykro było dowiedzieć się, że książę w rozmowie z lordem Napierem dał się słyszeć, jakoby moje wynurzenia nie miały wielkiej wagi. Książę myślał przez chwilę i rzekł:

„Mam jedno do powiedzenia. Manifest Cesarza jest jasny. Ja nie dopuszczam wyrazu „ustępstwo,“ państwo silne nie ustępuje; wyraz „ustępstwo“ ma znaczenie słabości.

Usłyszawszy to, niewiele miałem do powiedzenia ministrowi i zapytałem go już tylko szczerze: na czém się to wszystko skończy? Nie na tém — rzekł — czego sobie życzą państwa zachodnie. Rosya nie ustąpi i nie odstąpi; raczj zgodzi się na wojnę. Potém sam wspomniał jeszcze o kombinacyach zawartych w moich instrukcyach, czyli o przyłączeniu Galicyi i Poznańskiego do Księstwa Warszawskiego pod rządem Rosyi.

Wiem — powiedział, że wielu sobie tego życzy, ale dopóki zasiadam w Radzie państwa, dopóty nic podobnego nie zajdzie. Rosya nie chce rozszerzać swych posiadłości i jeżeli takie wielkie plany przychodzą mi na myśl, to je wprost odpycham jako marzenia fatalne i niebezpieczne dla méj ojczyzny. Rosya musi się uporządkować wewnątrz. Cesarz Aleksander I i Mikołaj zbyt wiele zajmowali się sprawami zewnętrznymi. Pierwszy chełpił się z nazwy króla Agamemnona, jaką zyskał na kongresie wiedeńskim a zapominał o tém, że państwo może być wielkiem na zewnątrz wówczas tylko, gdy jest silnem wewnątrz. Polityka Aleksandra II dąży do przygotowania gruntu dla wolności i położenia fundamentu pod handlowe i przemysłowe znaczenie Rosyi. Cesarz mógłby wywierać presją na ministerjum spraw zagranicznych, polityka bowiem zewnętrzna, której się trzyma, jest polityką nieinterwencyi, ale gdyby moje zasady były nieuwzględnione, usunąłbym się natychmiast. Cesarz wie, że być ministrem, jest z méj strony ofiarą nielada, której zrównoważyć niczém nie można. Bogactw nie potrzebuję, zaszczytów mam po uszy. Dwie rzeczy, które mogłyby mnie zadowolić, nie są w jego mocy: nie może mi dać ani szczęścia domowego, które straciłem ze śmiercią mojej żony ani powrócić... Niezależność stanowiska jest moją siłą.“

— Marcina Bielskiego „Komedia Justyna i Konstancyj,“ drukowana w r. 1557 u M. Wierzbicy w Krakowie, znana dotychczas prawie tylko z tytułu, odnalazła się obecnie w bibliotece Zygmunta Czarneckiego w Rusku pod Borkiem w W. Ks. Poznańskim. Podaje o niej wiadomość p. Wisłocki redaktor „Przewodnika bibliograficznego“ w najnowszym numerze swego pisma w tych słowach: „Podzielona na trzy „sprawy,“ czyli po naszymu akty, jest nadzwyczaj ciekawą, tak do charakterystyki samego autora, jak stosunków spo-

łecznych i pojęć ówczesnych.“ Wysyłając dzieło swoje w świat, daje mu autor między innymi taką wskazówkę:

Pójdziecie potem do Rusi,  
Boć wždy swe nawiedzić musi,  
Zwłaszcza do ziemi Przemyskiej,  
Szlachty z dawna towarzyskiej.  
Tamem się chował z młodych lat  
Każdy mi się zachował rad,  
Lud tam z dobrém rozeznanim  
Pochadzajcie jedno za nim.

Wspomina swoich stryjów, Prawdziców, a „po żenie“ Okszców, „którzy „dzierzą się pisma i czytania,“ O Mazowszankach wyraża się bardzo pochlebnie: „bo tam ziemia bardzo ludna, Pani gładka, panna cudna..... dobry obyczaj mają, radzi po polsku czytają.“

— Edward Jelinek wydał jakieśmy to już dawniej pobieżnie wzmiankowali w X tomie rozpraw wydziału filologicznego Akademii umiejętności w Krakowie „Bibliografią przekładów z piśmiennictwa polskiego na język czeski (do końca 1882 roku).“ Spis ten, dokonany z istic benedyktyńską cierpliwością, zawiera w sobie blisko 1000 tytułów i niemal 160 imion tłumaczy, między którymi nierzadko spotykamy najgłośniejsze nazwiska piśmiennictwa czeskiego. Wogóle przekłady te są bardzo starannie i umiejętnie dokonane, lubo trafiają się i prace słabe, podjęte lekkomyślnie z małą znajomością języka i niewielkim teleutem. Mimo to jednak tak co do ilości, jak i co do jakości przekładów, czesi o wiele przewyższają nas, którzy możemy się poszczycić zaledwie małą ilością tłumaczy z czeskiego i to niekiedy ze słabą znajomością języka.

Najstarszym przekładem z polskiego są Żywoty świętych Skargi, przełożone przez Berliczkę (Scipiona), ale nie drukowane wcale; rękopism z datą r. 1600 znajduje się w bibliotece uniwersyteckiej w Pradze. Zato „Pobożny żołnierz“ Skargi, w przekładzie Tom. Ign. Placalii wyszedł drukiem w Pradze r. 1634. Potem idzie przekład „Myszeidy“ Krasickiego, dokonany przez Roźnianego i umieszczony w Wiedeńskich Listach r. 1815. Odtąd sypią się już przekłady z polskiego, rosnąc z postępem czasu niby tocząca się lawina. Mickiewicza tłumaczyło 32 tłumaczy, głównie Sztulc i Krasnohorska. Słowacki miał 7 tłumaczy, między innymi wybornie go przekładał Otakar Mokry. Krasickiego przekładało 12 autorów, głównie Kwapil, jeden wiersz „Zawsze i wszędzie“ przełożył J. Vrchlický—Jrydyona zaś J. W. Fricz. Wyliczenie przekładów z Kraszewskiego zajmuje cztery stronic. Między drukowanymi przekładami znajdujemy i takie, które dokonano z rękopismów, dotąd po polsku niedrukowanych, szczególniej ma być ciekawy rękopism Feliksa Sójkowskiego, przełożony przez Rud. Pokornego i pomieszczony w Poście z Pragi z r. 1877. Sójkowski, którego żywot obfitował w dziwne przygody, w młodym wieku

umarł w Pradze, gdzie doznał serdecznej gościnności i nader troskliwej opieki.

W tymże samym tomie „Rozpraw“ znajduje się także Edwarda Jelinka „Bibliografia dzieł, rozpraw i artykułów czeskich, dotyczących rzeczy polskich. Część droga (1878—1882 r.). Pierwszą część doprowadzoną do r. 1878 Jelinek drukował był przed kilku laty. Podobne prace, tyczące się literatury chorwackiej i serbskiej, Jelinek wygotował był dla Akademii Południowo-słowiańskiej w Zagrzebiu.

B. G.

— We Lwowie wyszły „Wspomnienia o życiu i działalności Włodzimierza Barwieńskiego,“ zgasłego nie dawno redaktora „Diła“ i pracownika rusińskiego.

W Kijowie N. J. Petrow wydał „Szkice literatury ukraińskiej XIX stulecia, w których literaturę tę dzieli na sześć peryodów 1) Okres pseudoklasycyzmu i parodowanych poezji, zagajony przez J. P. Kotlarewskiego, autora „Enejdy trawestowanej“ 2) Okres literatury sentymentalnej, mającej głównego reprezentanta w Kwitce-Osnowanience, 3) Okres literatury romantycznej, zostającej pod wpływem Mickiewicza i Puszkina, 4) Okres literatury narodowej, mającej na celu połączenie klasycyzmu z romantyzmem, który wydał głównie zbieraczy literatury ludowej np. Maksymowicza, Bodziańskiego i t. p. 5) Okres słowianofilstwa, reprezentowany przez Szewczenkę, Kulisza i Kostamarowa i 6) Okres najnowszego ukrajinofilstwa, przybierający powoli charakter demokratyczny. Autor ograniczył się na literaturze t. z ukraińskiej, pomijając działalność rusinów w Galicyi.

B. G.

— Znanie dzieło Edwarda Jelinka „Polskie panie i dziewice“ wyszło w przekładzie polskim, nakładem K. Bartoszewicza w Krakowie. Toż dzieło przełożył na chorwacki A. Tkalczewicz—Weber i pomieszcza w „Viencu“ zagrzebskim; A. Teodorow zaś przeniósł je do literatury bułgarskiej.

Jelinek wydał także niedawno „Historyczne humoreski“ a obecnie pracuje nad zbiorkiem obrazków z życia małoruskiego p. t. „Moگی ukraińskie.“

B. G.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa wyszły z druku „Wspomnienia z przeszłości, opowiadane Deotymie“ przez Antoniego Edwarda Odyńca, Warsz., 1884. Dzieło to, stanowiące osobną całość, jest niejako drugą seryą ciekawych i bardzo ważnych dla literatury naszej „Listów z podróży.“ Jak w „Listach z podróży,“ tak i tutaj, sędziwy poeta zebrał i opowiedział przyjaciółce-poetce wspomnienia ze swęj przeszłości, z właściwą sobie skromnością, pozostawiając siebie na drugim planie, a zbierając najskrzętniej wszystko, co się odnosiło do całej plejady poetów, z którymi zostawał w stosunkach, a którzy jak planety koło słońca, krążyli koło Adama Mickiewicza. Nie ufając swym siłom, ażeby mógł skreślić zupełny żywot twórcy „Pana Ta-

deusza," wierny druh jego Odyniec składa skwapliwie najcenniejsze do tej biografii cegiełki, które czytająca publiczność nasza z uczuciem głębokiej wdzięczności od sędziwego pieśniarza przyjmuje; ponieważ barwności ciepła, niemniej i wzorowego języka, jakim Odyniec wspomnienia swoje opowiada, mogłoby wielu młodych pisarzy starcowi pozazdrościć!

— Księgarnia Teodora Paprockiego i Sp. podjęła wydawnictwo dzieła prof. Thompsona, p. t.: „Elektryczność i magnetyzm,” w przekładzie upoważnionym przez autora, a dokonany kompetentnym piórem p. J. J. Boguskiego. Dla pragnących się obeznac z najnowszymi postępami nauki o elektryczności i magnetyzmie, dzieło to jest bardzo pożądanym nabytkiem. Zeszyt pierwszy już wyszedł z druku.

— „Złotój przędzy poetów i prozaików polskich” opuścił świeżo prasę zeszyt szósty II tomu i zawiera: dokończenie antologii utworów Pola, oraz biografie i wyjątki z dzieł Garczyńskiego, Witwickiego i Gaszyńskiego. Opracowanie biografii treściwe, a jednak wyczerpujące, zasługuje na zupełne uznanie.

— Wydawnictwa gwiazdkowe dla dzieci już się zaczynają pojawiać. Księgarnia Gebethnera i Wolffa, od wielu już lat bardzo czynna w tym zakresie, wydała dziełko obrazkowe dla dzieci młodszych p. t.: „Przygody dziatwy w domu i w szkole,” wierszem, opisała Marya Ciświcka. Wierszyki są bardzo zręczne, a liczne ilustracye zagraniczne Eugeniusza Klimsza, odbite w Stuttgardzie, również jak i ilustrowana okładka, czynią z tego dziełka nader pożądanym dla młodego pokolenia podarek.

— Na 300 rocznicę śmierci J. Kochanowskiego, Redakcja „Przeglądu Polskiego“ sprawiła prenumeratorom swoim miłą niespodziankę, wydając dla uczczenia pamięci wielkiego lutnisty Czarnoleskiego, którego 300 letnia rocznica śmierci na ten miesiąc przypada, zeszyt sierpniowy w podwójnej objętości i poświęcając cały Kochanowskiemu, a ozdabiając go nadto portretem poety, wykonanym w wiedeńskim zakładzie Angerera. Portret ten jest pendzla Matejki. Jak wiadomo, uważany powszechnie za autentyczny portret Kochanowskiego nie odpowiada temu bynajmniej, jak sobie go z życia i pism jego wyobrażamy; możnaby go wziąć za wizerunek jakiegoś starosty, a nie za portret tak podniosłego ducha poety. Otóż Matejko, biorąc motywą z autentycznych portretów, wymalował prześliczny portret Koch. pełen wyrazu i dedykował go niejako ziomkom następującym dowcipnym wierszem:

Konterfekt Jana, pisarza zanego,  
Księciem poetów w Poloniej zwanego.  
Malarz Włoch w Czarnolesiu farby ulanemi  
Imaginował — myślami wdzięcznemi  
Krzepion, że wždy za lat trzysta  
Poznają, jak wyglądał ten Boski lutnista.

— W uniwersytecie wiedeńskiej habilitował się dr. Ste-

fan Smal-Stocki, jako prywatny docent dla filologii słowiańskiej. Dr. Stocki rozpocząć ma wykłady już w półroczu zimowym 1884/5.

— Wyprawa naukowa Karola hr. Lanckorońskiego do Azji Mniejszej, o której obiegają wieści, szczęśliwie przychodzi do skutku. Wyjechali już w tych dniach do Smyrny: słynny archeolog i budowniczy Niemann wraz z dwoma uczniami, profesor uniwersytetu w Pradze Petersen i doktor medycyny Luchan. Hrabia Lanckoroński sam wyjeżdża z początkiem tego miesiąca, w połowie zaś września wyruszą na tę naukową krucyatę: Maryan Sokołowski, członek Akad. jag.; Hardtl profesor uniwersytetu wiedeńskiego i malarz Malczewski. Wszyscy uczestnicy wyprawy spotkają się w miasteczku Adalii, w którego okolicy odbywać się będą naukowe poszukiwania. Podróż obrachowana na trzy miesiące, a hr. Lanckoroński nie szczędzi ogromnych kosztów, celem osiągnięcia jak najobfitszych dla nauki rezultatów.

— W Toruniu w drukarni p. J. Buszczyńskiego a nakładem Tow. Naukowego Toruńskiego, ukazał się opis tego miasta p. t. „Toruń,“ praca nwieńczona na konkursie rozpisanym przez Towarzystwo Naukowe Toruńskie. Toruń 1884 str. 113.

— Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszła z druku „Historia wieków średnich“ przez Tadeusza Korzona, wyłożona sposobem elementarnym, z dołączeniem 4-ch map kolorowanych, 46 rysunków i tablic genealogicznych.

— Zasłużona wielostronnie względem literatury naszej firma księgarska Gebethnera i Wolffa rozpoczęła nowe, bardzo pożądane wydawnictwo p. t.: „Biblioteka umiejętności przyrodniczych“ ogłaszając drukiem dzieło Bronisława Znatowicza: Zasady chemii ogólnej. Z drzeworytami w tekście. Warsz. 1884 r., str. 392 VI. Zbyteczną byłoby rzeczą dowodzić potrzeby i ważności dzieł nakowych, systematycznych w języku ojczystym, gdy kształcąca się młodzież nie ma w szkole sposobności poznania nazwisk technicznych naukowych, a wartość dzieła tym większa, im troskliwiej dba autor o czystość i poprawność języka, jak tego mamy dowód w pracy Znatowicza. Chodzi tylko o to, żeby całe społeczeństwo nasze chciało przecie raz zrozumieć potrzebę tej pomocniczej szkoły literackiej, dowodząc swojej dojrzałości obywatelskiej przez jak najszersze i wytrwałe poparcie usiłowań małej garstki ludzi dobrej woli. Przykłady innych uboższych daleko pobratymców naszych, dźwigających skutecznie swoje „Matice“ i Towarzystwa naukowe powinny być dla nas zachętą, nie milknącą nigdy.

— P. K. Król wydał swoim nakładem dziełko p. t. „Słownik naukowy rosyjsko-polski dla uczniów i uczennic.“ Warsz. 1884, str. 211. Skład główny w księgarni K. Prószyńskiego, Krakowskie Przedmieście nr. 45; cena kop. 60. Uwaga co tylko wskazana co do trudności, z jaką młodzież polska walczyć musi, chcąc się obznajmić z terminami naukowymi, określałaby dostatecznie ważność i znaczenie pracy p. K. Króla, gdyby autor był wytknął jasne granice swojej pracy.

Tymczasem słabą stroną tego dziełka jest niesystematyczność planu. Autor oddałby kształcącej się młodzieży nieocenioną usługę, gdyby się był ograniczył na spisie wyrazów technicznych naukowych, choćby, że tak powiem, w niektórych razach cokolwiek rzeczowym, ze wszystkich gałęzi nauk, a pominął część wyłącznie leksykalną, jaką stanowią *denominativa* i *abstracta*. Zdarza się dzisiaj często, że starszemu trudno się już porozumieć z młodszą generacją na polu zjawisk naukowych, ponieważ młodzież nie zna terminów naukowych swojskich, dlatego książka p. K. Króla stanowić będzie nader pożyteczny podręcznik dla kształcącej się młodzieży, — skoro we wskazany powyżej sposób rozszerzoną i udokładnioną będzie.

— Pieśni litewskie. Profesor uniwersytetu w Kazaniu, p. Jan Juszkiewicz, wydał w Petersburgu czwarty tom pieśni litewskich ze zbiorów swego brata, ś. p. ks. Antoniego Juszkiewicza. Tom ten o 900 stronicach nosi tytuł: „*Letuwiskos svotbinos dajnos*“ (Litewskie pieśni weselne) i zawiera tysiąc sto pieśni z okolic Wielony nadniemeńskiej, pamiętnej śmiercią Gedymina. Wydrukowano je poprawnie głoskami łacińskimi i załączono przedmowę w języku litewskim i rosyjskim, podającą rozmaite szczegóły, objaśniające ten bogaty zbiór utworów fantazyi ludu litewskiego.

— Nakładem księgarni T. Paprockiego wyszła z druku komedya w jednym akcie p. t. „*Uwięziona*“ przez p. Zofię Mellerową.

— Nakładem funduszu szkolnego wyszła w Krakowie broszura p. t. „*O Tłómaczeniu*.“ Kilka uwag i myśli podał Jan Czubek, prof. gimnaz. S. Anny, członek komisji język. Akad. Um. 1884, str. 74.

— Nakładem redakcyi Przeglądu Sądów i Admin. wyszła we Lwowie broszura p. t. „*Kredyt melioracyjny. Projekt przepisów przedstawionych przez Bank krajowy Wydziałowi krajowemu, oraz motywa tego projektu*.“ Lwów 1884; str. 62. Gruntowne to studyum znanego zaszczytnie na polu prac ekonomicznych Antoniego Wrotnowskiego, dyrektora Banku krajow. zasługuje na pilną uwagę nie tylko szerszego ogółu czytelników, ale i tych dyletantów na niwie ekonomii u nas, którzy się tą kwestyą pobieżnie zajmują i to zawsze pod adresem Tow. Kred. Z., którego ustawa nie pozwala mu dotychczas pójść w tym kierunku, o czém jednak obrońcy pożyczek melioracyjnych jakby z zasady zapominają.

## N e k r o l o g i a.

— Dnia 14 września 1884 r. umarł w Warszawie **Jakób Natanson** b. prof. b. szkoły głównej warszawskiej, mąż zasłużony nie tylko na polu pracy naukowej i przemysłowej, ale i obywatelskiej w najszerszym i najszlachetniejszym tego wyrazu znaczeniu. Bł. p. Jakób Natanson ur. się w Warszawie 20 sierpnia 1831 r. z rodziców wyznania Mojżeszowego. Nauki gimnazyalne odbył w Warszawie i Radomiu. Dla poświęcenia się studjom chemii, którą podówczas dość obszernie wykładano w gimnazyach klasycznych, udał się bł. p. Jakób do uniwersytetu dorpackiego, gdzie w r. 1853 otrzymał medal złoty za rozprawę „O zasadach organicznych” (po niemiecku) zawierającą pierwsze samodzielne jego spostrzeżenia nad zasadą, którą nazwał acetyliakiem. Ukończywszy studia uniwersyteckie w 1854 roku ze stopniem kandydata, napisał rozprawę p. t.: „*Ueber das Acetylamin und seine Derivate*,” która mu posłużyła do otrzymania stopnia magistra (1855). Dla udoskonalenia się w ulubionej nauce zwiedził po opuszczeniu Dorpatu najznakomitsze pracownie chemiczne w Europie i ztamąd dopiero powrócił do Warszawy, by oddać się samodzielnej pracy naukowej na niwie piśmiennictwa polskiego. Dwutomowy jego „Krótki rys chemii organicznej, ze szczególnym względem na rolnictwo, technologię i medycynę,” wyszedł w Warszawie, w latach 1857 i 1858; później zaś w r. 1866 ukazał się teoretyczny jego „Wykład chemii organicznej podług systematu unitarnego.” Pomiedzy temi dwiema datami zaznaczamy pożyteczną aczkolwiek krótką działalność nauczycielską bł. p. Jakóba jako prof. szkoły głównej, do której nieboszczyk był jednocześnie z jęj utworzeniem powołany. Mniej pomyślny stan zdrowia nie pozwalał jednak p. Natansonowi oddawać się dłużej pracy w laboratorium i przy biurku z równą jak przedtęm usilnością; wydał tóż tylko jeszcze w r. 1874 „Głos na konferencyi rolniczej o nawozach sztucznych,” oraz przygotowywał zaokrąglenie swych prac poprzednich nad chemią organiczną. Natomiast nie ustawała jego czynność obywatelska: w założeniu Muzeum przemysłu i rolnictwa, w założeniu kasy im. Mianowskiego, w założeniu i utrzymywaniu tak wysoce pożytecznej instytucyi jak szkoła rzemiosł przy ulicy Jasnej, — zgoła w różnorodnych przedsięwzięciach, mających na celu dobro kraju, nieboszczyk aż do ostatniej ciężkiej choroby żywy brał udział, a nieraz i przodował innym. Więc tóż cześć zasłużona winna



otoczyć to imię, które się dobrze zasłużyło umiłowanemu przez nieboszczyka krajowi!

— Dnia 21 września 1884 r. umarł we Lwowie, przeżywszy lat 46, **Bernard Kalicki**, sekretarz wydziału krajowego, redaktor czasopisma „Chata” i „Nowiny.” Literatura historyczna traci w ś. p. Bernardzie jednego z najgorliwszych reprezentantów i obrońców kierunku opowieściowego K. Szajnochy, pod którego wpływem ś. p. Bernard pokochał i uprawiał niwę dziejów ojczystych, może bez skalpela anatomizującego badacza krytycznego, ale z namaszczeniem prawdziwie obywatelskiem, które w historii widzi nietylko mistrzynią, ale i pocieszycielkę w trudnych życia publicznego warunkach. Oprócz licznych artykułów, rozproszonych po czasopismach, wydał ś. p. Bernard: 1) Dzieje Polski do czytania w chatach i szkółkach wiejskich. Wyd. drugie, Lwów, 1869. — 2) O kwestyi ruskiej. Kraków, Przegląd polski, 1867 r.—3) Kwestya ruska. Lwów, 1871 r.—4) Opowiadania z dziejów Polski. Cz. I, Epoka Piastów, Lwów, 1871.—5) Przewodnik wystawy starożytności lwowskiej. Lwów, 1861 r.—6) Władysław IV królem chłopów. Kraków, 1867.—7) Zarysy historyczne. Lwów, 1869.—8) Przyczynek do historii dziejopisarstwa polskiego w XVII w. Kraków, 1873.—9) Quousque tandem! Lwów, nakładem Przeglądu lwowskiego, w drukarni ludowej, 1877 (w obronie mowy J. Szujskiego nad grobem A. Walewskiego).—10) Bogusław Radziwiłł, koniuszy litewski. Szkic historyczny, Kraków, 1878.—11) Najnowsze sądy o Karolu Szajnosze, z powodu książki: „Dzieje Polski w zarysie,” p. M. Bobrzyńskiego, Kraków, 1879.—We wszystkich tych pracach tchnie duch obywatelski i miłość ziemi, której nieboszczyk służył z całym poświęceniem. Cześć jego pamięci!

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny **J. K. Plebański.**

Wydawca *Józef Berger.*